

Do kata, Toby, rzuć im parę szylingów i ruszajmy w drogę! - Wyładowawszy irytację, dżentelmen z bardzo długimi nogami i rękami poprawił się na siedzeniu kariolki i odczekał, aż ubrany w liberię służący, drobny, może czternastoletni chłopak z rozczochranymi włosami, wygrzebie z obszernej kieszeni zalecony dowód łaskawości pana. - Boże - wyrzekł tymczasem znużony dżentelmen, mrużąc piwne oczy. - Ta kocia muzyka jest nieznośna, człowiekowi może się raz na zawsze odechcieć Bath. Myślałem, że obyczaj witania fanfarą każdego przybysza zmarł śmiercią naturalną dawno, dawno temu. Tylko posłuchajcie tego nieboraka! Powinno się go wytarzać w smole i pierzu i wepchnąć do jego własnej trąby!

Kariolka rychło się oddaliła. Służący zerknął jeszcze przez ramię na grupkę muzykantów, zgromadzoną na londyńskim trakcie przy rogatce. Na powitanie następnego turkoczącego powozu z ich instrumentów znów trysnęły fałszywe dźwięki, niczym woda z dziurawej jak sito strażackiej sikawki. Gdy odgłosy muzykowania ucichły w oddali, Toby wzruszył wątlymi ramionami.

- Każdy musi jakoś zarobić na życie, milordzie.

Anthony Brent, hrabia Marchfordu, spojrział marsowo na chłopaka i zatonął w rozmyślaniach, powoli przeprowadzając kariolkę coraz bardziej zatłoczonymi ulicami. To prawda, pomyślał z niechęcią, każdy musi z czegoś żyć, szkoda tylko że niektórzy postanowili to robić kosztem innych. Gwałtownie skręcił, żeby uniknąć zderzenia z wózkiem śpieszącym na targ. Przeklinał obowiązki, które oderwały go od spokojnego bytowania w Londynie. Tutaj nie czuł się u siebie. Zdecydowanie wołał gwar wielkiego miasta i swoje codzienne przyzwyczajenia. A najbardziej żałował, że nie może być z panną, o której rękę zamierzał w tym tygodniu poprosić jej ojca.

W kieszeni kamizelki szeleścił mu list, powód jego przyjazdu do Bath. *Tony, musisz coś z tym zrobić!* - brzmiała pierwsza linijka, tylokrotnie przekreślana i pisana na nowo, że stała się prawie nieczytelna. Hrabia westchnął. Ile razy słyszał te słowa od Eleanor? Poczciwa z niej była kobieta, jak to siostra, ale niezmiennie chciała w nim widzieć biegłego adwokata, czarnoksiężnika i człowieka do czarnej roboty pospołu.

Prawdę mówiąc, akurat tym razem słusznie chyba podniosła larum. Ciotka Edith była kobietą bardzo zamożną, a że mieszkała samotnie, pozbawiona opieki i porad mężczyzny, stanowiła wymarzony cel dla każdego naciągacza, który poczuł zapach jej pieniędzy. Ostatnio taką pijawką okazała się kobieta. Najbardziej nienasycona odmiana tego gatunku, pomyślał markotnie hrabia. Co gorsza, kobieta ta zamieszkała z ciotką jako dama do towarzystwa.

Według Eleanor, wkradła się ona w łaski ciotki tak dalece, że Edith zaczęła przebąkiwać o sporządzeniu pokaznego zapisu w testamencie na rzecz tej osoby. Trzeba niezwłocznie coś przedsięwziąć, żeby przywrócić harmonię i spokój w rodzinie, alarmowała Eleanor.

Starsza pani latami broniła się ze wszystkich sił przed towarzystwem. Upierała się, że całkowicie wystarcza jej obecność służącej, dość przerażającej istoty zwanej Granditch. Ostatnimi czasy, jednakże, jej sprawność, a najwidoczniej również wola życia mocno osłabły. Zbyt wiele czasu ciotka Edith spędzała samotnie w olbrzymim domu, czasem nawet odmawiając zejścia na obiad. W końcu Eleanor zdołała uzmysłwić ciotce, że potrzebuje kogoś, kto by o nią dbał. Kogoś podobnego usposobienia, kto dotrzymywałby jej towarzystwa, a zarazem nadzorował prace domowe.

Eleanor podjęła się wyszukać taką osobę, gdy jednak ciotka Edith uparła się przy własnym wyborze, który padł na zbiedniałą, choć dobrze urodzoną kobietę, poleconą jej przez przyjaciółkę, hrabia Marchfordu wpadł w irytację i listownie skarcił siostrę.

Robisz wiele hałasu o nic, El - napisał w pośpiechu. - *Jeśli Edith chce się zadawać z tą starą panną, to niech się zadaje.*

Teraz z goryczą dumiał nad swą wielką pomyłką. Najwyraźniej los spletał mu figla za to, że był nieobecny w chwili, gdy rodzina najbardziej go potrzebowała. Pozostało mu borykać się z konsekwencjami.

Przynajmniej jednak znalazł się gdzie trzeba w porę, by zapobiec poważniejszym szkodom. Skręcił z londyńskiego traktu w Guinea Lane, a potem w następną ulicę prowadzącą do rezydencji ciotki. Spodziewał się szybkiego załatwienia sprawy. Jeszcze przed końcem tygodnia naciągaczka powinna znaleźć się z dala od Edith. Żywił szczerą nadzieję, że jej żądania nie okażą się astronomiczne, aczkolwiek był przygotowany na to, by pozbyć się oszustki za wszelką cenę. Najchętniej jednak kazałby ją wytarzać w smole i pierzu. Postanowił bardzo uważać, by nigdy więcej nikt z jego rodziny nie padł łupem krwiożerczej harpii.

Ciekawe, czy kiedykolwiek uda mu się dowiedzieć, kim była ta pierwsza. Ta, której chciwość pogrążyła jego rodzinę w głębokiej żałobie. To pytanie zadawał sobie w ostatnich latach wielokrotnie.

Pokonał zakręt Cottles Lane i wjechał na Rivers Street. Tam wreszcie ujrzał promyczek słońca w otaczającej go ponurej mgle. Właściwie nawet dwa promyczki. Przecież cieszył się na wizytę u ciotki, którą spośród krewnych starszego pokolenia lubił najbardziej. No, i była też Meg, czyli inaczej mówiąc Margaret, jego młodsza siostra. Kończyła właśnie elitarnie seminarium dla panien w Bath, do którego uczęszczała przez ostatnie lata, i miała spędzić u lady Edith kilka tygodni przed wyjazdem do Londynu, gdzie w domu Eleanor czekały ją przygotowania

do debiutu w towarzystwie.

Hrabia uśmiechnął się do siebie. Pomyślał, że tydzień w towarzystwie Meg zrekompensuje mu uciążliwość obowiązku, który go tu wezwał, jego siostra była bowiem radosna, żywiołowa i niezaprzeczalnie urocza. W przestronne zakole Royal Crescent skręcił więc przekonany, że oczekuje najbliższych dni ze znacznie większą ochotą, niż sądził przed chwilą. Przytrzymując cylinder z bobrowej skórki, by uchronić go przed bijącymi ze wszystkich stron gwałtownymi podmuchami wiatru, omiótł spojrzeniem szereg budynków, ciągnący się przed jego oczami. Wielu uważało je za szczyt europejskiej elegancji.

Energicznie skierował kariołkę ku rezydencji ciotki Edith, niespodziewanie jednak musiał powściągnąć konie, ten biegnący z prawej strony poderwał bowiem przednie kopyta, płosząc tym swojego towarzysza po lewej. Hrabia szybko opanował sytuację, wnet też dostrzegł przyczynę chwilowego zamieszania. Z parku przy Royal Crescent wybiegł na jezdnię piesek, który prawdopodobnie uznał, że konie pojawiły się tam wyłącznie dla jego rozrywki. Rzucił się nagle w stronę podkutych kopyt, wściekle ujadając.

- Honey! Honey! Wracaj natychmiast! - Lord Marchford podniósł wzrok i ujrzał młodą kobietę, wbiegającą za psem na jezdnię, prosto pod jego kariołkę. Była wysoka, ubrana bardzo przeciętnie i całkiem obojętna na niebezpieczeństwo. Porwała psa na ręce.

Hrabia zaklął, raz jeszcze ściągnął wodze i wcisnął je w ręce zaskoczonemu Toby'emu. Jednym susem znalazł się na jezdni i mocno chwyciwszy młodą kobietę, odciągnął ją od kariołki.

- Postradałaś rozum, kobieto?! Mogłaś stracić życie albo okaleczyć mi konie!

- Bardzo przepraszam - sapnęła. - Nie zdawałam sobie sprawy...

- To widać. - Puścił ją i cofnął się o krok, by się jej przyjrzeć. Nie wyglądała niechlujnie. Praktyczny kostium z merynosowej wełny nie był krzykiem mody, ale sprawiał całkiem eleganckie wrażenie. Spod ciemnoszarego czepka wystawał kosmyk ciemnych włosów. Wziąwszy wszystko pod uwagę, hrabia uznał, że nigdy w życiu nie patrzył na bardziej bezbarwną postać. Gdy odciągnął ją od koni przemknęło mu nawet przez myśl, że uleci z jego objęć jak kłęb dymu.

- Naprawdę bardzo przepraszam - powiedziała cicho, ze stosowną skromnością spuszczać oczy na spaniela, wiercącemu się na jej rękach. - Honey jest urocza, ale nie ma ani krzty rozumu. Bałam się, że konie ją stratuja.

W tonie jej głosu dawało się zauważyć oplakany brak choćby cienia skruchy, toteż hrabia się nasrożył.

- Skoro mowa o braku rozumu, moja pani... - zaczął, ale kobieta zajęła się tymczasem psem, po cichu czyniąc mu łagodne wyrzuty.

Uświadomiwszy sobie, że stoją prawie dokładnie przed domem ciotki Edith, hrabia polecił Toby'emu odprowadzić kariołkę do stajni, sam zaś przeszedł na chodnik, śladem kobiety. Odwróciła się do niego ponownie i spojrzała mu w oczy.

- Masz wszelkie prawo być zdenerwowany, panie - powiedziała, mile się do niego uśmiechając. Przypomniała mu się niania, która darzyła go dokładnie takim samym uśmiechem, kiedy był akurat wyjątkowo niegrzeczny. - Ale na szczęście nic się nie stało.

Już miał ostro zareplikować, ze zdziwieniem stwierdził jednak, że kobieta wchodzi po schodkach, na których właśnie postawił nogę. Nie była w niczym towarzystwie, co więcej nie miała ani lat, ani zapewne także pozycji społecznej, które wskazywałyby, że może składać towarzyską wizytę lady Edith Brent.

- Czy przyszedłaś, pani, odwiedzić lady Edith? - spytał zaintrygowany.

- Nie - odparła, znów przesyłając mu miły uśmiech. - Ja tu mieszkam. Jestem jej damą do towarzystwa. Nazywam się Alison Fox. A ty, panie...

Lord Marchford zdrętwiał. Boże. Czyżby ta szara myszka była w rzeczywistości niebezpiecznym drapieżnikiem, którego miał unieszkodliwić?

- Jestem Anthony Brent, hrabia Marchfordu - powiedział zdecydowanie. Wiatr i wysiłek fizyczny sprawiły, że blade policzki kobiety nabrały jasnorożowego odcienia. Teraz hrabia z niejaką satysfakcją obserwował, jak krew odpływa jej z twarzy. Kobieta kurczowo zacisnęła dłonie na kutej poręczy i przez chwilę wyglądała tak, jakby miała zemdleć. Zaraz jednak wzięła głęboki oddech i wyprostowała ramiona.

- Ja nie... Och, chcę powiedzieć, że lady Edith często o tobie wspomina, panie, ale nie wiedziałam, że cię oczekuje.

Doszli do drzwi, więc panna Fox odwróciła się, by je otworzyć. Hrabia przepuścił ją i wszedł do domu.

- Moje odwiedziny nie są zapowiedziane - odrzekł gładko, dla zaakcentowania ironii tych słów patrząc jej prosto w oczy. - Ale ufam, że nie przyjechałem w nieodpowiedniej chwili.

Panna Fox położyła smukłą dłoń na gardle.

- Nie, naturalnie że nie - powiedziała cicho. - Lady Edith będzie zachwycona, milordzie...

- March! - rozległ się ciepły kobiecy głos i hrabia zobaczył drobną kobietę, zstępującą ku niemu z piętra. Siwiutkie włosy świadczyły o jej zaawansowanym wieku, mimo to poruszała się sprężysto i z wdziękiem. - Mój kochaniutki March! Czemu mnie nie zawiadomiłeś, że przyjeżdżasz?

Lady Edith Brent padła bratankowi w ramiona i w jego objęciach całkiem dosłownie straciła kontakt z ziemią. Roześmiała się cichutko.

Hrabia ostrożnie odstawił starszą panią na podłogę i przyjrzał jej się z pewnym zdziwieniem. Wyglądała dziesięć lat młodziej, niż gdy ją ostatnio widział. Trochę przybrała na wadze, a oczy skrzyły jej się wigorem. Czyżby taką odmianę spowodowała ta szara myszka? Ta mała naciągaczka?

- Chciałem ci zrobić niespodziankę, ciociu - powiedział i roześmiał się do wtóru.

- Paskudnik - czule złąła go ciotka. - Miałbyś za swoje, gdybyś tu przyszedł i nas nie zastał. Ostatnimi czasy bardzo polubiłyśmy plotki i ploteczki. Ojej - zreflektowała się. - Przecież jeszcze nie poznałeś Alison, to znaczy panny Fox. - Zwróciła się do młodej kobiety: - Kochaniutka, poznaj, proszę, tego nicponia, mojego bratanka.

Hrabia spoważniał, skłonił się sztywno. Alison odwróciła głowę i podała mu lodowatą rękę.

- Już się znamy, ciociu. Spotkaliśmy się, że tak powiem, na dworze.

Panna Fox, która zdejmowała akurat peliskę, znieruchomiała i podniosła oczy, by pierwszy raz spojrzeć prosto na niego. Hrabiegoomal nie sparaliżowało, tak przenikliwe było spojrzenie jej elektryzujących, zadziwiająco błękitnych oczu. Poczłł nagle wokół siebie niezwykle ciepło. Stał przez moment w głębokim oszołomieniu i patrzył, jak panna Fox uwalnia spod czepka gęstą grzywę lśniących, czarnych włosów. Jak mogła mu się wydać bezbarwna?

- Na dworze? - zainteresowała się lady Edith. - Och, Alison, tylko mi nie mów, że wyszłaś z Honey. Tyle razy cię prosiłam, żebyś złożyła ten obowiązek na kogoś z lokajów. To taka nieznośna psina.

Panna Fox zmusiła się do uśmiechu, choć jej oczy pozostały poważne.

- Park po drugiej stronie ulicy jest całkiem bezpieczny, milady. Ma ogrodzenie, więc Honey nie ucieknie.

Hrabia zwrócił uwagę na cichy i melodyjny głos panny Fox. Jeśli wrażenie go nie myliło, usłyszał w nim ton szczerzej paniki. Czyżby od dawna liczyła się z przybyciem kogoś z krewnych ciotki Edith, gotowego zniweczyć jej intrygę?

- Chodźmy do salonu. - Lady Edith zaprowadziła bratanka z sieni do dużego, miłego pokoju. Panna Fox powłokła się za nimi, wyraźnie skrepowana.

- Przepraszam, milady - powiedziała przy drzwiach i zawróciła. - Pani i pan hrabia na pewno chcecie...

- DUBY SMALONE - energicznie odparła lady Edith. - Od dawna już chciałam cię przedstawić mojemu ulubionemu bratankowi.

Uśmiechnęła się do hrabiego, który złągodniał i cicho się roześmiał.

- Nie bierz mnie, ciociu, na plewy. Przecież jestem twoim jedynym bratankiem. - Jego śmiech nagle zamarł, rysy twarzy znów mu stężyły.

Lady Edith natychmiast stanęła przy nim i ujęła go za rękę.

- To prawda, mój kochaniutki - powiedziała skwapliwie. - Ale usiądź, jeśli łaska. - Potem zwróciła się do Alison:

- Zadzwoń, proszę, żeby przyniesiono nam herbatę. - Na twarzy panny Fox znów pojawił się lekki rumieniec. - A ty, March, chodź, mam tu dla ciebie miejsce... - Lady Edith spoczęła na sofie przy kominku i poklepała poduszkę obok siebie. - I powiedz, co cię sprowadza do Bath. Czy służba już wniosła twoje bagaże?

Hrabia lekko usiadł tam, gdzie go proszono.

- Nie, ciociu. Nawet nie chciałbym burzyć spokoju twojego domostwa. Zamierzam spędzić w Bath około tygodnia, więc zatrzymam się w York House. Do ciebie zajrzałem tylko powiedzieć dzień dobry i już niezwłocznie się tam udaję.

- Ale... - zaczęła lady Edith. - A właściwie, co tam... - Rozłożyła ręce. - Za to mam nadzieję, że przyjdiesz do mnie dziś na kolację. Potem możesz nam towarzyszyć do Górnych Sal Asamblowych. W mieście towarzystwa jest teraz jak na lekarstwo, ale i tak zobaczysz wiele znajomych twarzy.

- Z największą przyjemnością, ciociu - powiedział ciepło lord Marchford, przy okazji konotując w pamięci, że przyjęciem zaproszenia jeszcze bardziej zmieszał pannę Fox.

- Och, March! - Lady Edith klasnęła w dłonie. - Jutro zjawi się Meggie! Będzie wniebowzięta, kiedy cię tu zastanie.

- Tak. - Hrabia znów się rozchmurzył, a nawet poweselał. - Posiadanie brata w Londynie zawsze dawało jej poczucie wyjątkowego statusu wśród koleżanek ze szkoły. Jestem w pełni przygotowany na tysiące pytań o sprawki regenta i jego świty. Muszę jednak wyznać, że tym razem nie będę miał wiele do powiedzenia, jako że nieczęsto obracamy się w tych samych kręgach, za co zresztą każdego ranka wznoszę dziękczynne modły.

Konwersacja zwróciła się ku tematом bardziej ogólnym. Masters, wieloletni kamerdyner lady Edith, podał herbatę i przed wyjściem z salonu wykonał bardzo efektowny ukłon. Lord Marchford uczesłował panie, a przynajmniej jedną z nich, najświeższymi plotkami z towarzystwa. Wyjawił też, że zamierza zwrócić się do wicehrabiego Briscoombe o rękę czcigodnej Frances Milford.

- Wprawdzie nie powinienem rozmawiać z tobą, ciociu, o sprawie tak delikatnej natury, póki zaręczyny nie staną się faktem, ale jestem pewien, że Eleanor już was o tym powiadomiła. Od miesiąca siedzi mi na karku i nalega, żebym spełnił swój obowiązek.

- No, cóż. - Ciotka Edith nabiła na widelczyk maleńki kęs makowca. - Zaiste, Eleanor pisała do mnie, że sprawiasz wrażenie, jakbyś miał słabość do tej panny, nie miałam jednak pojęcia, że sprawy zaszły aż tak daleko. Ale skoro zaszły - lady Edith otarła kącik ust serwetką - to co tu jeszcze robisz? Czy przypadkiem nie powinienes

kłęcząc w salonie Milfordów?

Lord Marchford doznał niezwykłego ściskania w żołądku. Ciotka z pewnością nie podejrzewała, że wizytę o tej porze złożył jedynie po to, by odwlec stojące przed nim przykre zadanie. Co zaś do zaręczyn, to wcale nie wyczekiwał ich z wielką niecierpliwością, w duchu przekonywał się jednak, że gdy rytuał się dopełni, jego życie znów potoczy się jasno wytyczoną ścieżką. Po wieloletniej służbie towarzyskiej w roli jednej z najlepszych partii wśród kawalerów wielkiego świata uznał wreszcie, że czas podjąć krok odpowiedni do jego pozycji. Nie wahał się długo nad wybranką. Zadowolilo go stwierdzenie, że Frances Milford jest materiałem na idealną hrabinę, co w gruncie rzeczy wcale go nie dziwiło, jako że wychowywano ją z myślą o takiej lub podobnej pozycji. Od czubka elegancko u fryzowanej głowy po koniuszki palców u stóp, obutych w eleganckie pantofelki, stanowiła wzorzec tego, co stosowne i w dobrym guście. Nie była chichotliwą panienką. Przeciwnie, w pełni zdawała sobie sprawę ze swego znaczenia i z szacunku należnego jej stanowi, aczkolwiek nie zadzierała z tego powodu nosa. Wiedziała też, jak zachować się w towarzystwie, i korzystała z tego, by uchronić się przed opinią wścibskiej i zarozumiałej pannicy. Największe zadowolenie hrabiego budziła jednak nie wyrażona wprost obietnica, że Frances nigdy nie zakłóci normalnego toku jego życia. Mógłby więc spędzać długie godziny w klubie, gdzie wypadało mu się pokazywać, i w ulubionych domach gry, gdzie często bywał, choć wysokością stawek nigdy nie przekraczał granic rozważli. Mógłby nawet wziąć sobie kochankę, nie narażając się na pretensje, choć tego raczej nie przewidywał, uważał bowiem takie zachowanie za niegodne swojej pozycji. Frances będzie panią jego domu, matką dzieci i świadectwem statusu, jaki przysługuje mu w życiu. Krótko mówiąc, będzie wygodną żoną. Nic dziwnego, że chciał jak najszybciej zakończyć swą drażliwą misję w Bath i schronić się u jej boku.

- Wszystko w swoim czasie, ciociu - powiedział, patrząc z uśmiechem, miał nadzieję, naturalnym, w oczy lady Edith. Zerknął na pannę Fox, która zdawała się mocno zażenowana udziałem w rozmowie o prywatnych sprawach rodziny. Błękitnych oczu nie zobaczył, ich posiadaczka spuściła bowiem powieki i patrzyła na filiżankę herbaty, którą trzymała na kolanach. Odniosł wrażenie, że leciutko drży jej ręka. - Panno Fox, radbym usłyszeć coś o pani.

Nerwowo drgnęła; rumieniec na jej policzkach znacznie się pogłębił. Obrzuciła go niespokojnym spojrzeniem, pod wpływem którego hrabia poczuł coś dziwnego w środku. Miał wrażenie, że tonie w błękitach tych niezwykłych oczu. Lekko się poruszył, zirytowany swą nieoczekiwaną i bardzo niepożądaną słabością. Skierował więc myśli na coś znacznie bardziej przyziemnego. Ten pąs jest u niej jak najbardziej na miejscu, uznał, z radością odkrywając u siebie nowe pokłady cynizmu. Ciekawe, czy jak rasowa kurtyzana umie się zarumienić na życzenie, czy też naprawdę jest zakłopotana. Szczerze miał nadzieję, że zachodzi druga możliwość.

Odpowiedź panny Fox była jednak bardzo spokojna.

- Niewiele mam do opowiedzenia, milordzie. Pochodzę z Hertfordshire. Jestem jedynaczką, córką pastora z Ridstowe. Po jego śmierci, mniej więcej trzy lata temu, lady Strangeways zaprosiła mnie do siebie. Byłam jej damą do towarzystwa. Gdy i ona odeszła, przyjęła mnie pod swój dach lady Edith.

- Augusta Strangeways była moją najdroższą przyjaciółką - dodała lady Edith i zamruwała. - W młodości była najbardziej płochą istotą, jaką można sobie wyobrazić, potem jednak, w starszym wieku, odkąd została wdową, zaczęła stronić od ludzi. Ale gdy Alison u niej zamieszkała, wiele razy słyszałam od Augusty, jak polubiła tę miłą dziewczynę. Z przyjemnością więc wzięłam ją potem do siebie. I nie żałuję tego ani trochę. Wniosła do mojego domu tyle radości...! - Wyciągnęła rękę i poklepała Alison po dłoni, na co ta odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

Hrabia poczuł, że wszystko się w nim gotuje.

- Zaiste niesamowite, co za szczęśliwy przypadek - mruknął, spoglądając kpiąco na pannę Fox.

W kilka chwil później dopił herbatę i wstał z sofy. Zapewniając, że z przyjemnością wróci wieczorem, elegancko się skłonił i ozdobiwszy ukłon zamaszystym gestem ręki trzymającej bobrowy cylinder, podany przez Mastersa, wyszedł.

- No, no! - wykrzyknęła lady Edith, odwracając się, by przejść do pokoju dziennego. - Co za uroczą niespodzianka. Musisz dziś wieczorem włożyć tę niebieską lustrynową suknię i do tego... ojej, co się stało, kochaneńka?

Gdy tylko zamknęły się drzwi za hrabią Marchfordu, panną Fox zatrzęsły gwałtowne dreszcze i bezwładnie osunęła się na pobliską ławę.

- Lady Edith! - wyszeptwała pobielalymi wargami. - On przyjechał tu za mną. Wiedziałam, że tak będzie. Lord Marchford przyjechał mnie zniszczyć.

2

Jak to możliwe, zastanawiała się Alison w odrętwieniu, że czyjś świat może rozsypać się na kawałeczki w ułamku sekundy, niemal między jednym a drugim uderzeniem serca. Rzecz jasna, spodziewała się tego. Przeczynała nadejście tej chwili, gdy dowiedziała się, że bratanek lady Edith jest jej zaprzysięgłym wrogiem. Spojrzała na swą chlebobawczynię szeroko rozwartymi, zamglonymi oczami.

- Muszę odejść! - powiedziała stanowczo. - Proszę cię, pani, zechciej dać mi referencje...

- Na Boga, o czym ty mówisz, Alison? - Lady Edith usiadła obok niej na ławie. - Odejść? Nie chcę o tym słyszeć!

- To z powodu twego bratanek, milady! Widziałas, w jaki sposób na mnie patrzy? On wie! Wie, kim jestem!

- A jak uważasz, kochaneńka, kim dla niego jesteś?

- Naturalnie zepsuta do cna niewiasta, na której ciąży wina za śmierć jego brata i szwagierki. - Do błękitnych oczu Alison napływały łzy. Zaczęła szukać chusteczki w kieszonce spodnicy.

- Zgoda, widzi w tobie kanalię, ale przecież nie tę, której szuka od lat.

Alison wlepiła w nią wzrok, nie pojmując, o co chodzi.

- Zrozum - ciągnęła rzeczowo lady Edith. - Trochę znam moją rodzinę. Eleanor, siostra Marcha, ani chybi powiadomiła go, że w testamencie zamierzam dokonać poważnego zapisu na twoją rzecz. Uznała więc, że wkradłaś się w moje łaski, żeby wyłudzić pieniądze. Naturalnie bez trudu przekonała brata do swoich racji, bo to straszna sekutnica. Dlatego March, kochaneńka, przyjechał tutaj nakłonić cię do natychmiastowego opuszczenia tego domu w zamian za okrągłą sumkę.

Rozsiadła się wygodniej i śmiejącymi się oczami śledziła reakcję swej towarzyszkii na to stwierdzenie. Widząc próżne wysiłki Alison, by wyrazić na głos choć jedną z gniewnych myśli, cisnących jej się na usta, zachichotała jak mała dziewczynka. Wstała z ławy i wyciągnęła do Alison rękę.

- Chodź, kochaneńka, wróćmy do biblioteki. Chętnie wypiję jeszcze jedną filiżankę herbaty, a nie wątpię, że i tobie dobrze to zrobi.

Alison machinalnie ruszyła za chlebobawczynią, półprzytomna z rozpaczy. Czy to możliwe, żeby lady Edith miała rację? Czy lord Marchford istotnie przyjechał tylko po to, by uwolnić ciotkę od osoby, którą uważa za zagrożenie dla bogactwa i spokojnego bytowania krewnej? Wzburzyła ją ta myśl, przypomniało jej się bowiem, ile czasu poświęciła na odwodzenie lady Edith od dokonania zapisu w testamencie. Ale lady Edith nie tylko nie dała się przekonać, lecz jeszcze obiecała podarować jej w najbliższym czasie olbrzymią sumę w gotówce. Alison gorzko się uśmiechnęła. Istny kij w mrowisko. Wnet jednak przestała się uśmiechać. Nie potrafiła zapomnieć o prawdziwym powodzie swego zatroskania. Wszak lord Marchford, choć nigdy dotąd się nie spotkali, przysiągł ją zniszczyć. Ponieważ zaś zniecała wkroczył na scenę, obawiała się, że lada dzień ją rozpozna. Gdy siadała na krzesło wskazanym przez lady Edith, czuła, jak w jej wnętrzu mieszają się znajome uczucia gniewu, rozczarowania i wstydu.

Wkrótce nienaganny lokaj przyniósł im świeżą herbatę i starsza pani odezwała się ponownie.

- Rozmawialiśmy już o tym setki razy, Alison. To, co stało się w Londynie cztery lata temu, jest raz na zawsze zamkniętą sprawą. Nie zrobiłaś nic, czego powinnaś się wstydzić. Nie pozwolę ci się zamartwiać zamierzoną przeszłością. Sądzę nawet, że tę wizytę zesłała nam opatrność. Najwyższy czas, żebyś skończyła z niespodziewanymi i bardzo pilnymi odwiedzinami u krewnych, gdy tylko March zapowiada swój przyjazd.

Alison zerknęła na filiżankę, którą kurczowo ścisłała w dłoni.

- Jesteś dla mnie bardzo dobra, pani, ale...

- Ale co? To nie twoja wina, że Susannah przegrała w karty więcej, niż mogła, ani że...

- Mimo wszystko przegrała do mnie. A teraz nie żyje. Boże, doprowadziłam ją do... do...

Lady Edith delikatnie położyła jej rękę na ramieniu.

- Susannah była dorosła, kochaneńka, i sama zdecydowała, że odbierze sobie życie. Poza tym możesz mi wierzyć, że jej mąż niezawodnie przyłożył się do tego nieszczęścia. To prawdziwa ironia losu, że zginął, gdy jeden, jedyny raz zdobył się na poświęcenie dla żony.

- O Boże! - wykrzyknęła znów Alison. - Bodajbym nigdy nie pojechała do Londynu!

- Przecież pojechałaś tam w zasadzie wbrew swojej woli, prawda? Zgodziłaś się na tę maskaradę tylko dlatego, żeby pomóc przyjaciółce.

- No, tak. Biedna Beth. Przyszła do mnie w rozpaczy. Powiedziała, że jestem jej jedyną nadzieją. Przyjaźniłyśmy się jeszcze w szkole i stąd wiedziała o moich karcianych umiejętnościach. Nie mogłam jej odmówić. Potrzebowała pieniędzy, żeby uchronić męża przed więzieniem, ale...

- Widzisz? Wbrew temu, co sądzi March, wcale nie postąpiłaś podle. Uważam, że powinnaś z nim porozmawiać. Powiedz mu, kim jesteś, tak samo jak powiedziałaś mnie, i wytłumacz, dlaczego przybrałaś wtedy fałszywe nazwisko. On zrozumie, co tobą powodowało. Przecież grać w karty nauczyłaś się od wuja, prawda?

Alison uśmiechnęła się wątle.

- Tak. W dzieciństwie często bywałam u wujostwa Matchingamów. Kiedy wuj odkrył moje... hm... niezwykle zdolności, zadał sobie wiele trudu, żeby wprowadzić mnie we wszystkie tajniki pikiety, ekarte, bazety i innych gier, którymi w towarzystwie kusi się los. Szkoda, że pani nie widziała, jaki był zadowolony, kiedy w końcu zaczęłam z nim wygrywać za każdym razem, gdy siadaliśmy do stolika. „Allie, złociutka - mówił z dumą - szkoda, że nie jesteś mężczyzną. Mogłabyś mnóstwo zarobić przy zielonym stoliku”.

- Czyli wyszło na moje - wtrąciła lady Edith. - Nie mogłaś odmówić przyjaciółce, która znalazła się w trudnym położeniu. Tylko powiedz Marchowi prawdę i...

- Nie! - Sprzeciw był tak głośny, że Honey, zwinęta w kłębek na kolanach lady Edith, raptownie szczerknęła. Zakłopotana Alison zniżyła głos. - Nigdy by mi nie uwierzył. Wszyscy uważają, że oszukałam Susannah Brent na tysiące funtów. Zaklinam cię, pani, nie mów mu! Przysiękałam mi...

- Dobrze, dobrze - uspokoiła ją lady Edith. - Dałam ci słowo, więc go dotrzymam. - Zawahała się. - Bardzo się cieszę, kochaneńka, że obdarzyłaś mnie zaufaniem.

- Ja też. - Alison roześmiała się niepewnie. - Nie mogłam zacząć naszej znajomości od kłamstwa, a przy tobie, pani, łatwo było mi się zwierzyć. Cieszę się, że jest między nami szczerść, bo twoja przyjaźń, pani, wiele dla mnie znaczy.

Starsza pani czule musnęła dłoń Alison.

- Dziękuję, kochanie. Jednakże - ciągnęła z powagą - stanowczo uważam, że popełniasz gruby błąd. Było nie było, March nie ma pojęcia, że Alison Fox jest tajemniczą Lissą Reynard, której tyle czasu szuka. Uważa cię po prostu za najzwyklejszego farbowanego lisa... Co się stało? - zdziwiła się, bo Alison parsknęła śmiechem.

Zakłopotana Alison przytknęła palce do warg.

- Och, nic takiego. Po prostu ironia słów. Kiedy chodziłam do szkoły, przyjaciółki nazywały mnie podobnie. Wołały za mną Farbowany Lis. Ze względu na nazwisko, naturalnie.

Lady Edith pobłażliwie się uśmiechnęła.

- Twoje przyjaciółki musiały mieć wybitne, choć nieco spaczony poczucie humoru. A wracając do Marcha, musimy po prostu przekonać go o twojej uczciwości. Wtedy za tydzień spokojnie wróci do Londynu, do swojej okropnej narzeczonej.

Alison westchnęła.

- Obawiam się, milady, że może nie zwrócić uwagi na czystość moich intencji, gdy dowie się, że zamierzasz podarować mi tysiąc pięćset funtów.

- Duby smalone - odparła energicznie starsza pani. - Sprawia mi przyjemność, że mogę spełnić twoje największe marzenie, chociaż wcale nie mam ochoty się z tobą rozstać. No, chyba że wyszłabyś za męża. Nie mogę zrozumieć, dlaczego młoda i urocza osoba, taka jak ty, odmawia sobie wsparcia, jakie daje dobry mąż i własny dom, i woli zamiast tego otworzyć seminarium dla panien.

- Już o tym rozmawialiśmy, droga lady Edith. Mam dwadzieścia osiem lat, zatem niezaprzeczalnie jestem starą panną. w dodatku wcale nie pragnę wyjść za mąż. Z tego, co widzę wynika, że jeśli kobieta nie ma wielkiego upodobania do dzieci, stanowczo lepiej jej bez męża. Jak w tym starym dowcipie: mogę sobie kupić gadającą papugę, która peroruje, rybę, która pije, i kota, który wychodzi na całe noce. Po co mi jeszcze mąż?

Lady Edith skwitowała facecję machnięciem ręki.

- Co prawda sama nigdy nie wyszłam za mąż, ale wiem, że małżeństwo może znaczyć bardzo wiele. - Westchnęła. - Niech tam, nie powiem o tym ani słowa więcej. Chcesz mieć szkołę, będziesz miała szkołę. Pst, kochanie - dodała natychmiast, widząc w oczach Alison znajome oznaki budzącego się sprzeciwu. - Mam więcej pieniędzy niż przystoi dobrej chrześcijance, a taka drobna suma naprawdę nie stanowi dla mnie wydatku!

- Nie powiedziałabym, że tysiąc pięćset funtów jest drobną sumą!

- Mniejsza o to. Martwię się tylko, że nie znajdę nikogo innego, kto chciałby tu zamieszkać i zgodził się ze mną choćby w połowie tak dobrze jak ty.

- Nie sądzę, żeby lord Marchford widział twój szczodry gest w tym samym świetle, milady. Tylko jeszcze mocniej będzie podejrzewał, że wpadła pani w sieć podłej intrygantki, która czyha na osoby o dobrym i otwartym sercu.

Lady Edith wydała odgłos niebezpiecznie podobny do pogardliwego prychnięcia.

- Przekonanie bratanka, że nie jestem łatwowierną staruszką, która daje się brać na zręczne pochlebstwa, nie powinno mi sprawić kłopotów.

Alison zdobyła się na nikły uśmiech.

- Lord Marchford na pewno ma dość rozsądku i doświadczenia, żeby to wiedzieć.

Lady Edith odwzajemniła jej uśmiech.

- Miejmy nadzieję. No, dobrze. - Znów wstąpiła w nią energia. - Zbliży się pora kolacji. W tej granatowej sukni z lustrzyny pięknie wyglądasz. Pasuje ci, a poza tym jest w niej dostojeństwo. Czyli właśnie to, czego nam potrzeba, przynajmniej w tej chwili, *n'est pas*?

Mniej więcej godzinę później Alison przeglądała się w lustrze, mrużąc powieki. Adrienne, wzorowo wyszkolona pokojówka, przydzielona jej w swoim czasie przez lady Edith po usilnych naleganiach, zczesła ciemne włosy swej pani do góry i upięła na czubku głowy. Tylko kilka kosmyków swobodnie wiło się po bokach dla przyciągnięcia uwagi. Mimo to Alison wciąż sprawiała wrażenie osoby statecznej. Granatowa suknia miała skromny dekolt, ale była tak dobrze skrojona, że zamaskowane okrągłości ciała dyskretnie rysowały się pod materiałem, co osiągnięto dzięki odpowiednim zaszewkom. Dalej suknia luźno i efektownie opadała ku dołowi *à la Van Dyck*.

Alison nie wątpiła, że w oczach lorda Marchforda będzie wyglądać odpowiednio do swojej pozycji: jak niezastąpiona towarzyszka hojnej chlebobdawczyni. Zapinając naszyjnik z ametystów, znieruchomiła. Może lady Edith się nie myli, może wcale nie należy obawiać się hrabiego. Zamknęła oczy i przywołała w myślach jego obraz. Przyjrzała mu się dokładnie. Z pewnością nie wydawał się przerażający. Był wysokim jasnym szatynem. Włosy nosił przycięte krócej niż dyktowała moda. Nad wysokim czołem układały się one w całkiem niemodną falę. Budowę ciała hrabiego prędeż nazwałoby się krępa niż masywną. Rysy twarzy miał regularne, choć dość surowe, podbródek wydatny, kwadratowy. Pozornie nie wyrastał ponad przeciętność, chociaż... Coś w nim jednak

jest, pomyślała niespokojnie. Odniosła wszak wrażenie, że niebezpiecznie wejść temu człowiekowi w drogę, promieniuje bowiem od niego siła. Na wspomnienie pogardy i gniewu, odbijających się w jego piwnych oczach, Alison zdrzała.

To nieuczciwie! - miała ochotę krzyknąć. Nie zrobiła nic złego. Jedyłą jej winą było to, że pomogła przyjaciółce. Jak mogła przewidzieć nieszczęście, które z tego wynikło?

- Proszę cię - z płaczem błagała ją Beth. - Wiem, że Jack nie powinien był grać tak ostro... i że źle zrobił, gdy ukradł, żeby spłacić długi. Ale gdyby mógł odzyskać te pieniądze...

- Pomyśl, Beth, co ty mówisz! Cztery tysiące funtów... - Alison aż zachłysnęła się z wrażenia, gdy usłyszała, o jaką sumę chodzi.

- Wiem, najdroższa. Dlatego przyszedłam właśnie do ciebie. Jack ma cztery miesiące na zwrócenie tych pieniędzy, a nie znam nikogo innego, kto mógłby tyle zdobyć w tak krótkim czasie.

Alison zostawiła więc w domu niedomagającego ojca i wyruszyła zdobywać fortunę w zdradzieckim świecie wielkiego hazardu. Nie chcąc plamić dobrego imienia rodziny, pogodziła się z rolą ekscentryczki. Przyjęła pseudonim Lissa Reynard i przywdziała przebranie, w skład którego wchodziły brązowa peruka i przyciemnione okulary. Druga z wtajemniczonych szkolnych przyjaciółek, Molly Selwyn, obecnie wicehrabina Callander, odniosła się do intrygi z wielkim entuzjazmem. Natychmiast zadeklarowała swój udział i obiecała udzielić ekscentrycznej pannie Reynard gościny w Londynie, powołując się na znajomość, jaką zawarły niedawno w Brighton.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Przy karcianych stolikach Alison odnosiła fenomenalne sukcesy. Udało jej się zgromadzić potrzebną sumę na długo przed wygaśnięciem terminu, jaki wyznaczono mężowi Beth. Z wielką ulgą rozstała się więc z peruką i okularami, odebrała wyrazy wylewnej wdzięczności przyjaciółki i schroniła się z powrotem na plebanii ojca.

Dopiero wiele miesięcy później dowiedziała się, że po jej wyjeździe doszło do tragedii. Znalazłszy przypadkową wzmiankę na ten temat w liście dalekiej znajomej, zaczęła szukać dalszych informacji. W końcu przyparta do muru Molly potwierdziła, że młody William Brent, drugi syn hrabiego Marchfordu, i jego żona Susannah zginęły tragicznie w okolicznościach, które zdaniem wielu osób wcale nie były przypadkowe.

Było powszechnie wiadomo, że Susannah często grywała w karty z tajemniczą Lissą Reynard i straciła w ten sposób poważną sumę. Susannah szeroko o tym rozповідаła dodając, że panna Reynard jest zwyczajną szulerką. W towarzystwie słuchano jej potakując w milczeniu, pamiętano bowiem ekscentryczne maniery i fenomenalne szczęście panny Lissy, której nikt bliżej nie znał. Trudno powiedzieć, czy William Brent też uważał, że jego żonę oszukano, na pewno jednak był bardzo głęboko niezadowolony ze swojej małżonki. Chodziły pogłoski, że poczynił przygotowania, by wysłać ją na prowincję, do Marchford Park, rodowej siedziby Brentów w Hampshire. Ojciec Williama, ówczesny lord Marchford, podobno dążył do pogodzenia małżonków. Niestety, wicehrabia Rivington, brat Williama, a zarazem jedyna osoba w rodzinie, której William być może by posłuchał, znajdował się wówczas za granicą. Natomiast Lissa Reynard znikła bez śladu.

Trzy tygodnie po opuszczeniu przez pannę Reynard londyńskiego towarzystwa lord Rivington wrócił do Londynu i tam dowiedział się, że jego brat William zginął, bezskutecznie usiłując ratować żonę, która rzuciła się w nurty rzeki płynącej przez Marchford Park. W jakiś rok później stary hrabia zaniemógł na płuca i lord Rivington został jego następcą. Niektórzy powiadali, że zdrowie starego hrabiego nadszarpnęła głęboka żaloba.

Molly ostrzegła Alison, że syn starego hrabiego, Anthony Brent, nowy lord Marchford, rozpętał kampanię na wielką skalę, chce bowiem odnaleźć i zniszczyć Lissę Reynard. Molly pisała:

Jeśli mam być szczera, Alison, to muszę Ci wyznać, że gdy przyszedł mnie odwiedzić, był siny ze złości. Próbowalam odwieść go od przekonania, że pozbawiłaś jego siostrę środków do życia, ale nie chciał o tym słyszeć. Uznał, że staram się usprawiedliwić swój chybiony sąd o Twoim charakterze, bo przecież to ja Wprowadziłam Cię do niczego nie podejrzewającego towarzystwa. Najmilsza, cokolwiek zamierzasz robić, trzymaj się z dala od Londynu, a przede wszystkim módl się, żebyś nigdy nie natknęła się na hrabiego Marchfordu.

Alison znowu zerknęła do lustra i westchnęła. Wkrótce potem zmarł jej własny ojciec i wuj Matchingham postarał się dla niej o posadę damy do towarzystwa u lady Strangeways, żyjącej w odosobnieniu we wspaniałej dziczy Northumberlandu. Jakiś czas później Alison dostała wiadomość o śmierci Beth podczas porodu. Pograżyła się w żalobie nie tylko dlatego, że straciła przyjaciółkę, lecz również z powodu niepotrzebnego poświęcenia dla jej nic nie wartego męża, Jacka Crawforda. U lady Strangeways mieszkała bezpieczna, choć dręczona wyrzutami sumienia, póki nie wzięła jej pod swoje skrzydła lady Edith.

Z, wolna uwierzyła, że stworzyła sobie bezpieczny światek i że gdy zamknie się w murach szkolnej twierdzy, nic już nie będzie w stanie naruszyć jego granic. Niespodziewanie jednak odkryła, że zdemaskowanie grozi jej dosłownie w każdej chwili, a to za sprawą bratanek chlebobawczyń. Przeżyła kolejną katastrofę. Ale ponieważ bratanek jakoś nie zjawiał się z ognistym mieczem w dłoni, po pewnym czasie znów uznała, że może czuć się bezpieczna. I w tym przeświadczeniu żyła aż do dzisiaj.

Bezwiednie wzięła z toaletki jedwabny szal, który dostała od lady Edith w prezencie na ostatnie Boże Narodzenie, i narzuciła go sobie na ramiona. Może lady Edith miała jednak rację. Alison dziękowała Bogu, że swą

występną działalność w Londynie uprawiała pod pseudonimem i w przebraniu. Teraz właściwie nie było powodu, żeby hrabia Marchfordu miał podejrzewać ją o to, że jest kimś więcej niż zwykłą córką pastora. Jeszcze raz zerknęła z z troskaniem w lustro i energicznym krokiem wyszła z pokoju.

3

Ciotka miała rację, pomyślał March z rozleniwieniem, puszczając panie przodem do wnętrza eleganckiej siedziby Górnych Sal Asamblowych przy Bennet Street. Towarzystwa było zaiste jak na lekarstwo. Przesunął spojrzeniem po ruchliwych grupkach odświętnie ubranych dam i dżentelmenów. Poznał kilka osób, lecz wśród nich nie było nikogo, z kim miałby ochotę natychmiast wdać się w rozmowę.

March z Alison pokonali krótki dystans z Royal Crescent do Górnych Sal Asamblowych piechotą, natomiast lady Edith, której towarzyszyli, zaniesiono tam w lektyce. Po drodze rozmawiali o wszystkim i o niczym, March zdawał sobie jednak sprawę z napięcia, widocznego w drobnej postaci panny Fox. Prawie nie brała udziału w zonglerce słowami, a gdy dotarli do celu, wyraźnie odczuła ulgę.

- Od czego zaczynamy? - spytała lady Edith, gdy oddali wierzchnie okrycia do szatni. - Od tańców czy od kart? Bo na jedzenie nikt z nas chyba jeszcze nie ma ochoty. No, więc pewnie zdecydujemy się na tańce - skonkludowała, nie czekając na odpowiedź. - Pójdiesz z nami, March, czy skryjesz się w sali karcianej?

- W karty mogę pograć później - odparł bratanek. - Teraz z przyjemnością zaprowadzę panie do sali balowej.

Gdy tam weszli, akurat kończył się kontredans. Lady Edith natychmiast wypatrzyła dobrą znajomą i zajęła miejsce obok niej na jednym z krzeseł ustawionych wokół parkietu.

- Możecie sobie zatańczyć. Macie na to moje przyzwolenie. - Wykonała ledwo zauważalny gest w stronę hrabiego, który zwrócił się do Alison.

- Wygląda na to, że zostaliśmy porzuceni, panno Fox. Ale, jak widzę, ustawiają się nowe szeregi. Czy mogę dostąpić zaszczytu zatańczenia z tobą, pani?

Alison wzdrygnęła się i cofnęła o krok, jakby przyłożył jej do twarzy rozżarzony pogrzebacz.

- Nie, milordzie! Chciałam powiedzieć, że zazwyczaj nie tańczę. Wydaje mi się niestosowne...

- To są niestosowne dyrdymały! - Ich wymianę zdań podśledzała lady Edith. - Alison, przecież bardzo lubisz tańczyć, a poza tym nie ma nic niestosownego w tym, że młoda, powabna kobieta bawi się w ten sposób.

Alison niechętnie pozwoliła hrabiemu wyprowadzić się na parkiet. Na szczęście był to kolejny kontredans, więc partnerzy prawie się nie dotykali i mieli mało okazji do rozmowy. Mimo to Alison nie mogła zapomnieć o bliskości Marchforda, wyczuwała ją nieustannie, od chwili gdy zawitał do domu lady Edith. Wtedy, gdy pojawił się tam przed kolacją, w płaszczu z umiarkowanie obszerną peleryną i lśniących wysokich butach, był uosobieniem elegancji, dżentelmenem w każdym calu. Teraz jego wieczorowy strój i włosy odbijające światło świec nadawały mu bardzo efektowny wygląd. Za dnia jego oczy miały po prostu jasny odcień brązu, teraz rzucały leniwe, lwie błyski.

Alison przegoniła płochę myśli, uprzytomniła sobie bowiem, że kontredans dobiegł końca. Hrabia sprowadził ją z parkietu, nadal opowiadając jakieś głupstwa. Gdy potok jego wymowy nagle się urwał, rozejrzała się dość nieprzytomnie po sali i z niejaką ulgą zauważyła zbliżającego się pułkownika Rayburna. Rozśmieszyło ją, że pierwszy raz na jego widok nie wpadła w stan absolutnej rezygnacji. Ostatnimi czasy pułkownik zalecał się do niej bardzo usilnie, czuła się więc przy nim jak obłożona forteca. Wprawdzie nie uważała, by George'owi Rayburnowi można było cokolwiek zarzucić, lecz po prostu nie szukała męża, nawet gdyby miał być bez zarzutu.

Mimo to gdy pułkownik ujął jej dłoń i poprosił ją do walca, przyjęła to zaproszenie z prawie że niestosownym ożywieniem. I choć partner trzymał ją chyba odrobinę bliżej, niż nakazywały rygory, Alison nie zwracała na to uwagi. Potem tłumaczyła sobie, że pułkownik mógłby nawet deklamować w tańcu dwuznaczne wierszyki, a i tak nie usłyszałaby z nich ani słowa, była bowiem bez reszty pochłonięta śledzeniem postaci hrabiego Marchforda, który nieustannie nasuwał jej się przed oczy. Nie tańczył, lecz przemieszczał się po sali, wymieniając tu i ówdzie po kilka przyjaznych zdań z innymi nie tańczącymi osobami, siedzącymi na sofkach otaczających parkiet. Niekiedy spoglądał w jej stronę i wtedy zniecała czuła pulsowanie krwi w gardle. Miała wrażenie, że czyha na nią drapieżnik z dżungli. Ku swej irytacji nie potrafiła jednak nie odwzajemnić jego spojrzenia.

- Święta prawda, lady Fortescue - powiedział March, uśmiechając się do matrony, z którą prowadził konwersację. - Nic dodać, nic ująć. Swoboda, na jaką pozwala się dziś młodym ludziom, woła o pomstę do nieba. To doprawdy skandal. Te brewerie, które wyprawiają w Londynie, są odrażające.

Z, tymi słowami pożegnał rozmówczynię, zostawiając ją w przykryj niepewności, jakie to brewerie miał na myśli, i stanął w pobliżu drzwi, skąd mógł niepostrzeżenie obserwować pannę Fox. Zdziwiło go, jak mógł uznać, że jest bezbarwna. Tymczasem panna Fox odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się z żartu partnera, który sam też wybuchnął śmiechem, zdaniem hrabiego wyjątkowo głupim i rechotliwym. W zestawieniu z wysoko upiętymi, kruczoczarnymi włosami jej skrzące się oczy wydały mu się płamami słońca tańczącymi na falach tropikalnego morza. Widoczny rumieniec na policzkach panny Fox przywiódł mu na myśl różę na śniegu, zwróciło też jego uwagę, że spódnica jej sukni unosi się w tańcu, odkrywając pobudzające wyobraźnię krzywizny. Poczul ściskanie w gardle.

Nie gorączkuj się, człowieku, upomniał się w duchu. Nigdy nie znajdował upodobania w uwodzeniu dla samego uwodzenia, a poza tym ta kobieta stanowiła dla niego zakazany owoc. Tymczasem taniec dobiegł końca i Marchford z kwaśną miną dojrzał następnego dżentelmena, który podszedł do panny Fox, by z galanterią zaprosić ją na parkiet, tym razem do kadryla. Był nieco młodszy od pułkownika, miał trochę więcej włosów na głowie, no i był nieco grubszy niż ów wojak w stanie spoczynku. Prawdopodobnie miał również grubszy portfel. Hrabia doszedł do tego cynicznego wniosku obserwując ciepły uśmiech, jakim panna Fox obdarzyła nowego partnera.

- Rzadko cię ostatnio spotykam, pani - powiedział sędzia Hadley, zachwycony widokiem zaróżowionej twarzy partnerki.

Alison natychmiast się odprężyła. Sędzia również należał do grona jej wielbicieli, ale ze swymi względami darzył po równo chyba wszystkie niewiasty w Bath, nie czuła się w jego obecności zagrożona. Ponieważ zaś lubiła jego autoironiczny humor, a on jej towarzystwo, traktowała go raczej jak dobrego znajomego niż kandydata do ręki.

- Widzę tu Marchforda - ciągnął sędzia. - Przyjechał w odwiedziny do ciotki, prawda?

Jeśli nawet Thomas Hadley zauważył, jak nagle usztywniły się plecy, na których trzymał dłoń, to powstrzymał się od komentarzy.

- Tak - cicho potwierdziła Alison. - Dziś po południu. Lady Edith bardzo się z tego ucieszyła - paplała, choć brakowało jej tchu. - Pewnie pobędzie tu z tydzień.

- Może - odparł sędzia. - Ale słyszałem, że wkrótce mają go zakuć w małżeńskie kajdany.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Powiedziała to bardzo chłodno i zaraz skierowała konwersację na inny, bezpieczniejszy temat. Gdy tylko muzyka ucichła, natychmiast uciekła od pana Hadleya. Chciała wrócić do lady Edith, ale zatrzymał ją znajomy od niedawna głos, który rozległ się tuż za jej plecami.

- Znowu słyszysz muzykę, panno Fox. Poczytam sobie za zaszczyt, jeśli taka zręczna tancerka jak ty, pani, ofiaruje mi ten taniec.

Alison gorączkowo szukała pretekstu do odmowy, ale lord Marchford, nie czekając na odpowiedź, wprowadził ją w rytm muzyki. Omal nie zachłysnęła się powietrzem, gdy położył jej dłoń na plecach: przez jedwabną tkaninę sukni sączyło się ciepło. Pomyślała, że na szczęście przez większą część tańca będą poruszać się osobno. Gdy jednak hrabia pochylił się, by powiedzieć jej coś do ucha, poczuła uderzenie gorąca. Te usta były zatrważająco blisko.

- Tańczymy ze sobą już drugi raz - szepnął - a zatem mogę dziś nie mieć więcej okazji zbliżenia się do ciebie, pani. - Serce zabiło jej jak szalone. - Bardzo jednak zależy mi na tym - ciągnął hrabia - żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

Te słowa okazały się skutecznym remedium na gorączkę: ostudziły ją jak kubek zimnej wody. Spojrzała mu w oczy, zdumiona.

- Nie rozumiem, milordzie - bąknęła.

- Bardzo proszę - nalegał. Alison zastanowiło, czy się nie zmęczył tańcem, brakowało mu bowiem tchu. - Nie żywię bynajmniej złych zamiarów w związku z twoją osobą, pani. Musimy jednak porozmawiać o pewnej sprawie.

- Rozumiem. - Alison siłą woli opanowała drżenie głosu.

- Czy mogę zaproponować przechadzkę po Sydney Gardens w dniu jutrzejszym? Naturalnie jeśli pozwolą ci na to, pani, obowiązki wobec ciotki - dodał z ukrytą ironią.

- Musielibyśmy się spotkać dość wcześnie, milordzie. - Boże, na pewno usłyszał, jak głośno bije jej serce. Wzięła głęboki oddech. - Lady Edith zwykle wstaje o ósmej i je śniadanie u siebie w pokoju. Potem idzie do pijalni. Ponieważ dotrzymuję jej tam towarzystwa, więc muszę wrócić do domu najpóźniej na jedenastą.

- Znakomicie. Wczesną porą nikt nie będzie nas niepokoił. Przyjadę po ciebie o ósmej, pani.

Zgodnie z zapowiedzią, tego wieczoru Alison prawie go już nie widziała, albowiem po wyjściu z Sal Asamblowych odprowadził ciotkę tylko do drzwi domu. Nie przekraczając progu, uchylił kapelusza i obiecał przyjść nazajutrz w porze zgiełku spodziewanego z okazji przyjazdu Meg.

Lady Edith niezwłocznie udała się na spoczynek. Alison wnet poszła za jej przykładem, lecz przez większą część nocy tylko leżała na łóżku i gapiała się w sufit. Snuła przypuszczenia na temat zbliżającej się rozmowy z hrabią Marchfordu. Żadne z wyobrażeń nie było dla niej przyjemne, więc gdy mniej więcej na godzinę przed świtem wreszcie zapadła w niespokojny sen, dręczyły ją wizje, w których jaśnie pan hrabia albo w wielkim gniewie wywoził ją z domu ciotki, albo z dachów rezydencji przy Royal Crescent wykrzykiwał coś o jej niegodziwości.

- Zachowujesz się bardzo niemądrze, kochaneńka - powiedziała jej lady Edith po powrocie z Sal Asamblowych. - Ale jeżeli się boisz, to sama mogę z nim porozmawiać.

- Nie, dziękuję, milady. On będzie chciał się przekonać osobiście, co ze mnie za indywiduum. Nie mogę go za to winić. Spotkam się z nim zgodnie z umową.

Gdy więc następnego dnia hrabia przybył o ustalonej porze, Alison czekała na niego w bibliotece. Była pełna złych przeczuc i niepokój odbierał jej chęć do życia. Słyszając anons kamerdynera, zdobyła się jednak na uśmiech i z nadzieją, że wygląda jak osoba pewna siebie, wstała, by powitać przybysza.

- Uroczym dziś, pani, wyglądasz - powiedział hrabia. Ponieważ przed wyjściem z sypialni Alison zdążyła cztery razy się przebrać i w końcu włożyła bardzo prosty, brązowy wełniany komplet, który miała jeszcze z lat

spędzonych na plebani!, nawet nie przyszło jej do głowy, że może uznać jego słowa za komplement. Zerknęła na hrabiego z ukosa, podziękowała chłodno i wyszli z domu.

Droga z Royal Crescent do Sydney Gardens była długa, a jej wydała się jeszcze dłuższa, mimo iż lord Marchford nie miał trudności z wypełnieniem tego czasu rozmową. Zanim dotarli do lokalnej odmiany ogrodów Vauxhall, Alison dowiedziała się, jak na swój gust trochę za dużo, o sytuacji w Hiszpanii, o prawdopodobieństwie rozwoju księcia regenta z nieatrakcyjną żoną oraz o kłopotach angielskich klas niższych wywołanych przez prawa zbożowe. Za bramą parku jednakże hrabia z zadziwiającą szybkością pociągnął ją ku ławce stojącej na uboczu, aczkolwiek nie w jawnie nieprzyzwoitym ustroniu. Nawiasem mówiąc, wczesnym rankiem na zasypanych liśćmi parkowych ścieżkach i tak nie było widać ani jednego spacerowicza.

- No, dobrze, panno Fox - zaczął hrabia uprzejmie. - Nie jestem człowiekiem, który zwykł tracić czas na niepotrzebne wstępy, więc jeśli, pani, pozwolisz, przejdę od razu do rzeczy. Mieszkasz u mojej ciotki od mniej więcej dwóch lat, prawda? I w tym czasie - ciągnął, nie czekając na odpowiedź - zrecznie wkradłaś się w jej łaski.

Alison przewyciężyła chęć natychmiastowej ucieczki. Zaciśnęła dłonie na podolku i spojrzała lordowi Marchfordowi prosto w oczy.

- Twój ton, milordzie, i twoje słowa głęboko mnie obrażają. To prawda, że lady Edith darzy mnie bardzo ciepłymi uczuciami, ale odwzajemniam je ze wszech miar. Początkowo wprawdzie odnosiłam się do niej życzliwie dlatego, że w tym celu mnie zatrudniono, z czasem jednak przekonałam się, że lady Edith jest naprawdę wyjątkowo dobrą i łaskawą osobą. Teraz bardzo ją poważam i poczytuję sobie za honor, że okazuje mi tyle łaskowości. Co zresztą nie powinno cię, panie, interesować - ucieła zirytowana.

- Bardzo się mylisz, pani - odparł uprzejmie, choć Alison czuła groźbę kryjącą się w tych słowach. - Twoja znajomość z ciotką Edith interesuje mnie w najwyższym stopniu. Może cię tym, pani, zaniepokoję, ale przyjechałam tutaj położyć kres tej znajomości.

- Obawiam się, że nie masz, panie, ani dość siły, ani pieniędzy, by doprowadzić do zerwania szczerzej przyjaźni - odparła Alison.

Marchowi wydało się, że błękitne jak niebo oczy zasnuła nagle burzowa chmura. Wbrew sobie wykrzywił usta w uśmiechu.

- Rozumiem. Znaczącym słowem jest tutaj „szczerzy”, prawda? Nie przekonałaś mnie, pani. Nadal uważam, że twoje uczucie do lady Edith opiera się jedynie na wyobrażeniu bliskiego i łatwego bogactwa.

Alison poczuła gwałtowne pragnienie spoliczkowania lorda Marchforda, ale jeszcze raz przywołała się do porządku. Dawno już odkryła u siebie szczególną umiejętność poznawania uczuć innych ludzi, nawet jeśli były one głęboko ukryte. Częściowo właśnie dzięki temu odnosiła sukcesy przy zielonym stoliku. Teraz, przyglądając się w milczeniu hrabiemu, uświadomiła sobie nagle, że za cynizmem w jego słowach kryje się szczerza troska o dobro ciotki. Miłość, jaką darzył starszą krewną, była widoczna jak na dłoni. Alison uznała więc, że nie może mieć do hrabiego pretensji. Po prostu chciał uwolnić bliską mu osobę od naciągaczki. Westchnęła.

- Milordzie - odezwała się po chwili. - Naprawdę nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. - Zignorowała kpiące uniesienie brwi. - Nie mam zamiaru pozbawić twojej ciotki środków do życia. Lady Edith jest dla mnie bardzo hojna i, o ile wiem, zamierza dalej okazywać mi swą hojność. Musisz wiedzieć, panie - zawahała się - że gdy pierwszy raz wspomniała o szczerzym zapisie na moją rzecz w testamencie, sprzeciwiłam się temu bardzo zdecydowanie.

- To mnie wcale nie dziwi - burknął hrabia. - Najsprytniejsze naciągaczki zadają sobie wiele trudu, żeby odwieść swoje ofiary od urzeczywistnienia altruistycznych zamiarów.

- To prawda, milordzie. - Alison obawiała się, że od zaciskania dłoni podziurawi paznokciami rękawiczki. - Ale uczciwe osoby zachowują się w ten sam sposób, więc wydanie autorytatywnego osądu po tak krótkiej znajomości jak nasza może być dość trudne.

March znowu nie potrafił ukryć uśmiechu. Nieglupia ta panna Fox, pomyślał z mimowolnym podziwem.

- Czy próbowałaś, pani, powiedzieć ciotce, że nie przyjmiesz takiego zapisu? - spytał wciąż tym samym, spokojnym tonem.

- Nie. Z tej prostej przyczyny, że mam zamiar go przyjąć. - Usiadła wygodniej, z dużą satysfakcją przyglądając się zaskoczeniu hrabiego. Podjęła chłodno: - Za każdym razem, gdy skarżyłam się przed lady Edith, że jej szczodrość jest dla mnie kłopotliwa, twoja ciotka, milordzie, sama popadała w zakłopotanie. Wkrótce zrozumiałam, że myśl o darze, jakim zamierza mnie uhonorować, sprawia jej wielką przyjemność. Być może nie znasz, panie, z własnego doświadczenia radości, jaką daje uszczęśliwienie kochanego człowieka - zakończyła, obrzucając go niewinnym spojrzeniem.

Hrabia zaczerwienił się; na chwilę zamilkł. Gdy znów się odezwał, nie starał się już ukryć gniewu.

- Czy chcesz powiedzieć, pani, że moja ciotka darzy cię miłością?

- Tak - odparła wyzywająco. - Nie wiem, panie, czy jest sens to mówić, skoro i tak mi nie uwierzysz, ale odwzajemniam tę miłość. Lady Edith jest dla mnie rodziną, kimś bardzo bliskim.

- Te zapewnienia przechodzą ludzkie wyobrażenie, panno Fox.

- Milordzie - powiedziała cicho. - Prawdopodobnie bez względu na to, co powiem, pozostaniesz przekonany, że

jestem niegodziwym potworem, więc nie pozostaje mi nic innego, jak stąd odejść. Chcę cię jeszcze tylko poinformować, panie, że bardzo serdecznie podziękowałam lady Edith za dokonanie zapisu w testamencie, jak również za sumę tysiąca pięciuset funtów, którą zamierza mi подарować z końcem tego roku.

- Co takiego? - ryknął hrabia.

- Waśnie tak. Twoja ciotka wie, że chciałabym otworzyć szkołę dla panien. Mówi nawet, że wtedy mogłabym zrezygnować z miejsca u niej, choć naturalnie tę wielkoduszną propozycję odrzuciłam. Nie rozumiesz, panie?! - wykrzyknęła nagle, tracąc cierpliwość. - Lady Edith chce tego. Sprawi jej to wielką radość, a taka suma nie ma dla niej znaczenia, sama solennie mnie o tym zapewniła. Natomiast dla mnie to jest manna z nieba. Zamierzam więc przyjąć ten wielkoduszny dar w duchu, w jakim jest mi dany. Racz zauważyć, milordzie - ciągnęła zdesperowana - że moja matka umarła, gdy byłam jeszcze małym dzieckiem. Wychowywał mnie ojciec, który był wspaniałym człowiekiem, ale matki nie mógł mi zastąpić. W osobie lady Edith znalazłam ciepło i wyrozumiałość, jakich nigdy się nie spodziewałam. Wierz mi, że jej własna córka nie mogłaby mieć dla niej więcej miłości niż ja. W zamian za jej hojność mogę ofiarować tylko jedno: nieustającą przyjaźń przez te wszystkie lata, które jej jeszcze zostały. Szczerze ufam, że od dnia, w którym otrzymam spadek, dzieli mnie jeszcze wiele lat, i łączę się w tym odczuciu ze wszystkimi ludźmi, którzy kochają lady Edith.

- Piękny sposób okazywania przyjaźni - parsknął Marchford. - Kochasz ją, pani, jak córka, co? Muszę powiedzieć, że słowo „miłość” brzmi w twoich ustach nieprzyzwoicie. Córki rzadko wykazują tyle nie opanowanej chciwości, żeby za wszelką cenę chcieć się dobrać do matczynej sakiewki. - Wziął głęboki oddech i nieco spuścił z tonu. - Panno Fox, nie sądzę, by warto było przedłużać tę rozmowę. Jestem człowiekiem praktycznym, więc przygotowałem się na zaproponowanie ci tysiąca funtów za rezygnację z posady u mojej ciotki przy najbliższej nadarzającej się sposobności. Bez wątpienia odpowiesz mi, że jest to zdecydowanie mniej, niż dostałabyś w spadku od ciotki, ale ostrzegam, że jeśli odrzucisz tę ofertę, to będę się usilnie starał pokazać ciotce twoją prawdziwą twarz. Proszę mnie nie lekceważyć, panno Fox - dodał z uśmiechem. - Umiem być nieubłaganym przeciwnikiem. Mogę unicestwić twoje wielkie plany, pani, i ciebie przy okazji.

Spodziewała się podobnego oświadczenia, a mimo to poczuła się tak, jakby chlusnął jej w twarz dzbanem zimnej wody. Trzęsła się ze złości i upokorzenia. Dopiero po chwili zdołała zapanować nad głosem.

- Milordzie, nawet gdybyś zaoferował mi sumę dwakroć większą niż zapis lady Edith i nawet gdyby lady Edith nieoczekiwanie zmieniła zdanie w sprawie testamentu i obecnego daru, nie odeszłabym z tego domu. Zostanę u niej tak długo, jak długo będzie ją cieszyć moje towarzystwo.

Przez kilka chwil patrzyła mu prosto w oczy, a ponieważ nie odpowiedział, wstała i energicznie zawijając spódnicą, odeszła.

March patrzył za nią osłupiały. Rozmowa przebiegła całkiem nie po jego myśli. Kobieta odrzuciła hojną ofertę, a do tego wykazała taki brak wyczucia, że oddaliła się, zanim zdążył podbić stawkę w negocjacjach.

Co najgorsze jednak, przez chwilę zdawało mu się, że panna Fox mówi szczerze. Myślał o tym z bezgraniczną rozpaczą. Wiedział, że to niemożliwe. Znał życie, a doświadczenie nauczyło go, że młode kobiety bez złamanego pensa przy duszy nie uprzyjemniają czasu starym damom z czystej dobroci serca. Kocha ją jak córka, ładne rzeczy! Za jakiego głupca go uważa?! Ha! Pewnie za całkiem zwykłego. Za takiego, którego można oczarować spojrzeniem błękitnych oczu godnych anioła. Hrabia ciężko westchnął, wstał i powłókł się w stronę Royal Crescent.

Boże, czyżby miała go wyprowadzić w pole córka pastora, będąca, jak się wydawało, wcieleniem uczciwości i szczerości? To chyba niemożliwe, żeby osiągnęła aż taką sprawność w sztuce aktorskiej. Marchford poczuł, że bardzo chce uwierzyć pannie Fox i niezmiernie go to zirykowało.

4

U drzwi domu przy Royal Crescent hrabia wpadł w wir różowego muślinu i złotych loków.

- March! Dlaczego mi nie napisałeś, że przyjeżdżasz? - wyrzuciła z siebie jednym tchem dorastająca panna - miała kształtne różowe usta i ładne piwne oczy, skrzące się beztróską młodością. - Chcesz zobaczyć, jak mi się mieszka u ciotki Edith? Wyobraź sobie, że wreszcie mogę strząsnąć z nóg proch tej ohydnej szkoły. Och, March! I pomyśleć, że za rok będę już miała za sobą pierwszy sezon w Londynie! I będę przebierać wśród konkurentów do mojej ręki!

March z niejakimi trudnościami wyplątał się z objęć młodszej siostry i czule się roześmiał.

- Spokojnie, ty mały rozbójniku! Ani trochę nie nauczyłaś się manier w tej okropnej szkole. Nie wiem, czy nie powinnaś powtórzyć ostatniego roku.

Ponieważ jednak mówiąc to, objął ją i głośno cmoknął w policzek, nie należy się dziwić, że lady Margaret Brent zignorowała jego groźbę. Alison, która obserwowała tę scenę z progu, zdumiała się przemianą hrabiego. Surowa, pełna chłodu mina znikła, a jej miejsce zajął ciepły uśmiech. Alison pomyślała melancholijnie, że gdy Marchford darzy pięknym uśmiechem kochanych przez siebie ludzi, staje się kimś zupełnie innym niż wtedy, gdy przeszywa spojrzeniem kogoś, kim pogardza.

Tymczasem dołączyła do nich lady Edith. Cmokając ze zniecierpliwienia, zapędziła wszystkich do wnętrza

domu. Gdy usiedli w bibliotece nad herbatą, Meg ponownie wyraziła ulgę, że wreszcie wyswobodziła się z czterech ścian szkoły, a potem mówiła, mówiła i mówiła o swoich planach na zbliżający się sezon towarzyski w Londynie.

- Och, Alison! - wykrzyknęła, klaszcząc w dłonie. - Nie uwierzysz, co ci powiem! Wczoraj widziałyśmy z Sally Pargeter zachwycający kapelusz na Milsom Street. W każdym razie zachwycający moim zdaniem, bo Sally uważa, że jest frymuśny. Chodź ze mną po południu go obejrzeć. Bardzo chciałabym usłyszeć twoje zdanie.

March przyglądał się tej wymianie zdań ze sporym zaskoczeniem. Dotąd nie przyszło mu do głowy, że Meg również znalazła się w szeregach wielbicieli panny Fox. Tymczasem odniósł wrażenie, że obie doskonale znajdują wspólny język. Komuś nie wtajemniczonym w sytuację mogłoby się nawet spodobać, że tak uroczo razem wyglądają: Meg, ze złocistymi lokami, pochylona ku szczupłej, ciemnowłosej pannie Fox. March w zamyśleniu wydał wargi, próbując ocenić, jaki wpływ na jego negocjacje z tą naciągaczką może mieć jej zażyłość z Meg.

Jakie negocjacje?! Ta przebiegła uwodzicielka dała mu wszak przykładną odprawę, a przy okazji wzbudziła w nim poczucie winy, naturalnie całkiem niezrozumiałe. Przecież nie urodził się wczoraj. Mimo tych oczu niewiniątka, którymi na niego patrzyła, nie mógł zakładać, że jej deklaracje szczerości wynikają z czego innego niż chęć wyciągnięcia od niego wyższej sumy.

Ponownie skupił się na scenie, której był świadkiem. Z głęboką niechęcią stwierdził, że panna Fox i Meg bardzo rozbudowały już plany popołudniowej eskapady, która miała objąć nie tylko wizytę u modystki, lecz również poszukiwanie wstążki w określonym odcieniu zieleni.

- Wszyscy teraz to noszą - zapewniła Meg ciotkę i pannę Fox. - A ten zimny, bezduszny muślin, który kupiłyśmy w zeszłym tygodniu, koniecznie wymaga jakiejś ozdoby.

Panna Fox z powagą skinęła głową, natomiast ciotka Edith spojrzała na Meg z uśmiechem sympatii.

- Wydaje mi się, że to świetny pomysł - oznajmiła.

- Czy jednak nie chciałabyś, milady, pójść po południu do pijalni, skoro nie idziesz tam teraz? - spytała Alison.

- Owszem, chciałabym i byłabym bardzo rada z twojego towarzystwa po drodze, ale możesz mnie tam zostawić, a potem przyjdź po mnie, gdy będziecie się zbierać do domu. Poplotkuję trochę ze znajomymi.

- No, jeśli... - zająknęła się Alison.

- Jestem pewien, że nie zechcesz, pani, pozostawić mojej ciotki na tak długo wyłącznie po to, żeby przez godzinę lub dwie folgować kaprynowi kupowania byle czego. - Mina hrabiego wskazywała, że pomysł ten wydaje mu się wyjątkowo naganny, zupełnie jakby chodziło o pozostawienie lady Edith w domu wszetecznych zabaw.

- DUBY smalone pleciesz! - wykrzyknęła lady Edith do bratanka, nim Alison zdążyła odpowiedzieć. - Kochaneńka, tyle czasu cierpliwie słuchałaś mojej gadaniny o ludziach, którzy cię ani ziębią, ani grzeją, że powinnaś trochę odpocząć na Milsom Street. Zasłużyłaś sobie na to.

March nie potrafił znaleźć logicznego kontrargumentu, zaofiarował się więc, że osobiście odprowadzi ciotkę do pijalni.

- To dobry pomysł - zgodziła się natychmiast lady Edith. - Skosztujesz przy okazji wód, może wpłyną korzystnie na twoje sposobienie.

March miał dość przyzwoitości, by się zaczerwienić.

Podniecenie Meg pragnącej jak najprędzej obejrzeć kapelusz udzieliło się wszystkim, więc w pośpiechu zjedzono wczesny lunch. Niecałą godzinę później Alison i Meg szły razem po Milsom Street, zakupiwszy uprzednio odpowiednią ilość zielonej wstążki u kupca bławatnego przy Bath Street.

- Popatrz, Alison! W tej witrynie! - wykrzyknęła Meg, zdążając ku pracowni modystki. - Czyż to nie zachwycający wiejski kapelusz?

Alison zerknęła na zadziwiający twór, wystawiony w eksponowanym miejscu. W pewnym sensie może nawet uszedłby za wiejski, miał bowiem szerokie rondo, bardziej przypominał jednak kubeł na węgiel, a to z powodu niezmiernie wysokiego denka, zwieńczonego piórami. Rondo przyozdabiały niezliczone różane pączki, a całość miała trzymać się na głowie dzięki szerokiej, jaskraworóżowej wstędze opasującej podbródek.

- Wiesz, no, bardzo jest... wysoki - powiedziała Alison z wahaniem.

- Och, tak - ucieszyła się Meg. - Właśnie dlatego jest wspaniały. Wejdźmy, muszę go przymierzyć.

Meg wciągnęła Alison do sklepu i skinęła na sprzedawczynię, która zaraz podała jej żądany kapelusz. Umocowawszy go na bakier za pomocą wstęgi, zawiązanej gdzieś przy uchu, Meg przekrzywiła głowę.

- I jak?

Alison pomyślała, że najbardziej pochlebny słowem, które przychodzi jej na myśl, jest „dziwaczny”.

- Hm, rzeczywiście bardzo, no... niezwykły.

Meg odwróciła się do lustra i krytycznie obejrzała kapelusz pod różnymi kątami.

- Kupić go?

- Naturalnie zrobisz, jak uważasz, Meg, ale... zastanawiam się...

Meg obróciła się gwałtownie.

- Nad czym się zastanawiasz? Nie mów tylko, że jest zanadto wymyślny. Wszyscy mi to powtarzają, ale byłam pewna, że ty powiesz co innego.

- Powiem. Bo widzisz, jest w tym kapeluszu coś takiego, może to przez te masy róż, w każdym razie wygląda się w nim beznadziejnie młodo. Kiedy go nosisz, nie dałabym ci więcej niż piętnaście lat.

Meg głośno zaczerpnęła powietrza i obróciła się z powrotem do lustra.

- Ojej! O jejku! Chyba masz rację - powiedziała po chwili oględzin w lustrze. Westchnęła. - Powiedziałabym też, że przez te wstążki wyglądam, jakbym miała niezdrową cerę. To okropne.

- Popatrz za to na tę zabawną narzutkę. - Alison dyplomatycznie zmieniła temat. - Lady Edith na pewno uzna ją za bardzo śmiałą, ale mnie się wydaje, że będzie ci w niej do twarzy.

Meg rzuciła się przymierzyć narzutkę. Zgodnie z nadzieją Alison, uznała, że okrycie skrojono „podług najnowszej mody”. A cena okazała się tak rozsądna, że Meg nie oparła się i kupiła ponadto jedwabną chustkę z haftem przedstawiającym żołądzie.

Ponieważ beztrąsko dała wolne służącej, sama niosła potem okrągłe pudło z zakupami. Wymachując nim radośnie, dalej przemierzała Milsom Street u boku Alison. Gdy dotarły do Quiet Street, ulicy cichej tylko z nazwy, przypomniała sobie o miejscu, w którym sprzedawano inne artykuły pierwszej potrzeby: torebki, chusty i szale.

- Jeszcze zostało mi z kieszonkowego trochę pieniędzy na jakiś jedwabny drobiazg - powiedziała do Alison, która skinęła głową z pełnym zrozumieniem. W sklepiu Meg zaczęła buszować wśród luksusowej jedwabnej galanterii, a tymczasem Alison uległa pokusie i kupiła sobie zwiewną chustę przetykaną srebrną nicią, gdy więc ponownie wyszły na ulicę, były tak obciążone pakunkami, że postanowiły bezzwłocznie udać się do pijalni.

W wąskim prześwicie Bridewell Lane Meg znowu zwróciła się do swej starszej przyjaciółki.

- Powiedz mi, co sądzisz o Marchu. Czyż nie jest wspaniały? To prawdziwe szczęście mieć takiego brata.

Alison próbowała wynaleźć zręczną odpowiedź.

- Wydaje mi się... bardzo oddany rodzinie.

- O, tak. Kiedyś był z niego wielki szalapat. Słowo daję - zapewniła, widząc niedowierzającą minę rozmówczyni.

- Zanim wyjechał na kontynent, bez przerwy gdzieś się podziewał. Nigdy nie można go było znaleźć, gdy przychodziło do wypełniania „obowiązków stanu”, jak to nazywał. Papa nieustannie go karmił. Gdy wreszcie March przyjął stanowisko w dyplomacji, w zasadzie nieomal przyznał się, że zrobił to, żeby uciec od swoich powinności. Ojciec odchodził od zmysłów. Błagał Marcha, żeby nie jechał. - Meg roześmiała się z lekkim zażenowaniem. - Boże, robię z niego lekkoducha. A tak naprawdę, to March zawsze bardzo dbał o rodzinę. Moja mama umarła, gdy miałam mniej więcej dwanaście lat, a papa... no cóż, był miłym człowiekiem, ale czasem bardzo trudnym w obejściu. Kiedy umarł... och, Alison, jak wtedy było strasznie.

Nim Alison zdążyła powiedzieć choć słowo, Meg gorączkowo podjęła wątek.

- Kilka lat temu moja szwagierka weszła w zażyłość z jakąś przerażającą kobietą. Ta kobieta oszukała ją na mnóstwo pieniędzy. Biedna Susannah wpadła w rozpacz i...

- Słyszałam o tym... - wtrąciła Alison.

- Ciocia Edith na pewno ci opowiedziała. W każdym razie March dowiedział się o śmierci Williama i Susannah dopiero w kilka tygodni po fakcie, gdy wrócił do Anglii. - Na radosnej twarzy Meg pojawił się smutny grymas. - Najpierw myśleliśmy, że March oszaleje. Był z Williamem o wiele bliżej niż ja, zważywszy na to, że jest starszy. Z papą też zresztą był bliżej. No, więc od tamtej pory March się zmienił. Dosłownie w kilka tygodni wyzbył się radości życia, a zamiast tego wziął sobie na barki ciężar obowiązku i odpowiedzialności. Myślę, że czuje się do pewnego stopnia winny temu, co się stało. Przysiągł, że odda pannę Reynard, bo tak się nazywała ta kobieta, w ręce wymiaru sprawiedliwości. I nie tylko. Chciał też sam wymierzyć jej sprawiedliwość, chociaż nie wiem, jak zamierzał tego dokonać. Ale coś by na pewno wymyślił.

Alison walczyła z budzącą się w jej wnętrzu paniką. Po chwili Meg mówiła dalej:

- March szukał tej panny Reynard i szukał, niestety, rozplynęła się jak we mgle. Detektywi wciąż jeszcze ją tropią, właściwie jednak już straciliśmy nadzieję na jej odnalezienie.

Alison czuła do siebie obrzydzenie za to, co mówi, mimo to zdołała wyszeptać z napięciem:

- Ale przecież... zniszczenie panny Reynard nie przywróci życia Susannah, Williamowi ani twojemu ojcu.

- To samo powiedziałam Marchowi - oświadczyła Meg. - Tłumaczyłam mu, że jeśli kogokolwiek ta sprawa zniszczy, to tylko jego.

Alison zerknęła na Meg; była zaskoczona nieoczekiwanym dowodem jej dojrzałości.

- Ale jak mój brat coś sobie postanowi, to umarł w butach. - Meg westchnęła. - Nic go nie zniechęci. No i teraz jest chodzącym obowiązkiem.

- Może po ślubie żona skieruje jego myśli w inną stronę - zaryzykowała Alison.

Meg parsknęła.

- Panna Buzia w Ciup? Nie żartuj, Alison. Nie mam pojęcia, co March widzi w tym beznadziejnym monumencie przyzwoitości. To chyba z jego strony jeszcze jedna manifestacja nedorzecznego rozumienia swoich powinności. Czy wiesz...? - Nie wiadomo jednak, jaką to rewelację Meg zamierzała ujawnić, nagle bowiem urwała i przystanąła. - Ojej, popatrz! Idzie pan Renfrew! - Z błogą miną skupiła wzrok na dość jeszcze oddalonyj postaci.

- Pan Renfrew? - powtórzyła Alison.

- Tak. - Meg westchnęła, nie odrywając oczu od obiektu swojego zachwyty. - Nie pamiętasz? Mnóstwo ci o nim

opowiadałam. Wykładowca rysunku z seminarium panny Crumshaw.

- Ach, tak. - Alison westchnęła ze znużeniem. W rozmowach z Meg informacje o panu Renfrew zajmowały przez ostatni miesiąc nieznośnie dużo miejsca. Podążając jednak wzrokiem za rozmarzonym spojrzeniem Meg, zerknęła z niejakim zainteresowaniem na szczupłego, młodego człowieka, który zbliżał się z przeciwka. Miał on wprawdzie grzywę złocistych loków, ale w niczym nie przypominał Adonisa z opisów swej młodej entuzjastki. Alison podejrzewała zresztą, że Adonis ubierał się znacznie gustowniej i bez wątplenia darowałby sobie kamizelkę z zawitym haftem, kanarkowy frak i kołnierzyk koszuli z końcami jak szpikulce.

Wykładowca rysunku zbliżył się jeszcze trochę, a gdy poznał Meg, oczy mu zapłonęły. Wykonał ozdobny zawijas modnym kapeluszem.

- O, lady Margaret we własnej osobie - powiedział cukierkowym tonem. - Widzę, że jeszcze nie wyjechała pani z Bath.

Meg zatrzepotała rzęsami i przesłała dżentelmenowi uśmiech osoby odurzonej.

- Na razie nie. Zanim wyjadę do domu, będę mieszkać jeszcze kilka tygodni u ciotki, lady Edith Brent, przy Royal Crescent. Ojej - dodała, uprzytomniwszy sobie zaniedbanie. - To jest panna Fox, która towarzyszy mojej ciotce.

Pan Renfrew wyraził swą przyjemność z poznania panny Fox i skinął głową Meg.

- Może jeszcze się zobaczymy przed pani wyjazdem.

- O, tak - westchnęła Meg. - Mam nadzieję.

Pan Renfrew nic nie odpowiedział, tylko z uśmiechem uchylił kapelusza, życzył obu paniom miłego popołudnia i odszedł swoją drogą. Meg gapiała się za nim, śniąc na jawie, póki Alison nie przywróciła jej rzeczywistości delikatnym pociągnięciem za łokieć.

- Och, Alison! - wykrzyknęła Meg, wyciągając i wykręcając szyję, żeby jeszcze za nim popatrzeć. - Czyż nie jest wspaniały? A widziałaś, w jaki sposób na mnie patrzy? Wiem, że czuje magnetyzm, który jest między nami. Ciekawe, czy przyjdzie do nas z wizytą.

- Wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne - powiedziała ostrożnie Alison. - Pan Renfrew musi się liczyć ze swoją pozycją. Gdyby przyszedł się do ciebie zalecać, uznano by to za szczyt niestosowności.

- Górnolotne frazesy! - odpaliła Meg. - Ani jego, ani mnie nie interesuje, co mówią ludzie, a...

- Poza tym on jest dużo starszy od ciebie. Ma przynajmniej trzydzieści lat.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Głos Meg zdrzął, a oczy zaszły jej łzami ze złości. - Myślałam, że mnie zrozumiesz, Alison.

- Rozumiem cię bardzo dobrze. Pan Renfrew jest wspaniały, przynajmniej, i wcale nie mam do ciebie pretensji o to, że ci się podoba. - Udało jej się pominąć milczeniem fakt, iż fircykowały pan Renfrew nie wydaje się natchniony uczuciem do swej byłej uczennicy. Naszła ją melancholijna refleksja nad pierwszą miłością. Czy istnieje jakieś nie pisane, uniwersalne prawo, które nierozłącznie wiąże ją z cierpieniem?

Tymczasem osiągnęły wschodnie wejście do pijalni, szybko więc wkroczyły do środka, by odszukać lady Edith i jej bratanka.

Zobaczyły starszą panią prawie natychmiast. Siedziała na jednej z ławek rozstawionych po bokach, zajęta konwersacją z tęgą damą, której kapelusz z piórami był tak rozedrgany, jakby miał zaraz wzlecieć w powietrze. Lorda Marchforda Alison dostrzegła w głębi sali. Prowadził ożywioną rozmowę z grupką starszych panów.

Na widok Meg i Alison lady Edith wykonała przyzywający gest. Potem poleciła służącej zająć się ich pakunkami.

- Dobry wieczór, lady Wilbraham - powiedziała Alison z uśmiechem, bardzo starając się omijać wzrokiem groteskowy kapelusz matrony. Meg także się odezwała i niedbale dygnęła. Znała lady Wilbraham od swych najmłodszych lat.

- Meggie, rozmawialiśmy właśnie o twoim debiucie - powiedziała lady Edith. - Myślimy...

- Wnoszę, że przygotowania twoich kreacji dopilnuje siostra mieszkająca w Londynie - wtrąciła się lady Wilbraham, mierząc Meg wzrokiem z wyraźną dezaprobatą. - No, więc powiedz jej, żeby poszła do madame Olivette. To jest niesłychanie utalentowana krawcowa, która dopiero co założyła pracownię w Londynie. Postanowiłam oddać w jej ręce moją Clarice.

Clarice była wszystkim dobrze znana, lady Edith przesłała więc bratanicy karcące spojrzenie, widząc podejrzanę iskielki w jej oczach.

- Dziękuję ci bardzo, Horacjo - powiedziała uprzejmie. - Z pewnością powtórzę Eleanor twoją radę. Clarice zawsze ubiera się z wielkim, jak by tu rzec, temperamentem.

Alison podziwiała dyplomatyczne zdolności lady Edith, tym bardziej że Clarice, która z kształtu i ogólnego wrażenia przypominała nabitą kielbasę, miała godną pożałowania skłonność do prezentowania się przy każdej możliwej okazji w pełnym asortymencie marszczeń, wstążek, koronek, biżuterii i wszelkich innych dodatków, jakie tylko można było doczepić do jej korpulentnej postaci. Mimo to lady Edith okazała rozmówczyni niczym nie skażoną wzorową uprzejmość. Lady Wilbraham dźwignęła się z ławki.

- Widzę, że Mary Glenham zanudza pułkownika Rayburna. Muszę mu iść z odsieczą.

Ledwie zdążyła nieco się oddalić, ciężko krocząc po zapastowanym parkiecie, Meg wybuchnęła szaleńczym

chichotem, który tłumila od dłuższej chwili.

- Meg! - przywołała ją do porządku lady Edith. - Dość tego!

- Och, ciociu! - Bratanica zachłysnęła się radością. - Musimy przesłać lady W. bilecik z podziękowaniem. Już wiemy, której krawcowej w Londynie należy unikać jak ognia.

Na ustach lady Edith zaigrał grymas, ale jej spojrzenie wciąż było bardzo groźne, więc Meg wkrótce się uspokoiła. Alison także musiała bardzo się starać, żeby nie okazać rozbawienia.

March obserwował jej wysiłki z drugiego końca sali. Wbrew sobie musiał przyznać, że cichy urok panny Fox czyni z niej jedną z najbardziej pociągających kobiet, jakie zdarzyło mu się poznać. Surowa brunatna suknia z prążkowanego jedwabiu powinna była całkowicie zniechęcać do myśli o młodym ciełe, znajdującym się pod jej sztywnymi fałdami, hrabiego jednakże dręczyło niepokojące pragnienie, by odkryć ukryte piękno.

Przeprószył swoich rozmówców i podszedł do ławki lady Edith, usytuowanej przy wysokim oknie z widokiem na królewską łąnię.

- March - zawołała Meg. - Tyle czasu tu wytrzymałeś!? Musisz umierać z nudy!

- Przeciwnie, dzieciaku - odrzekł z rozbawieniem. - Spędziłem miłe popołudnie, odnawiając stare znajomości. W odróżnieniu od ciebie nie znajduję przyjemności w gromadzeniu fatałaszków bez umiaru. Sądząc zaś z imponującej liczby pakunków, pod którymi aż się uginasz, twoje łowy na Idealny Kapelusznik musiały się zakończyć pełnym powodzeniem.

Jakby za sprawą cichej umowy wszyscy jednocześnie wstali i ruszyli do wyjścia. Po drodze do domu Meg ze szczegółami opowiedziała o eskapadzie po zakupy.

- Chusta przetykana srebrną nicią? - powiedziała lady Edith, patrząc na Alison. - Zdaje się, że świetnie ci będzie pasowała do tego lazurowego atlasu, który wybrałyśmy na wieczorek u Budwellów.

- Właśnie z tą myślą ją kupiłam, milady - przyznała Alison. - Choć prawdę mówiąc, wciąż jeszcze nie zdecydowałam się, czy powinnam iść na to przyjęcie.

- Dlaczego miałabyś nie iść, moja kochana? To będzie jedno z największych wydarzeń towarzyskich sezonu.

- No, właśnie. - Alison zerknęła ukradkiem na lorda Marchforda. - Ludzie poczytają mi za wielką śmiałość, jeśli się tam pokażę. Będą tańce, a...

- A pewnie, że będą - wpadła jej w słowo zniecierpliwiona lady Edith. - Partnerów ci nie zabraknie. Posłuchaj mnie, Alison. Nie będę dłużej znosić tego twojego opętaneckiego pragnienia, żeby stać się niewidzialną. Nie zapominaj, że jesteś wnuczką hrabiego Trawbridge'a.

March wybałuszył oczy ze zdumienia. Tego nie wiedział. Jak to możliwe, że wnuczka hrabiego musi zarabiać na utrzymanie jako dama do towarzystwa siedemdziesięcioletniej staruszki? Czyżby była to jedna z wielu historii krnąbrnej córki arystokraty, która zawarła małżeństwo poniżej swego stanu? Czyżby hrabia wydziedziczył córkę i zostawił zbiedniałych potomków ich własnemu losowi? Tak się zdarza w dramatach, pomyślał. Ale jeśli słusznie odgadywał historię rodu, to ta jego potomkini mocno stanęła na własnych nogach. Boże, jego opętana ciotka traktowała ją zaiste jak ukochaną córkę. Lazurowy atlas i modne wieczorki, też coś.

Gdy doszli na Royal Crescent, hrabia podziękował za zaproszenie i pożegnał panie na progu, tłumacząc się umówionym wcześniej spotkaniem. Wkrótce szedł głęboko zadumany po George Street do swej tymczasowej kwatery w York House. Ku swemu zdziwieniu zaraz po wejściu dowiedział się, że w saloniku przy kawiarni czeka na niego gość.

- Dobry wieczór, milordzie - powitał go niepozorny mężczyzna, który na jego widok zerwał się z miejsca. Był w burym, bardzo przeciętnym odzieniu. Rysy twarzy miał ostre i pospolite, lecz w pewien sposób nacechowane łagodnością; można by powiedzieć, że przypominał dobrotliwego gryzonia.

- O, to pan, Pilcher - powiedział hrabia, zamykając za sobą drzwi. - Rozumiem, że usłyszę nowe wieści o panie Reynard.

5

Co do tego, milordzie - człowieczek nerwowo opadł na krzesło, widząc gest przyzwolenia - to obawiam się, że wieści nie są lepsze od poprzednich. Lissa Reynard rozpląnęła się, jakby nigdy nie istniała. Podejrzewam zresztą, że w tym właśnie rzecz.

March zmarszczył czoło. Jak ktoś mógł być tak nieuchwytny? Po powrocie do Anglii, gdy dowiedział się o tragicznej śmierci Williama i Susannah, niezwłocznie przystąpił do poszukiwania panny Reynard. Zaczął od przepytania lady Callander, która wyhodowała tę żmiję na własnym łonie. Ta jednak oświadczyła, że w niczym nie może mu pomóc. W zasadzie nie знаła panny Reynard dobrze, co wyjawiała mu ze współczuciem. Poznały się przypadkiem w Brighton, pod wpływem kaprysu zaprosiła ją w odwiedziny, nie spodziewając się, że zaproszenie zostanie przyjęte. Nie miała pojęcia, dokąd panna Reynard udała się po opuszczeniu Londynu, obiecała jednak powiadomić lorda jak najszybciej, gdy tylko czegoś się dowie. Widocznie jednak nie dowiedziała się niczego, bo się potem nie odezwała.

- Och, panie Pilcher - jęknął głośno. - Już rozważaliśmy hipotezę, że używała pseudonimu. Ale mimo to nie wierzę, że mogła ot tak, po prostu, wyparować.

- Ostatnio jeszcze raz złożyłem wizytę lady Callander, milordzie, ale zyskałem tyle samo co poprzednio. Ona

utrzymuje, że nie zna koligacji panny Reynard i niezmiennie twierdzi, że słabo ją znała.

- Krótko mówiąc, nie dowiedział się pan od niej nic, czego nie powiedziałyby mi za pierwszym razem. Czy pan jej wierzy?

- Co do tego - pan Pilcher przygryzł wargę - trudno mi zdecydować. Chyba jest szczerze zmartwiona, że pozwoliła się nabrać osobie takiego pokroju. Sprawia wrażenie naiwnej kobiety, którą łatwo oszukać. Komuś takiemu jak Lissa Reynard musiała wydać się idealną osobą, umożliwiającą wejście do towarzystwa.

- *Summa summarum* wygląda na to, że nie należy się spodziewać dodatkowych informacji od lady Callander.

Pan Pilcher uśmiechnął się kwaśno.

- Prawdę mówiąc, milordzie, podczas ostatniej wizyty lady Callander potraktowała mnie bardzo oschle. Powiedziała, że jest zmęczona moim widokiem, nie sądzę więc, by chętnie widziała mnie w swoich progach jeszcze raz.

- Od pańskich informatorów z Brighton też nie ma nowych informacji?

- Nie, i to też jest bardzo dziwne. Moi tamtejsi znajomi nie bywają w eleganckim świecie, ale, jak by tu powiedzieć, utrzymują z nim stosunki. Potwierdzają oni, że lady Callander była w Brighton niedługo przed pojawieniem się panny Reynard w Londynie, nikt w Brighton nie zna jednak nazwiska Reynard.

- Bardzo dziwne. - March zabębnił palcami po stole, potem nalał sobie kieliszek wina z karafki, którą dyskretnie postawił przy jego łokciu właściciel austerii. Podał kieliszek detektywowi, a drugi nalał sobie.

Pan Pilcher zaczerpnął tchu.

- Milordzie, jestem u kresu możliwości. Sumiennie wypróbowałem wszystkie środki, od sprawdzenia opisów kobiet wyjeżdżających dylizansem z miasta po rozmowy z modystkami i właścicielami ulubionych sklepów panny Reynard. Naturalnie, jeśli pan sobie życzy, będę pracował dalej, ale minęły już cztery lata. Trop całkowicie wystygł i uczciwie muszę cię ostrzec, milordzie, że nie sądzę, bym jeszcze mógł się na coś przydać. Bardzo mi przykro. - Pan Pilcher zdawał się szczerze żałować swego niepowodzenia. Wyrazem twarzy przypominał w tej chwili zasmuconą małpę.

March mocniej zacisnął palce na nóżce kieliszka. Więc aż do tego doszło? Czyżby wściekłość, którą pielęgnował w sobie cztery lata, miała okazać się zupełnie nieprzydatna? W takim razie musi pozwolić jej wysączyć się kropla za kroplą. Zapewne nieustannie dręczący go smutek jeszcze się nasili i dalej będzie zatruwał mu duszę, wszystko zaś przez to straszne poczucie winy. Chciał zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność i właśnie dlatego był za granicą w dniach rodzinnej tragedii. Do diaska, powinien był jej zapobiec. Wiedział wprawdzie, że to przekonanie jest zgoła bezrozumne, ale ta świadomość w niczym mu nie pomagała.

Wstał; czuł się znużony.

- Mnie też przykro, panie Pilcher. Wiem, że się pan starał. Od dziś będę kontynuował poszukiwania na własną rękę. Nie mogę się pogodzić z tym, że trzeba je przerwać.

- Rozumiem, milordzie. - Detektyw ruszył do drzwi.

- Jeszcze chwileczkę, panie Pilcher!

Człowieczek przystanął na progu i ponownie się obrócił.

- Mam jeszcze drobne zlecenie. Niech pan sprawdzi pochodzenie niejakiej Alison Fox. Utrzymuje ona, że jest córką zmarłego pastora z Ridstowe w hrabstwie Hertfordshire. Chcę się dowiedzieć, czy to jest prawda.

- Naturalnie, milordzie. To wydaje się proste. Powinienem przesłać ci, panie, potrzebne wiadomości w ciągu tygodnia.

Hrabia skinął głową, pan Pilcher wykonał jeszcze jeden ukłon i opuścił salonik, zostawiając rozmówcę przed kominkiem, na którym w irytująco wesoły sposób trzaskał ogień.

- Lissa Reynard - wyszeptał March, niemal czując gorzki smak tych słów. Ta kobieta musi gdzieś być. I on z Bożą pomocą któregoś dnia ją znajdzie. A gdy to się stanie, zniszczy ją. Pożałuje ta bezwstydnica swej chciwości, która zabiła Susannah.

Wstał i ruszył do swojego apartamentu. Obiecał ciotce, że przyjdzie na kolację, więc zamierzał wykorzystać tę okazję, by raz jeszcze porozmawiać na osobności z tą zdumiewającą panną Fox.

Jednakże na Royal Crescent wprowadzono go do biblioteki, gdzie zastał ciotkę, pannę Fox oraz Meg w ogniu dyskusji. Chodziło o bal maskowy, który miał się wkrótce odbyć w Górnych Salach Asamblowych, i stosowność udziału w nim Meg przed jej oficjalnym debiutem w towarzystwie.

- Przecież jesteśmy w Bath! - zaperzyła się Meg. - Na bal przyjdą ci sami ludzie, których zapraszamy na przyjęcia. A na przyjęciach z nimi tańczę i nie ma w tym nic złego.

- To zupełnie co innego, Meg - odparła surowo lady Edith. - Na balu maskowym będą ludzie bardzo różnych stanów. Poza tym przyjdzie również dużo osób bardzo zwracających uwagę na zasady, i te osoby po powrocie do Londynu nie zostawiłyby na tobie suchej nitki. Miałabyś fatalną reputację.

- Po co chcesz iść na ten bal, Meg? - włączyła się Alison. - Przecież ze wszystkimi znajomymi często masz okazję tańczyć u siebie albo u nich w domu. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Brintonowie zaimprovizowali wieczorek tańczący, który skończył się grubo po północy. Podobno świetnie się tam bawiłaś.

- Nie chcę tańczyć ze znajomymi, chcę zatańczyć... - Meg ugryzła się w język. - Po prostu znudziło mnie, że

zawsze widzę te same twarze dookoła. A bal maskowy to wspaniała zabawa! - Ostentacyjnie odwróciła się tyłem do obecnych i opadła na fotel obity adamaszkiem.

March, który tymczasem wszedł do pokoju, pomyślał o pragnieniu młodszej siostry ze współczuciem, powiedział jednak spokojnie:

- Meg, swoim zachowaniem dowodzisz tylko, jak dużo ci jeszcze brakuje do zajęcia miejsca wśród dorosłych.

Meg gwałtownie poruszyła się na fotelu.

- March! - Zeskoczyła na ziemię i podbiegła do brata. Odchyliwszy głowę do tyłu, wdzięcznie zwróciła ku niemu nadaśaną buzię. - Chyba można mi wybaczyć, że chcę skosztować dorosłego życia, prawda? Ale otaczają mnie ludzie, którzy wciąż widzą we mnie dziecko, a nie kobietę. Pojutrze jest bal maskowy w Górnych Salach Asamblowych, chcę tam iść.

March wznosił oczy ku górze.

- Chyba nie mówisz poważnie. Nie zauważyłem, żeby w Górnych Salach Asamblowych obyczaje zmieniały się na gorsze. Ze wszystkich wydarzeń towarzyskich, jakie mogą się tam odbywać, bal maskowy jest ostatnim, na które dałbym ci pozwolenie. Bale maskowe zawsze kończą się najgorszymi hultajstwami.

- Przecież mogłabym wyjść, gdyby zaczęło się robić nieprzyjemnie - jęknęła błagalnie Meg. - Poza tym nikt nie wiedziałby, kim jestem...

- Ani słowa więcej, Meg - uciał March, któremu wyczerpała się cierpliwość. - Twoja ciotka się nie zgadza, żebyś tam poszła, podobnie, jak widzę, uważa panna Fox... - Posłał pytające spojrzenie w drugi koniec pokoju. Alison po chwili wahania skinęła głową. - Skończmy więc z tą sprawą i porozmawiajmy o czym innym. Słyszałem, że w przyszły czwartek ma być w Sydney Gardens kolacja z fajerwerkami. Może...

- Nic mnie nie obchodzą fajerwerki w Sydney Gardens! - Meg bardzo się rozżośliła. - Chcę...

- Dość tego, moja panno - burknął March. - Jeśli chcesz się zachowywać jak rozkapryszony dzieciak, to wyjdź z pokoju.

W drugim końcu biblioteki Alison gwałtownie zaczerpnęła tchu, by powstrzymać się przed głośnym wyrażeniem niezadowolenia. Lord Marchford mógł uważać, że się na wszystkim zna, ale najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia, jak postępować z kapryśnym podlotkiem.

Meg zerwała się z fotela, na który przed chwilą ponownie się rzuciła, przyłożyła dłoń do krtani i krzyknęła łamiącym się głosem:

- Dobrze. Wobec tego spędzę resztę wieczoru w swoim pokoju. Lepszy suchy chleb w samotności niż pełny stół wśród ludzi, którzy... którzy nie potrafią... - A ponieważ nie umiała zadowolająco dokończyć tego zdania, opuściła bibliotekę w pełnym godności milczeniu.

- Naturalnie każę potem zanieść jej do pokoju kolację na tacy - odezwała się Alison, pytająco spoglądając na lady Edith.

Staruszka wybuchnęła śmiechem.

- Naturalnie. Aczkolwiek szkoda psuć jej tę tragedię, którą tak ładnie zainscenizowała. Oto ofiara okrucieństwa rodziny.

- Do jutra na pewno jej przejdzie - wtrącił March z kwaśnym uśmiechem.

Alison zastanawiała się, czy powinna wspomnieć o nauczycielu rysunku, panu Renfrew. Nie wątpiła, że to właśnie jego Meg pragnęła zobaczyć na balu i dlatego tak chciała tam iść. W końcu jednak wzruszyła ramionami. Meg często ulegała porywom namiętności, lecz na szczęście wszystkie szybko mijały. Do przyszłego tygodnia powinna zmienić obiekt zainteresowań.

Bez ożywczej obecności Meg kolacja przebiegała w bardziej wyciszonej atmosferze niż zwykle. Konwersacja toczyła się jednak gładko.

- March, nie chcesz mi chyba powiedzieć - zdziwiła się lady Edith - że Gertrudę Tissdale wystąpiła publicznie przebrana za Dianę.

- Słowo honoru, ciociu. Na balu kostiumowym u Jerseyów. Przyszła spowita w półprzeźroczyste szaty, miała do tego łuk i kołczan ze strzałami. A u pasa wisiały jej dwa martwe bażanty i zajac.

- Och, March, przecież ona jest prawie w moim wieku i na pewno waży dobrze ponad dziewięćdziesiąt kilo. - Lady Edith odwróciła się do Alison. - Pamiętasz? Po tym, jak przyjechała tu do wód w ubiegłym roku, niektórzy byli gotowi przysiąc, że gdy weszła do basenu, poziom wody sięgnął samych krawędzi.

- No, nie, lady Edith! - Alison dusiła się od śmiechu. - To przesada. Lady Tissdale jest dosyć... pulchna, ale...

- Dosyć pulchna! - powtórzył March. - Miła panno Fox, jeśli mowa o tej samej lady Tissdale, to widzę, że używasz bardzo oględnych sformułowań.

Widok roześmianej, a zarazem nieco zakłopotanej Alison sprawił go w lekkie oszołomienie. Miała rumiane policzki; jej oczy rzucały wesołe błyski. Z wielką ochotą przekonałby się, czy fale jej czarnych włosów rzeczywiście są tak jedwabiste, jak wyglądały. Odwrócił się raptownie do ciotki i ze zgrozą dostrzegł w jej oczach wyraz niezmiernie ciepłych uczuć dla panny Fox. Ciekawe, jak zareagowałaby ciotka na nagłe zniknięcie swojej ulubienicy pod jakimś błahym pozorem i czy ta oszustka, odgoniona od swej zdobyczy, nie będzie twierdzić, że wypędził ją mściwy krewny, bo w takiej sytuacji trzeba byłoby wyjawić ciotce całą prawdę, żeby zrozumiała, że to,

co się stało, zrobiono dla jej dobra.

Rozważania te poważnie zakłóciły spokój lorda Marchforda, toteż sumiennie wziął się do jedzenia ciastka francuskiego, które właśnie przed nim postawiono. Natomiast po kolacji, zamiast usunąć się w zaciszny kąt z karafką brandy, postanowił towarzyszyć paniom w salonie na piętrze. Obserwował Alison, która nie narzucała się, a jednak przez cały czas troskliwie wypełniała swe obowiązki przy lady Edith. Podsunęła jej pod plecy poduszkę, położyła w zasięgu ręki tamborek i książki. Najdrobniejsze potrzeby starszej pani zaspokajała tak chętnie, że odnosiło się wrażenie, że robi to dla przyjemności, a nie z obowiązku. Czy mogła być aż tak znakomitą aktorką? W każdym razie na pewno porusza się z wdziękiem godnym sceny, pomyślał hrabia, przyglądając się, jak jedwab sukni układa się na zgrabnej, drobnej figurze Alison.

- Mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu... - March wzdygnął się, bo czysty głos ciotki wyrwał go z rozmarzenia - ...że się dzisiaj wcześniej położę. Dzień był męczący, a jutro znowu mamy mnóstwo zajęć. Urządzamy piknik dla Meg i paru jej młodych przyjaciół - wyjaśniła Marchowi. - Planują spacer na Beechen Cliff. Ja co prawda nie będę się tam wspinać, ale wjadę powozem i dołączę do reszty towarzystwa na górze, żeby coś przekąsić. Do opieki nad młodzieżą będą Alison i pułkownik Rayburn, pomoże im też mama Sally Pargeter, najlepszej przyjaciółki Meg. Ty naturalnie nie musisz się tam fatygować. Wyobrażam sobie, że popołudnie w towarzystwie takiej dzieciarni setnie by cię znudziło.

Alison wstrzymała oddech. O popołudniu w towarzystwie hrabiego nie mogła myśleć obojętnie, z nadzieją czekała więc na jego odmowę. Rozczarowała się.

- Myślę, ciociu, że nie jest ze mną aż tak źle - niezbyt szczerze roześmiał się March. - Póki jestem w Bath, nie przystoi mi uchylać się od sprawowania opieki nad młodszą siostrą. Z przyjemnością dołączę do waszej kompanii.

Alison pomyślała, że zabrzmiało to dość pompatycznie. Odczuła ulgę, kiedy hrabia wstał, by odprowadzić ciotkę na spacynek.

Niestety, w chwili gdy i ona wstała, hrabia wrócił do salonu.

- Skoro lady Edith... - bąknęła nerwowo. - Chcę powiedzieć, milordzie, że również zamierzam się położyć.

- Niemożliwe, panno Fox. Każesz honorowemu gościowi siedzieć samotnie w salonie? - Uśmiechnął się kpiąco. - Chcesz zniweczyć, pani, cały wysiłek ciotki?

Spojrzała mu w oczy.

- Co masz na myśli, panie? - spytała zaniepokojona.

- Ciotka bardzo stara się zostawić nas sam na sam. Nie ośmielę się nawet snuć domysłów, w jakim celu.

Alison splonęła rumieńcem.

- Co za pomysł, milordzie! Może twoja ciotka chce po prostu, żebyśmy się lepiej poznali, bo... - Głos jej się załamał. Wyprostowała ramiona i spojrzała mu prosto w twarz. - Bo kocha nas oboje, a wszystko wskazuje na to, że będziemy się często spotykać.

Hrabia ujął ją za rękę i posadził obok siebie na wygodnej sofce. Zdziwiła się, że tak jego dotyk jest ciepły.

- Bardzo się cieszę, że podjęłaś ten temat, pani. Czy przemyślałaś moją propozycję?

Spojrzała na niego gniewnie.

- Szczerze mówiąc, milordzie, nawet nie pamiętam jej treści. Była całkiem chybiona.

- Zdaje się, pani, że mnie nie lubisz - powiedział cicho i przysunął się bliżej.

Alison wpatrywała się w niego żalując, że te słowa mijają się z prawdą. Marchford był pewny siebie i arogancki, a w dodatku obrażał ją swymi domniemaniami, rozumiała jednak, że ich źródłem jest miłość, jaką darzy ciotkę. Nie mogła więc mieć do niego pretensji, choć zachowywał się w najwyższym stopniu irytująco. Na domiar złego bardzo ją niepokoiła i wytrącała z równowagi siła, przyciągająca ją ku temu mężczyźnie. Nie wiadomo czemu miała wielką ochotę pogłaskać go po policzku. Nagle drgnęła, bo uprzytomniła sobie, że Marchford znów coś do niej mówi.

- Zapewniam cię, że niepotrzebnie. Powiedz mi po prostu, czego sobie życzysz w zamian za wyjazd z domu ciotki Edith. Postaram się spełnić twoje życzenie, pani. Możemy rozstać się w pokoju, bez waśni.

Propozycja wydawała się dość rozsądna. Alison wyczuwała jednak wrogość, jaka się za nią kryła. Nie, hrabia Marchfordu nie czuje do Alison Fox nic oprócz pogardy dla oszustki i naciągaczki. Przebiegł ją dreszcz. Bóg jeden wie, jak by zareagował, gdyby dowiedział się, że ma przed sobą Lissę Reynard. Raz jeszcze spojrzała mu w oczy.

- Milordzie, tracisz czas i energię. Mimo twoich zapewnień o praktycznym myśleniu, nie masz dość pieniędzy, by skłonić mnie do opuszczenia tego domu. Podoba mi się tutaj, a co więcej, pokochałam lady Edith. Sądzę, że jest w twojej mocy zwrócić milady przeciwko mnie lub usunięcie mnie stąd siłą, ale tak czy owak wyświadczysz ciotce niedźwiedzią przysługę. Mimochodem zaś wspomnę, że lady Edith zdaje sobie sprawę z przyczyny twojego przyjazdu, panie, i bardzo ją to bawi. Szczerze więc radzę: spakuj manatki, schowaj jak najgłębiej pieniądze wspólnie ze swoimi żalnymi podejrzeniami i wróć do Londynu. Ożeń się, panie, ze swoją panną Jak-jej-tam i zostaw mnie w spokoju. Przysięgam, że tego nie pożałujesz.

Hrabiemu Marchfordu rzadko brakowało słów, w tej chwili jednak miał w głowie pustkę. Trudno mu było zdobyć się na jakąkolwiek sensowną myśl. Miał wrażenie, że całkiem poddał się czarowi ametystowych oczu tej oszustki. Pragnął tylko wziąć ją w ramiona i całować, póki nie zamieni się w jego objęciach w chmurę pragnienia o

zapachu fiołków.

Przerażony biegiem własnych myśli, próbował skupić się na ostatnich słowach panny Fox. Jednocześnie wpatrywał się w nią zdumiony, że wytrzymała jego spojrzenie bez jakichkolwiek oznak skrępowania. Odwzajemniała je bowiem z niezmaconym spokojem.

- Do Londynu wrócę, jak przyjdzie pora, panno Fox - stwierdził, próbując zmienić taktykę. - Czy wobec tego mogę zaproponować rozejm? - Uniosła dłoń, ale nie pozwoliła jej nic powiedzieć. - Proszę posłuchać. Tymczasem przerwę starania o doprowadzenie do, nazwijmy to, usunięcia cie, pani, z otoczenia ciotki Edith. Nie chcę ciągłymi targami zepsuć sobie przyjemności, jaką sprawiają mi odwiedziny u krewnej.

- Podziwiam twój rozsądek, milordzie - powiedziała zaskoczona. Wyciągnąwszy do niego rękę wstała i spojrzała mu w oczy. - Wobec tego do jutra.

March miał wrażenie, że dostrzega na jej twarzy oznaki wesołości.

- Ach, tak, piknik - przypomniał sobie. - Mam przykre podejrzenie, że będę się tam czuł jak najgorszy dziad, zmuszony słuchać ćwierkania grupki niewinnych pań i ich dorastających wielbicieli.

- Towarzystwo przyjaciół Meg rzeczywiście bywa dość wyczerpujące - odparła z uśmiechem. - Na szczęście, panie, możesz liczyć na wzmocnienie ciasteczkami imbirowymi, których będzie pod dostatkiem. Lady Edith powiedziała mi, że je uwielbiasz. W latach burzliwej młodości zniżyłeś się nawet do kradzieży ciasteczek ze stoika.

- Och, krewni pamiętają czasem bardzo niewygodne szczegóły. - March jęknął. Zamilkł na chwilę, ale nie potrafił powściągnąć zainteresowania. - A skoro mowa o Meg, to mam wrażenie, że znakomicie się rozumiecie.

Uśmiech znikł z warg Alison.

- Owszem - odparła wyzywająco. - Czy teraz padnie oskarżenie, że intryguję, żeby ukraść również jej majątek?

March cofnął się o krok, zaskoczony. Oczarowany urodą chwili niemal zapomniał o swych pierwotnych podejrzeniach. Uśmiechnął się dość drętwo.

- Źle mnie zrozumiałas, pani. Zapomniałaś o rozejmie? Skoro zobowiązałem się do uprzejmości, nie zamierzam łamać przyrzeczenia, dlatego żywię nadzieję, że i ty go dotrzymasz.

Alison zawstydzona nieco, więc tylko skinęła głową. Podczas Ostatniej wymiany zdań odprowadziła gościa do progu, teraz pozostało jej otworzyć drzwi.

- Życzę ci dobrej nocy, milordzie. - Nie dając mu czasu na odpowiedź, podała kapelusz i laseczkę, które Masters zostawił na stoliku w sieni. Zamknąwszy za nim drzwi, bezwładnie oparła się o nie plecami. Oddech miała krótki i płytki, jak dziecko uciekające przed ciemnością.

6

Alison siedziała uśmiechnięta wśród resztek okazałego piknikowego lunchu, a zewsząd docierał do niej wesoły gwar. Zły nastrój Meg wyraźnie ulotnił się przez noc, bo rano znów była sobą, ożywiona i pełna planów. Po drodze na szczyt Beechen Cliff oczarowała całą męską część wyprawy, mimo iż panowie byli jeszcze w wieku, w którym chętnie okazuje się przekonanie, że umieszczenie kobiet na Ziemi było jawnym niedopatrzaniem Stwórcy. Adonisowie z sypiącym się wąsem Spełniali natychmiast każdy jej kaprys, toteż lady Meg nie zbywało ani na lemoniadzie, ani na komplementach. Trwała właśnie gra w piłkę.

- Wiesz co, Sukey! - wykrzyknął pan Peter Davenish do swojej siostry, wstydlivej panienki w wieku lat piętnastu. - Spróbuj rzucić tam, gdzie stoi Grenby, to może trafisz do celu.

- Ej, ej, Peter! - zawołała Meg z oddali. - Daj spokój Susan. Nie wszyscy muszą mieć twoje talenty sportowe, więc nie żartuj tak nieelegancko.

Jak można było przewidzieć, Peter wcale nie obraził się o tę uwagę. Zamiast tego cisnął piłkę na bok i podbiegł do miejsca, w którym Meg rozmawiała z Sally Pargeter. Wysoka i szczupła Sally zawsze narzekała na swój los tyczki ogrodowej, ponieważ jednak była zgrabna i powabna, a do tego uroczą w obejściu, przyciągała licznych wielbicieli obojga płci. Gdy Peter padł jak długi na trawę i gestem zaprosił dziewczęta, by się do niego przyłączyły, roześmiała się wesoło.

- Za gorąco na bieganie - jęknął Peter, pomagając koleżankom usadowić się w pobliżu. Po chwili wszyscy troje byli już pogrążeni w zajmującej rozmowie.

- Ten młody człowiek ma rację - powiedział znajomy głos prosto do ucha Alison. Odwróciła się i ujrzała hrabiego, który właśnie siadał na krześle obok niej. - Mamy dopiero kwiecień, ale upał jak w lipcu.

- Czy dobrze się bawisz, milordzie? - spytała zaniepokojona, że lady Edith, prowadząca akurat konwersację z panią Pargeter i pułkownikiem Rayburnem, znalazła się w sporym oddaleniu.

March spojrzał tam, gdzie i ona. Po co tu ten Rayburn, pomyślał z irytacją. Zwrócił na niego uwagę już w Salach Asamblowych, niewątpliwie bowiem wojak należał do grona najbardziej hałaśliwych admiratorów Alison. A na pikniku robił z siebie kompletnego osła. Obskakiwał ją, jakby była inwalidką, niezdolną nałożyć sobie kurczaka i sałatki.

- Tak - odrzekł krótko. - Bawię się znakomicie, a będę się bawił jeszcze lepiej, gdy te wszystkie szczebiocące dzieci położą się wreszcie do łóżeczek, a ja będę mógł wyciągnąć się z nogami do góry w cichym pokoju, z dużą i zimną szklanką Pod ręką.

- Jest mnóstwo lemoniady - uczynnie zaproponowała Alison.

- Och, co za ulga dla skolatanego umysłu. Masz rację, pani właśnie lemoniady trzeba mi w tej chwili. Oj, psotnica z ciebie.

Alison roześmiała się uroczo i March stwierdził z zaskoczeniem, że właśnie flirtuje z wrogiem. Czy jednak naprawdę Panna Fox jest jego wrogiem? Przez ostatnie dni zastanawiał się nad tym coraz częściej. Złościło go, że jej towarzystwo sprawia mu przyjemność. Rzecz jasna, nie ma w tym nic dziwnego, pomyślał. Każda sprytna oszustka jest ujmująca, a taki uroczy śmiech na pewno należy do zawodowego repertuaru. Panna Fox zapewne ludziła się, że wdziękiem zdoła go przekonać, że powinien ją zostawić u boku ciotki Edith. Zamierzał jej pokazać, jak bardzo się myli.

Widocznie jednak łatwo było wyczytać z jego twarzy, o czym myśli, bo Alison, zerknąwszy na niego kątem oka, wstała i zrobiła taki ruch, jakby chciała podejść do lady Edith. W odruchu przekory wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

- Opowiedz mi, pani, o tej swojej szkole.

Alison wytrzeszczyła na niego oczy.

- No, dobrze - zaczęła ostrożnie. - Myślałam o założeniu jej pod Londynem, na przykład w Kensington. Zastanawiam się jednak również nad tym, czy nie otworzyć jeszcze jednej szkoły w Bath. Wtedy mogłabym pozostać blisko lady Edith - dokończyła lekko zażenowana.

March popatrzył na nią z pewnym zaskoczeniem. Jeśli mówi prawdę, to jak na zawodową wyłudzaczkę pieniędzy ma dość dziwne pomysły.

- Czy planujesz, pani, nauczać w tej szkole? - zainteresował się.

- O, tak, przynajmniej na początku. Jeśli nam się uda, to zapewne z czasem będę się musiała ograniczyć do obowiązków administracyjnych.

W oczach Alison pojawiły się iskry entuzjazmu, następne słowa hrabiego szybko jednak go zgasiły.

- Zamierzasz więc opuścić moją ciotkę z końcem tego roku mimo wszystkich zapewnień o oddaniu, jakie do niej żywisz?

- Rozumie się, że nie - odparła ostrożnie. - Już ci to tłumaczyłam, milordzie. Powiadomiłam lady Edith, że bardzo jestem jej wdzięczna za dar, jaki mam od niej otrzymać, tymczasem jednak nie zrobię z niego użytku. Pozostanę w Bath, dopóki lady Edith będzie mnie potrzebować.

- Ach, rozumiem. - March nie mógł powstrzymać się od sarkazmu. - Bądź co bądź, ciotka ma już ponad siedemdziesiąt lat. Możliwe, że nie będziesz musiała długo czekać, pani.

Na te słowa Alison raptownie wstała.

- Milady jest w znakomitym zdrowiu, jeśli o to chodzi, i mam nadzieję, że będzie tak również w nadchodzących latach. Zechciej mi wybaczyć, milordzie... - Odeszła energicznym krokiem ku reszcie dorosłych.

March był wściekły na siebie, że w porę nie ugryzł się w język. Zanim panna Fox się odwróciła, zdążył zobaczyć łzy lśniące jej w oczach. Był przekonany, że nie udawała. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Czyżby się mylił co do Alison Fox? Doświadczenia życiowe skłaniały go ku nieufności, ale przecież w czasie, gdy obserwował tę kobietę, okazywała ciotce mnóstwo ciepła, a jemu wydawała się całkiem szczerą. Zaczynał się wahać. Czy mógł popełnić tak poważny błąd w ocenie?

Panna Fox odrzuciła poważną przecież ofertę i wcale nie okazywała chęci do dalszych negocjacji. Może warto by zostać w Bath jeszcze tydzień, pomyślał.

Naturalnie, powinien wrócić do Frances. Doskonale wiedział jednak, że ona poczeka na jego powrót. Zarówno Frances, jak i rozpieszczający ją rodzice wyraźnie dali mu do zrozumienia, że hrabia Marchfordu, a już na pewno jego tytuł wraz z przypisanym do niego majątkiem, jest idealnym urzeczywistnieniem ich marzeń o przyszłości czcigodnej Frances Milford.

Odsunął od siebie niewygodną myśl. Zaczynał mglście rozumieć, że rzeczowe podejście do małżeństwa, z którego dotąd był dumny, tylko pogłębia jego przygnębienie. Wolał też nie zastanawiać się nad niejasnymi oczekiwaniami, które budziła w nim perspektywa spędzenia jeszcze jednego tygodnia w towarzystwie Alison Fox.

Podczas kolacji tego wieczoru panował rozgardiasz, ponieważ razem z Meg wróciła z pikniku Sally Pargeter, którą zaproszono na nocleg. Panny wciąż żyły wydarzeniami popołudnia, większość rozmów dotyczyła więc wad i zalet młodych ludzi płci męskiej, którzy byli na wycieczce. Po kolacji obie panny pośpiesznie schroniły się w pokoju Meg, która przedtem wyjaśniła, że mają sobie wiele do powiedzenia. Zupełnie jakby w całym domu nie było jeszcze pełno ich paplaniny.

- Nie miałem pojęcia, że zachowanie grupki zielonych niedorostków może stanowić wyborną pożywkę do rozmowy - powiedział March, gdy usiadł w znacznie cichszym teraz salonie wraz z lady Edith i Alison.

- Zapewniam cię, że ich zachowanie interesuje tylko całkiem zielone panny - powiedziała lady Edith.

Alison nie odzywała się, zaniepokojona zachowaniem Meg tego wieczoru. Dziewczyna wydawała się nienaturalnie podniecona, oczy jej pałały. Kilka razy zaczynała coś mówić, ale milkła natychmiast widząc znaczące spojrzenie Sally, która odpowiadała jej tym samym. W tych chwilach z oczu panny Pargeter wycierała czystą trwoga. Co ta mała diabliska znowu knuje? - usiłowała odgadnąć Alison. Nie sądziła jednak, by należało przesadnie się przejmować. Meg była dobrze wychowana i chociaż z powodu trzpiotowatej natury ocierała się czasem o

granice niestosowności, to jednak nigdy nie pozwoliła sobie na nic więcej, niż można byłoby się spodziewać po żywiolowej pannicy, rozpieszczanej od urodzenia. Niewątpliwie wyjątkowo trudno było ją okiełznać, ale trzeba też przyznać, że do tej pory Meg doskonale wiedziała, gdzie przebiega cienka granica między tym, co wolno pannie z wychowaniem, a czego na pewno nie powinna robić. Z rozmyślań wyrwał Alison głos lady Edith.

- Naturalnie, milady - odpowiedziała odruchowo. - Przejazdka do Whitestone Abbey to znakomity pomysł na jutro. Jestem pewna, że lady Melksham i pani Busey również będą z niego bardzo zadowolone. - Majątek, będący własnością syna wdowy po hrabim Melksham, był znany z malowniczych ruin, toteż eleganckie damy od czasu do czasu odwiedzały to miejsce. - Tylko czy zanadto się nie zmęczysz, pani? Wieczorem mamy zaproszenie na karty do Dunsaneyów.

- E, tam - odparła dziarsko lady Edith. - Świeże powietrze na pewno mnie nie zmęczy.

Gdy hrabia bez pośpiechu opuszczał rezydencję przy Royal Crescent, pora była już późna. Na stanowcze życzenie lady Edith Alison odprowadziła go do drzwi.

- Czy i ty, pani, spodziewasz się miłych chwil w Whitestone Abbey? - spytał niewinnie.

Rozproszona Alison patrzyła przez chwilę w jego oczy sennego lwa.

- Naturalnie - powiedziała w końcu. - To będzie bardzo przyjemna wycieczka.

- Tak myślałem - padła spokojna odpowiedź. Marchforda wyraźnie rozbawiło skrepowanie Alison, która nagle uświadomiła sobie, że i on będzie tam obecny. Włożył kapelusz i podniósł jej rękę do ust. Zamiast jednak musnąć palce w mc nie znaczącym geście pożegnania, w ostatniej chwili przyciągnął jej rękę i powoli ucałował dłoń. Alison wyrwała mu się, jakby ją sparzył.

- Dobranoc, milordzie - szepnęła chrapliwie i obróciła się na Pięcie. Uciekając po schodach na górę, słyszała Jeszcze jego cichy śmiech. Nagle jednak trzasnęły drzwi i zrobiło się cicho.

Co on znowu knuje? - rozmyślała, szykując się do spania. Czyżby chciał ją oczarować i w ten sposób skłonić do wyjazdu z domu lady Edith? Parsknęła pod nosem. Czarowanie z pewnością nie należało do jego mocnych stron. Hrabia Marchfordu nie mógł aspirować do miana ulubieńca kobiet, był bowiem zanadto arogancki, a do tego niezbyt przystojny. Ubierał się co prawda w kosztowne stroje i nosił je z wielką klasą, ale i tak trudno byłoby uznać go za wymarzonego mężczyznę. Rysy twarzy miał całkiem przeciętne, jeśli nie liczyć oczu widzianych w świetle świecy. Alison skwapliwie przypominała sobie też jego podbródek boksera. W sumie, co stwierdziła z satysfakcją, nie groziło jej, że ulegnie lichym uwodzicielskim sztuczkom Marchforda. A jednak gdy skuliła się we śnie, mocno zacisnęła palce na dłoni, której dotknęły jego usta, i z westchnieniem położyła ją na piersi.

Listę niedoskonałości hrabiego miała okazję wzbogacić następnego popołudnia, podczas wycieczki do Whitestone Abbey. Jechała karetą w towarzystwie lady Edith i jej przyjaciółek, lady Melksham i Elizabeth Busey, zwanej przez dobrych znajomych Bessie. Wszystkie trzy damy należały do tego samego pokolenia, toteż wiele szczęśliwych godzin zajmowało im wspomnianie dawnych czasów. Przyjemnie jest szargać reputację osób, które dawno już dostały to, na co zasłużyły.

Alison uśmiechnęła się, słysząc jedną z tych oszczerczych historii, opowiadaną ze szczególnym zapałem, zaraz jednak odwróciła się i spojrzała przez szybę na wyprostowaną postać przesuwającą się równo z kareta. Marchford zręcznie trzymał się w siodle, ale inni mężczyźni z jego klasy też to umieli. Nie wiadomo wprawdzie, czy którykolwiek z nich poradziłby sobie równie swobodnie z takim narowistym kasztanem, ale mimo to nie można było uznać hrabiego za wybornego jeźdźca. Na pewno nie. Może za wprawnego, ale nic więcej.

Po przyjeździe do Whitestone Abbey Alison na szczęście miała mnóstwo zajęć, nie mogła więc tracić czasu na rozważanie powierzchowności i charakteru hrabiego. Starsze panie, rzecz jasna, nie były w stanie podejść na górę, ale stangret zdołał podjechać dostatecznie blisko, by mogły w spokoju pozachwycać się ruinami klasztoru. Zjadły tam ze smakiem niewielki lunch, po czym lady Edith i pani Busey ucięły sobie drzemkę. Natomiast lady Melksham wykazała więcej wigoru, oświadczyła bowiem, że zamierza naszkicować główną bramę, na szczęście oddaloną od drogi o zaledwie dwa, może trzy metry. Wylewnie podziękowała Alison za ułożenie na wybranym miejscu szali i poduszek, oświadczyła, że jest jej bardzo wygodnie, poprosiła jednak drogą Alison, by przyniosła jej jeszcze małą poduszeczkę, która zawsze się przydaje przy szkicowaniu. Lady Melksham była prawie pewna, że służąca zapakowała tę poduszeczkę do pudełka, które leżało niedaleko przyborów do rysowania. Gdy po kwadransie przekopywania bagaży udało się znaleźć potrzebną poduszeczkę, lady Melksham wylewnie podziękowała za spełnienie prośby i na koniec spytała, czy droga Alison nie zechciałaby jeszcze przynieść szala, który dosłownie kilka chwil wcześniej leżał w karecie, wsunięty za siedzenie. March z podziwem stwierdził, że po dostarczeniu szala Alison wcale nie wydawała się w gorszym humorze niż przedtem. Zaraz też znalazła jeszcze okulary damy, naląła jej kieliszek wina, żeby złagodzić jej męki twórcze, i kilka razy poprawiła ustawienie stołka. Dopiero wtedy lady Melksham uznała, że może wziąć ołówek do ręki. Ponieważ jednak tymczasem dwie pozostałe panie obudziły się z drzemki, lady Melksham oświadczyła, że zmęczyło ją rysowanie, chętnie więc dostosuje się do życzenia reszty towarzystwa i wróci do domu.

March opuścił panie przed rezydencją przy Royal Crescent i niezwłocznie wrócił do swej austerii. Tam czekała na niego wiadomość od Jonasa Pilchera. Z napięciem rozdarł kopertę i omiół wzrokiem list. Pan Pilcher równym pismem donosił:

Panna Alison Fox jest jedynym dzieckiem wielbnego Martina Foxa, który zmarł około czterech lat temu. Według świadków panna Fox liczy sobie dwadzieścia kilka lat, jest szczupła, Wysoka, ma czarne włosy i niebieskie oczy. Wszystkie osoby, z którymi rozmawiałem, mówiły o niej z dużym szacunkiem i sympatią. Panna Fox przez całe życie mieszkała w Ridstowe, z wyjątkiem okresu niedługo przed śmiercią ojca, gdy wyjechała w dłuższe odwiedziny do kuzynki w Yorkshire. Po śmierci ojca...

Równe rzędy liter układały się dalej w szczegółowy opis wyjazdu panny Fox z Ridstowe i objęcia posady u lady Strangeways. W tym momencie, donosił Pilcher, poszukiwania dobiegły końca. Pytał więc, czy jaśnie pan hrabia życzy sobie, by jeszcze czegoś się dowiedzieć.

Nie, westchnął March. Jażnie pan hrabia sobie nie życzy. Panna Fox wyraźnie niczego nie ukrywała, była kryształowo uczciwa. Wiadomość ta sprawiła mu ulgę, poczuł się, jakby zdjęto mu z barków wielki ciężar. Bardzo go to zdziwiło. Rzecz jasna, cieszył się, że nie będzie musiał się trudzić uwalnianiem ciotki od fatalnego towarzystwa i że oszczędzi mu to poważnego wydatku. W gruncie rzeczy powoli nawet nabierał przekonania, że panna Fox jest dla ciotki Edith prawdziwym darem losu. To jednak wcale nie pomagało mu zrozumieć, dlaczego na wieść o nieskazitelnym prowadzeniu się Alison zrobiło mu się lżej na duszy. Nie rozumiał też, dlaczego niecierpliwie wyczekuje wieczornej gry w karty w towarzystwie najgorszych znanych mu nudziarzy, z których każdy ma co najmniej siedemdziesiąt lat, tylko dlatego, że będzie tam również kobieta, która „liczy sobie dwadzieścia kilka lat, jest szczupła, wysoka, ma czarne włosy i niebieskie oczy”. Niebieskie oczy, pomyślał. Cóż za żałostna nieściskość. To zupełnie jakby nazwać Kaplicę Sykstyńską starym kościołem z kilkoma malowidłami na suficie.

Przed oczy nasunął mu się obraz jego wybranki, prawie już narzeczonej. Boże! wykrzyknął bezgłośnie. Nie mógł sobie przypomnieć, jakie oczy ma Frances. Wydawało mu się, że szare. Szarawe. Stalowszare jak lufa pistoletu. Drgnął niespokojnie. Skąd mu to przyszło do głowy? Nie wolno porównywać Frances do jakiegostam damy do towarzystwa. Kwaśno uśmiechnął się pod nosem. Frances pierwsza by mu to wypomniała, gdyby była w Bath. Nagle wstał. Co się z nim dzieje, u licha? Zsunął z ramion kurtkę jeździecką i zadzwonił na lokaja. Czas przebrać się do wyjścia, powiedział sobie stanowczo, starając się nie zważać na dreszczyk oczekiwania, który zakłócił mu rytm oddechu.

W kilka godzin później Alison zatrzymała się na progu salonu sir Arthura Dunsaneya i jego żony, Millicent. Lady Edith weszła już do środka, a lord Marchford stał za jej plecami. Woląta nie zastanawiać się zbyt długo, dlaczego tego wieczoru wyjątkowo starannie dobrała kreację. Wiedziała, że turkusowy grodenapl jest bardzo twarzowy, bo nieraz już, gdy w nim występowała, porównywano jej oczy do lśniących klejnotów. Poza tym nie nosiła jeszcze w obecności lorda Marchforda sukni z tak głębokim dekoltem. Suknia miała też szeroki haft na obrzeżu stanika i wokół rąbka. Alison założyła do niej perłowy naszyjnik po matce i uznała, że jest gotowa. Wytlumaczyła sobie, że efektowna kreacja doda jej tego wieczoru jakże potrzebnej pewności siebie. Gra w karty w obecności hrabiego Marchfordu wiązała się bowiem z poważnym ryzykiem. Alison pojmowała, że jej lęk jest w zasadzie irracjonalny, lecz mimo to zdawało jej się, że wystarczy, by wzięła karty do ręki, a hrabia natychmiast pozna w niej nikczemną kobietę, która, jak głosiła wieść, oszukała jego szwagierkę na tysiące funtów.

Niechętnie przyznała przed sobą, że lęka się jeszcze czegoś innego. Gniew i pogarda, jakie okazał jej hrabia przy pierwszym spotkaniu, były niczym w porównaniu z furją, w jaką by wpadł, gdyby się dowiedział prawdy, a zauważyła, że z biegiem czasu traktuje ją z coraz większą wyrozumiałością. Tego popołudnia rozmawiali całkiem przyjaźnie i czuła się w jego towarzystwie bardzo miło. Nawet pośmiała się trochę, ku swemu zdumieniu stwierdziwszy, że lord Marchford ma poczucie humoru. Wprawdzie pamiętała o jego zapowiedzi zniszczenia Lissy Reynard, zdawała więc sobie sprawę z tego, że należy się go obawiać, znacznie bardziej obawiała się jednak chwili, w której jego piwne oczy znów by zamglila skierowana przeciwko niej nienawiść.

- Boże mój, Alison! - wykrzyknęła zniecierpliwiona lady Edith w odpowiedzi na prośbę panny, by zostawić ją tego wieczoru w domu. - Gdy tylko mowa o kartach, zaczynasz zachowywać się całkiem nierozumnie. Przecież odkąd mieszkasz u mnie, nieraz grałyśmy i jakoś nigdy nie okazałaś ani cienia swojej... niepojętej zręczności.

Była to święta prawda. Mieszkając w Bath, trudno było uniknąć okazjonalnych gier w pikietę lub wista. Alison bardzo jednak uważała, by nie objawić ponadprzeciętnych zdolności. Zazwyczaj udawało jej się przegrać więcej, niż wygrać.

- W każdym razie - ciągnęła lady Edith - ponieważ w Górnych Salach Asamblowych odbywa się dziś bal maskowy, musimy zadowolnić się gościnną w czyimś domu. Dlatego przyjąłem zaproszenie Dunsaneyów. I nie chcę więcej słyszeć twoich sprzeciwów.

Alison znalazła się więc u Dunsaneyów, a że los jest złośliwy, natychmiast połączył ją w parę z hrabią podczas partii wista. Za partnerów mieli lady Edith i wielbnego Rayburna.

- Czy często grywasz w karty, pani? - spytał hrabia.

Alison zrobiło się duszno, serce podeszło jej do gardła. Odpowiedziała jednak dość spokojnie:

- Nie, milordzie. Nie bardzo... nie bardzo to lubię.

- Nie masz, pani, skłonności do hazardu, jak rozumiem. - Wypowiedział te słowa całkiem beznamiętnie, a z jego oczu nie potrafiła wyczytać nic oprócz grzecznościowego zainteresowania. Wzięła głęboki oddech.

- Ani trochę - powiedziała cicho.

- Tak, tak. - Lady Edith z uśmiechem włączyła się do rozmowy. - Alison jest urocza, ale nie wróżę ci sukcesów z taką partnerką. Będziesz miał szczęście, jeśli zostaniesz w koszuli na grzbiecie.

Po rozpoczęciu gry przepowiednia lady Edith się spełniła. Alison nieustannie robiła błędy, toteż pod koniec wieczoru hrabia Marchfordu oświadczył, że można mu nicować kieszenie.

Na Royal Crescent lady Edith natychmiast pożegnała ich, życząc dobrej nocy, i odeszła po schodach do sypialni. Znowścedowała więc na Alison obowiązek pożegnania hrabiego.

- Zdaje mi się, Alison, że nie bawiłaś się dziś najlepiej - powiedział Marchford.

Alison bardzo wyraźnie czuła jego bliskość, działał też na nią intymny nastrój, który tworzyły świece płonące w hallu. Bynajmniej nie uspokoiła się, słysząc w ustach hrabiego swoje imię.

- Na szczęście umiejętność gry w karty nie jest niezbędna w towarzystwie - dodał i choć była pewna, że chciał ją po prostu pocieszyć, serce znowś podeszło jej do gardła.

- Nie. - Była pewna, że zamiast uśmiechu ma na twarzy ponury grymas. - To znaczy, mnie nie jest niezbędna, ale obawiam się, że muszę być poważnym ciężarem dla każdego, komu przyjdzie grać ze mną w parze.

- Wierz mi, Alison, że utrata kilku funtów nic nie znaczy wobec przyjemności, jaką sprawiło mi twoje towarzystwo.

Hrabia pochylił się ku niej, przelękała się więc, że zauważy zmieszanie w jej oczach. Znowś nie mogła złapać tchu, była Pewna, że słyhać, jak łomocze jej serce.

- Już późno, milordzie. Muszę... - Ma zdecydowanie lwi uśmiech, uznała.

- Czy nie sądzisz, Alison, że mogłabyś dać spokój temu „milordowi”? Mów do mnie March, tak jak wszyscy w tym domu.

- Och, nie! Chyba bym nie mogła... - Przerwał jej dziwny dźwięk, dochodzący jakby z głębi domu. Nastąpiła seria głuchych stuków, zakończona głośnym trzaskiem. Hrabia energicznie się cofnął. Nie oderwał jednak wzroku od Alison, a oczy miał wciąż nieprzeniknione. Dopiero po dłuższej chwili spojrział w stronę, z której dochodziły hałasy.

- Co, u diabła...?

Oboje podbiegli do drzwi pod schodami, które prowadziły do części rezydencji zajmowanej przez służbę. March szarpnął za nie i pochwycił drobną postać, spowitą w czarną pelerynę z kapturem.

- Kto to? - warknął. - Co...? - Przerwał mu szloch. Kaptur zsunął się z głowy tajemniczej osoby, odsłaniając płataninę blond loków.

- Meg! - wykrzyknęli jednocześnie March i Alison.

7

Meg! - powtórzył March, a właściwie tym razem zagrzmiął. - Co ty wyrabiasz?! Czy mam rozumieć, że właśnie wróciłaś do domu? - Zerknął na atlasową maseczkę zwisającą jej z szyi i groźnie zmrużył oczy. - Boże, Meg, czyżbyś jednak poszła na ten piekielny bal?!

Meg pierwszy raz uniosła głowę. Alison zobaczyła ślady łez na jej policzkach i powieki spuchnięte od płaczu. Stanik sukni miała rozdarty, a jej delikatne rysy wykrzywiały wyraz bezmiernej trwogi.

- Odpowiedz mi, Meg! - March nie rezygnował, ogień płonący w jego oczach zamienił się w lód. - Co ty narobiłaś?

Na te słowa Meg wybuchnęła tak głośnym i gwałtownym szlochem, że nie mogła z siebie wydobyć ani słowa. Hrabia obserwował ją w milczeniu przez jakieś dziesięć sekund, po czym potrząsnął ją za ramiona.

- Na Boga, Meg, skończ ten teatr! Powiedz mi, co się stało? Czy naprawdę poszłaś do Sal Asambłowych bez opieki? Czy byłaś w nocy sama na ulicy jak najzwyczajniejsza wszetecznicą?

Widząc na twarzy Meg oznaki głębokiego wstrząsu, Alison zdecydowała się na natychmiastową interwencję.

- Milordzie, ona umiera z przerażenia. Jak widzisz, nie Jest w stanie nic powiedzieć. Proszę pozwolić, że odprowadzę ją do pokoju. Porozmawiasz z nią jutro, panie.

March otworzył usta, ale sprzeciw, który miał zgłosić, nie przeszedł mu przez gardło. Bardzo chciał poinformować pannę Fox, że niepotrzebnie miesza się do spraw rodziny Brentów. Widział jednak, że jej ocena stanu Meg jest słuszna, a poza tym oładnęło nim nieodparte pragnienie, by jak najszybciej uciec z otoczenia młodej niewiasty, która zdradzała wszelkie oznaki silnego ataku hysterii.

Z godnością skinął głową i włożył płaszcz.

- Zgoda. Przyjdę rano. - Zmierzył Meg morderczym spojrzeniem. - I życzę sobie usłyszeć wtedy pełne wyjaśnienie tego, co zaszło dzisiejszej nocy. - Z tymi słowy opuścił dom, całkiem niepotrzebnie trzaskając drzwiami.

Alison pociągnęła bezwładnie opartą o nią Meg w kierunku schodów. Dziewczyna próbowała coś chaotycznie tłumaczyć, ale rozszłochała się na dobre. Alison zdołała jednak wytrwać w milczeniu, póki nie doszły do sypialni, gdzie na powrót swojej pani czekała pokojówka Finster. Widząc lady Margaret w towarzystwie panny Fox, wytrzeszczyła oczy i z ulgą uciekła z pokoju, gdy tylko usłyszała, że jej usługi nie będą już tego wieczoru potrzebne.

Alison zaprowadziła swą splekaną podopieczną do łóżka, delikatnie ją na nim usadziła i zaczęła rozwiązywać jej troczki pogniecionego domina.

- Już dobrze, Meg - powiedziała uspokajająco. - Jesteś w domu, cała i zdrowa. Powiedz mi teraz, co się stało.

- Och, Alison! - wykrzyknęła Meg. - To było straszne! Przynajmniej się, poszłam na maskaradę, z Sally. Myślałam, że będzie wspaniała zabawa. Nie widziałam w tym nic złego, słowo daję. Chciałam tylko zatańczyć z panem Renfrew, to wszystko.

- I zatańczyłaś?

- Neeee! - Meg czknęła płacząco. - On tam był... i jak tylko go zobaczyłam, podeszłam do niego.

- Och, Meg, jak mogłaś? Co on sobie musiał pomyśleć? I co powie ludziom?

- Nie, nie, Alison. Wszystko jest w porządku. Pan Renfrew mnie nie poznał. Rozmawialiśmy... rozmawialiśmy tylko kilka sekund. - Oczy Meg znów zaszyły łzami, które natychmiast potoczyły się po policzkach. - Zobaczyłam go zaraz po wejściu na salę. Właśnie siedł z dwiema czarkami ponczu, omal się nie zderzyliśmy. Przywitałam go, a on mi odpowiedział i wspominał coś o potwornym tłoku. Właśnie miałam mu powiedzieć, kim jestem, gdy... och, Alison! - jęknęła. - Gdy podeszła do niego młoda kobieta. Przeprosił mnie, odwrócił się do niej i... i podał jej poncz, i pocałował ją w policzek!

- Nie do wiary! - wykrzyknęła Alison. - Nie mogę uwierzyć, żeby nauczyciel rysunku z seminarium panny Crumshaw publicznie zachowywał się w ten sposób.

- Tak było. Potem odwrócił się do mnie i roześmiał dość nieśmiało. Poprosił o wybaczenie i dodał, że właśnie się z tą damą zaręczyli!

- Och, Meg, bardzo mi przykro. I co potem zrobiłaś?

- Sally stała tuż koło mnie i... ojej, Alison, ona jest taką dobrą przyjaciółką. Nie powiedziała ani słowa, tylko zaprowadziła mnie na najbliższą ławkę. Bez niej mogłabym naprawdę zemdleć. Tam było mnóstwo ludzi, naturalnie wszyscy w maskach. Niektórzy z nich zachowywali się... no, bardzo niestosownie, szczególnie kobiety. Jak trochę się opamiętałam, powiedziałam Sally, że chcę wrócić do domu. Ona też chciała, zwłaszcza że niestety wzbudziłyśmy zainteresowanie sąsiedniej grupki... no, trudno nazwać tych mężczyzn dzentelmenami. Miałyśmy z nimi trochę kłopotów, bo poszli za nami aż do drzwi, ale w końcu udało nam się ich zgubić.

- Czy miałaś jakieś kłopoty w drodze do domu? - spytała z troską Alison, patrząc na jej poszarpaną suknię.

Przez chwilę Meg w milczeniu przyglądała się swym splecionym dłoniom.

- Wszystko było dobrze, póki nie doszliśmy do domu Sally. Wiesz, ona mieszka niedaleko Sal Asamblowych. A ponieważ od niej na Royal Crescent też już jest tylko kawałek, nie spodziewałam się przykrych niespodzianek. Ale... - W oczach Meg pojawiło się przerażenie - ...na Brook Street zaczepił mnie okropny mężczyzna. Chyba myślał, że jestem... że jestem ulicznicą. Och, Alison, jak mi wstyd. Mówił do mnie same potworności i złapał mnie... to znaczy próbował, ale udało mi się wyrwać. Potem biegłam i biegłam, i biegłam. Wpadłam do domu przez stajnię, Finster zostawiła dla mnie otwarte kuchenne drzwi. O Boże, jak się cieszę, że już jestem w domu! - Z tym okrzykiem rzuciła się w ramiona Alison. Szloch wstrząsał nią coraz gwałtowniej. Alison przytuliła dziewczynę i zaczęła szeptać do niej jakieś kojące frazesy.

- Dobrze, dobrze, Meg, spokojnie. Już po wszystkim, nic ci się nie stało.

- Ale tak mi przykro, Alison. Strasznie głupio postąpiłam, przecież ostrzegaliście mnie, ty i ciocia Edith, i March także. O Boże, March! Co ja mu powiem? Będzie wściekły. Chyba nie zabroni mi jechać do Londynu, jak myślisz? Och, Alison, jestem najnikczemniejszą istotą na ziemi!

Te słowa, obficie polane łzami, przekonały Alison, że powodem największej rozpaczy Meg nie jest bynajmniej odrzucenie przez pana Renfrew.

- Spokojnie, Meg - powtórzyła. - Jeśli chcesz, to porozmawiam jutro z twoim bratem.

Meg podniosła głowę.

- Naprawdę, Alison? Byłabym ci wdzięczna do grobowej deski! Odnoszę wrażenie, że bardzo się Marchowi spodobałaś, więc na pewno cię wysłucha.

Alison zarumieniła się zawstydzona i pomogła Meg wstać. Przez dłuższą chwilę mozoliła się ze zdejmowaniem rozdartej sukni i reszty odzienia, Meg tymczasem trochę się opanowała, mogła więc bez pomocy dokonać nad miską wieczornych ablucji. Potem włożyła nocną koszulę i, westchnęła przeciągle i położyła się do łóżka.

- Dziękuję ci, Alison, za wyrozumiałość. Dostałam dzisiaj lekcję. - Zachichotała płacząco. - Chciałabym powiedzieć, że nigdy więcej czegoś podobnie głupiego nie zrobię, ale o ile znam siebie, to nie mogę niczego obiecywać. W każdym razie postaram się zachowywać jak należy, szczególnie póki jestem z tobą i ciocią Edith. Postąpiłam bardzo nielojalnie, sprawiając wam przykrość swoją głupotą.

Głośno cmoknęła Alison i otuliła się kołdrą. Alison z uśmiechem powiedziała jej dobranoc, zdmuchnęła świecę przy łóżku i na palcach wyszła z pokoju.

Sama również położyła się natychmiast po powrocie do sypialni. Wydarzenia tego dnia wyczerpały ją do cna. Sen jednak nie chciał do niej przyjść. Myślała o hrabim Marchfordu. Ostatnio zdarzało jej się to często. Jego obecność całkiem wytrąciła ją z równowagi. Alison nie mogła zrozumieć, dlaczego przeszywa ją dreszcz, gdy czuje dotyk tego mężczyzny, który, jak już stwierdziła, niczym się nie wyróżnia. W Whitestone Abbey przez całe

popołudnie doskonale pamiętała o jego bliskości, o oczach koloru brandy i wiedziała, że hrabia przygląda się z uwagą każdemu jej gestowi. A wieczorem uległa zupełnie niestosownej fascynacji jego silnymi, smukłymi dłońmi, które rozdawały karty. Raz przynajmniej nie musiała się wysilać, żeby Przegrać. A gdy Marchford objął ją w tali, prowadząc do wyjścia ciepło, promieniujące od jego dłoni przenikało wszystkie warstwy jej odzienia.

Co najgorsze, zaczynała go lubić. Owszem, nosił piętno swego środowiska, arogancko dawał wszystkim do zrozumienia, że zna swą rangę i należną jej godność, ale jak mogłoby być inaczej, skoro bez wątplenia wprawiano go do tego od najmłodszych lat. A jednak widać było, że dla rodziny jest gotów do największych poświęceń, szczególnie od czasu tragedii Williama i jego żony. Wśród swoich zachowywał się swobodnie i skromnie. Przekomarzania z Meg krasił ciepłym, szczerym śmiechem, a ciotkę doprowadzał do chichotów bezczelnymi pochlebstwami. Był wykształcony, choć się z tego powodu nie wywyższał, co więcej okazywał wielką chęć do nauki. Och, jak można nie lubić takiego człowieka, pomyślała z rozpaczą.

Zaraz jednak naszła ją ironiczna i dość smutna refleksja, że jej uczucia do hrabiego nie mają znaczenia. Wciąż pozostawał dla niej zaprzysięgłym wrogiem i musiała się go strzec. Przez chwilę rozważała słowa Meg, wypowiedziane na Milsom Street. Czyżby jednym ze źródeł nienawiści, jaką jej okazywał, istotnie były wyrzuty sumienia, czyżby Marchford dręczył się, że zostawił rodzinę w potrzebie? Ech, to też właściwie nie miało znaczenia. Należało raczej pocieszyć się myślą, że hrabia pozwolił się przekonać o szczerości jej uczuć do lady Edith, wkrótce więc wyjedzie do Londynu, do lady Frances. Jeśli będzie się odpowiednio starała, to zapewne nigdy więcej się nie spotkają. Ta myśl wzbudziła w niej, o dziwo, głęboką rozpacz. Z ponurym westchnieniem Alison wtuliła głowę w poduszkę, ale w niespokojny sen zapadła dopiero wiele godzin później.

Mimo nie przespanej nocy zbudziła się z samego rana. Wstała z łóżka i zeszła na dół, by samotnie zjeść śniadanie. Ku jej zdziwieniu hrabia dołączył do niej, zanim zdążyła wypić pierwszą filiżankę kawy.

- Kiedy przyszedłeś, milordzie?! - wykrzyknęła, rozlewając kawę na serwetę. - Chciałam powiedzieć, że nie słyszałam...

- Służąca czyściła klamkę w drzwiach, więc wszedłem bez anonsowania - wyjaśnił. - Gestem podziękował lokajowi, który podał mu jaja na szynce, i wyciągnął przed siebie rękę z filiżanką, więc Alison nalala mu kawy ze srebrnego dzbanka. - Czy moja siostra już zeszła na dół?

- O Boże, nie - odparła zdumiona. - I nie oczekiwałabym tego w ciągu najbliższych dwóch godzin.

- Dwa godzin! Przecież wie, że chcę z nią rozmawiać.

- Milordzie - powiedziała Alison z wahaniem. - Meg bardzo późno się położyła, o czym wiesz. Była wyczerpana i...

- Bardzo dobrze wiem o jej późnym powrocie i wyczerpaniu, ale życzę sobie, żeby natychmiast po nią posłano. Nie mam całego dnia do stracenia.

Powiedział to tak władczym tonem, że Alison odruchowo zjeżyła się ze złości. Mimo to udało jej się zachować pozorny spokój.

- Wiem, że jesteś zły na Meg, panie. Masz ku temu słuszny powód - dodała, widząc po jego oczach, że jest coraz bardziej zirytowany. - Ale Meg szczerze żałuje tego, co zrobiła wczoraj wieczorem.

Hrabia parsknął pod nosem. Alison skwapliwie ciągnęła wyjaśnienia:

- Nie sądzę, żebym zdradzała jej tajemnice, jeśli powiem, że chęć udziału w tym balu nie była zwykłym kaprysem, lecz skutkiem dziecinnego, lecz bardzo silnego zadurzenia.

March pogardliwie uniósł brwi.

- Czy dobrze rozumiem, panno Fox, że moja siostra wyjawiała a swoje plany, a ty nic o nich nie powiedziałaś ani lady Edith, ani mnie?

Alison zdrętwiała.

- Ależ skąd, milordzie. Wiedziałam o jej zainteresowaniu tym panem, ale uznałam je za zwykłą cielecą miłość. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że Meg posunie się aż tak daleko.

- Mów dalej, pani. - Można to było traktować jak namiastkę przeprosin, więc Alison, mimo że wciąż jeszcze rozdrażniona, opowiedziała mu o ciężkich przejściach Meg poprzedniego wieczoru.

- Ona naprawdę żałuje swojego postępków, milordzie, a ja uważam, że już poniosła karę za nieposłuszeństwo.

March patrzył na Alison, ale nie mógł skupić się na rozmowie. Usiłował znaleźć najwłaściwsze określenie dla odcienia jej oczu, które zmieniały się, jak odkrył, wraz z nastrojem. Ich błękit nie był w tej chwili lazuruowy, lecz miał ton szaty Madonny z renesansowego obrazu. Alison patrzyła na niego szczerze i odważnie. Poczul się, jakby nagle runął w otchłań i zawisł w oszłamiającej, ametystowej próżni.

- Co? - Raptownie oprzytomniał. Alison skończyła swój monolog i teraz siedziała w milczeniu, mocno zdziwiona brakiem reakcji.

- Powiedziałam, że twoja siostra, panie, już poniosła dostateczną karę. Czy nie podzielasz mego zdania?

- Ja... no tak, naturalnie. To znaczy nie, nie dzielam - zaplątał się. - Meg dostała lekcję, to prawda, ale nie może nabrać przekonania, że będę przymykał oczy na wybryki dorastającej panny.

Alison zmarszczyła czoło.

- Naturalnie nie śmiałybym nic ci radzić, panie, w kwestii postępowania z członkami twojej rodziny, ale...
March wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Ale udało ci się, pani, skłonić moją ciotkę do regularnego wychodzenia z domu i jedzenia solidnych posiłków, czego przedtem nie robiła.

Alison splonęła rumieńcem.

- Och, jeśli o to chodzi...

- Jeśli o to chodzi - wpadł jej w słowo March, jednocześnie dotykając jej dłoni - to mam wrażenie, że skorzystam z twojej rady, pani, czy mi się to podoba, czy nie. Zdążyłem się już przekonać, że należysz do osób dość upartych.

Alison najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Najwyraźniej odniosła zwycięstwo. Czemu więc, zamiast się tym upajać, czuła się jak najgorsza oszustka? I dlaczego krew zawrzała jej w żyłach tylko dlatego, że hrabia delikatnie pogłaskał ją po grzbiecie dłoni?

Jakby czytając w jej myślach, March raptownie cofnął dłoń, ujął widelec i przez dłuższą chwilę z wielkim skupieniem zajmował się śniadaniem. Podniósł jednak wzrok, gdy Alison odchrząknęła i znów zaczęła mówić.

- Na pewno powinieneś z nią porozmawiać, panie, ale Meg już wie, że postąpiła bardzo głupio, więc jeśli będziesz jej prawil kazania, to osiągniesz tylko tyle, że wzbudzisz w niej opór. Zamiast ją karać, lepiej powiedz jej krótko, że zawiodła twoje zaufanie, ale masz nadzieję, że to był pierwszy i ostatni raz. Ona darzy cię wielką miłością, a ponieważ wie, że sprawiła ci ból, więc już poniosła większą karą niż ta, którą mógłbyś wymyślić.

March siedział przez chwilę w zamyśleniu. W uszach Alison głośno dzwięczało tykanie kominkowego zegara.

- Bardzo jesteś mądra, moja miła - powiedział w końcu tak cicho, że ledwie go było słyhać. - I masz rację. Zdrada, zawiedzenie czyjś zaufania jest najgorszym występkiem, jaki może popełnić człowiek. I najbardziej bolesnym. - Alison wyczuła, że March nie mówi już o Meg. Wstrzymała oddech.

Ku jej zaskoczeniu March nagle wstał z krzesła i powiedział dziarsko:

- No, więc dobrze, madame Consigliori. Zostawiam cię i wrócę za kilka godzin. Wtedy porozmawiam z Meg. Obiecuję, że nie urażę jej dziewczęcej wrażliwości, proszę się nie obawiać.

Przesłał jej ciepły uśmiech, i to tak intymny, że Alison poczuła, jak policzki oblewają jej się pąsem. Wybąkała słowa pożegnania, a gdy tylko Marchford wyszedł z pokoju, z drzeniem opadła na krzesło.

Boże, jakie miała prawo mówić o zawroźdzeniu zaufania? Zjednała sobie hrabiego, ale jakim kosztem? Przez resztę życia przyjdzie jej się modlić, żeby nigdy nie odkrył jej roli w rodzinnej tragedii Brentów, po której jeszcze się nie otrząsała. Niechętnie przyznała, że Marchford zaczął dla niej znaczyć bardzo wiele, chociaż zdawała sobie sprawę z dzielących ich barier. Była wprawdzie wnuczką hrabiego, ale jeśli nawet nie ranga, to pozycja społeczna Marchforda bez wątpienia stawiała go poza jej zasięgiem, podobnie jak mające wkrótce nastąpić zaręczy. Zresztą to, że patrzył na nią przyjaznym okiem, nie oznaczało, że czuje do niej cokolwiek poza tym. W innych okolicznościach cenila by sobie jego przyjaźń jak klejnot, wiedziała jednak, że teraz musi sobie odmówić nawet takiego pocieszenia. Marchford siłą wdarł się do jej marzeń. Za nic nie mogła dopuścić, by wdarł się również do serca, bo to doprowadziłoby ją do katastrofy.

Z westchnieniem zostawiła na stole stygnące resztki śniadania i poszła po Honey do części domu zajmowanej przez służbę. Wzięła spanielkę na długi spacer w parku ciągnącym się po drugiej stronie Royal Crescent. Suczka jak zwykle szalała. Najpierw spłoszyła wszystkie ptaki, które mogłyby zakłócać spokój otoczenia, a potem zajęła się aportowaniem patyków. Godzina zabawy z Honey pomogła Alison w odzyskaniu równowagi i wrodzonej pogody ducha.

Znalazszy się z powrotem na Royal Crescent ze zdziwieniem stwierdziła, że mimo bardzo wczesnej pory przed domem lady Edith przystaje elegancka kareta. Gdy stangret pomógł wysiąść młodej damie, która rozejrzała się dookoła dyskretnie, lecz nerwowo, Alison wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Puściła się biegiem ku karecie.

- Molly! - wykrzyknęła bez tchu. - Molly Callander! Co ty tutaj robisz?!

8

Powinam być zupełnie gdzie indziej - szepnęła zdyszana Molly, niespokojnie potrząsając ciemnymi lokami. Wzięła od Alison filiżankę herbaty i usiadła na krześle w bibliotece. Spoglądała to tu, to tam rozbieganymi czarnymi oczami, jakby obawiała się, że w każdej chwili ktoś może ją złapać na gorącym uczynku. Alison patrzyła na nią wzruszona, wspominając dawne dni.

Razem z Beth i Molly stanowiły w szkole nierozłączną trójcę. Alison, najrozsądniejsza z tej grupki, nie zawsze potrafiła powściągnąć Molly, która widziała świat jak jeden wielki plac zabaw. Natomiast Beth, złotowłosa, śliczna i słodka niczym uśmiech, który gościł na jej różowych wargach, była uległa. Zawsze pierwsza pozwalała się wciągnąć w szaleńcze eskapady Molly, zawsze też była pierwsza do bronienia przyjaciółek, gdy ich zwariowane intrygi ściągały na nie niechybną klęskę.

Alison westchnęła. W końcu okazało się, że to jej eskapada przyniosła klęskę: zniszczyła tyłu ludzi. Potrząsnęła głową, żeby skupić się na następnych słowach Molly.

- Powinam być w drodze do Bristolu, mam się tam spotkać z Callanderem u jego matki, bo rodzina zbiera się na chrcziny najmłodszej latorośli jego siostry. Wyjechałam z Londynu wczoraj, nocowałam w Marlborough. Ale

musiałam przejechać tędy, żeby zamienić z tobą kilka słów. Żeby tylko nikt nas razem nie zobaczył. Alison, mam okropne nowiny!

- Uspokój się, Molly. Lady Edith jeszcze leży w łóżku, więc możemy spokojnie porozmawiać. Powiedz mi, czemu tak się gorączkujesz? Niemożliwe, żeby zaszło coś aż tak strasznego.

- Właśnie że zaszło. Marchford jest w Bath!

- Wiem - odrzekła flegmatycznie Alison. - Przyjechał kilka dni temu i większość czasu spędza tutaj, w domu ciotki.

- Ale...

- Bez paniki, Molly - ciągnęła Alison z pewnością, której wcale nie czuła. - Spotkaliśmy się z hrabią kilka razy, zachowuje się wobec mnie wręcz kordialnie.

Molly wydała ni to czknięcie, ni to westchnienie.

- Och, moja droga, tak się cieszę, że to mówisz. Kiedy doszło do moich uszu, że Marchford wyruszył do Bath, byłam pewna, że dowiedział się prawdy! Ale jeśli nie przyjechał tu, żeby cię zniszczyć, to po co? - spytała z obawą.

Alison zachichotała.

- Żeby wybawić ciotkę ze szponów pewnej oszustki wyłudzającej pieniądze. Inaczej mówiąc, z moich szponów.

- Co takiego? - Molly znów głośno nabrała powietrza. - Zdawało mi się, że powiedziałaś...

Alison wdała się w wyjaśnianie swoich stosunków z Marchfordem, to i owo jednakże pomijając. Gdy skończyła, Molly zatrzęsała się od śmiechu.

- Och, Alison. Powinnaś być wiedzieć, że spadniesz na cztery łapy. Oszustka wyłudająca pieniądze, dobre sobie! Drogi farbowany lisie, jesteś jedną z najbardziej godnych szacunku osób, jakie znam. Cieszę się, że pan hrabia ma dość rozsądku, by to zauważyć.

Alison uśmiechnęła się, słysząc swe dawne przezwisko, zaraz jednak oblała się pąsem.

- Nie wydaje mi się, żebym zasługiwała na miano osoby godnej szacunku. Kiedy pomyślę, jak go oszukujemy...

- Niedorzeczność - odparła energicznie przyjaciółka. - Po prostu ukrywasz przed nim informację, która mogłaby go doprowadzić do całkiem błędnych wniosków. To nie ma nic wspólnego z oszustwem.

- Jak to? Przecież jestem złej sławy Lissą Reynard, której Marchford od czterech lat szuka po całej Anglii.

- Ale to nie ty spowodowałaś tragedię, o którą on cię obwinia. - Molly urwała na chwilę i z wahaniem podjęła: - Czy... czy rozważałaś taką możliwość, że po prostu pójdziesz do lorda Marchforda i wyjaśnisz mu, co naprawdę zaszło między tobą i Susannah Brent?

- Tak - odparła Alison. - Ale doszłam do wniosku, że byłoby to z mojej strony bardzo głupie posunięcie. Wbrew twoim życzliwym słowom nie potrafię nie czuć się odpowiedzialna za to, co się stało.

Molly odstawiła filiżankę z takim animuszem, że stolik aż się zatrzęsł.

- Alison, nigdy nie znałam nikogo z... z sumieniem metodysty. Nie oszukałaś Susannah Brent. Nawet nie byłaś odpowiedzialna za jej horrendalne długi. Sama nie wiem, jak się powstrzymałam przed ciśnięciem jej w twarz tych wszystkich kłamstw, które o tobie nawygadywała.

- Bardzo dobrze, że tego nie zrobiłaś - powiedziała Alison i uśmiechnęła się smutno. - Potem trudno byłoby ci przekonać lorda Marchforda, że nic o mnie nie wiesz.

- Jego i tego okropnego typka, którego na mnie nasłał - dodała Molly. Uśmiechnęła się; w oczach zatańczyły jej ogniki przekory. - Och, Alison, mówię ci, jaka byłam wspaniała. Przekonałam i hrabiego, i tego natrętnego detektywa, że jestem niedorajdą z kurzym mózdzkiem, nabraną przez sprytną oszustkę.

- Powinnaś iść na scenę - roześmiała się Alison. - Beth i ja zawsze podziwialiśmy twoje talenty. - Na wspomnienie przyjaciółki obie się zasepiły.

- Biedna Beth - westchnęła Molly. - Wiedziałam, że to małżeństwo z Jackiem Crawfordem skończy się tragicznie.

- Ale ona go kochała. - Alison skrzywiła się. - A on też ją kochał na swój sposób. Szczerze rozpaczał, gdy odeszła.

Molly skinęła głową.

- To prawda. Kilka miesięcy po jej śmierci przyjechał do mnie w odwiedziny. Byłam przerażona odmianą, która w nim zaszła. Bardzo schudł, przestał się schludnie ubierać. A jest przecież jednym z najprzystojniejszych znanych mi mężczyzn, no i kiedyś lubił się stroić. Ojejku! - Gwałtownie wyprostowała się na krześle. - Chyba tracę rozum! Omal nie zapomniałam ci powiedzieć. Jack Crawford też jest w Bath!

- Co takiego? - spytała zdumiona Alison. - Tutaj? Nie spotkałam go. Co on robi w Bath?

- Nie wiem. Naturalnie nie obraca się w tych samych kręgach co lady Edith Brent, więc nic dziwnego, że wasze drogi się nie skrzyżowały. Ale na twoim miejscu uważałabym. Nie wiem, w jaki sposób ktoś miałby skojarzyć Lissę Reynard z Jackiem Crawfordem, wydaje mi się jednak, że rozsądnie byłoby, gdybyś trzymała się od niego z dala, przynajmniej póki Jest tu lord Marchford.

- Masz rację - bąknęła Alison, przerażona wizją rychłego zdemaskowania. - Dziękuję ci, Molly, będę bardzo uważać.

Molly dopiła herbatę i wstała.

- Muszę jechać dalej, moja droga. W karecie czeka na mnie służąca. Poza tym śpieszę się, żeby zdążyć do Bristolu na umówioną godzinę. Napisz do mnie, jak sobie radzisz. - Zamknęła przyjaciółkę w pachnących ramionach. - Naturalnie gdybyś miała kłopoty i gdyby wypędzono cię ognistym mieczem z domostwa lady Edith, to serdecznie cię zapraszam do mnie. Nawet bardziej niż serdecznie. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Wszak każdy farbowany lis potrzebuje bezpiecznej nory.

Alison gorąco odwzajemniła uścisk.

- Mam szczęście do przyjaciół - powiedziała markotnie.

- Phi - parsknęła w odpowiedzi Molly. Cmoknęła Alison w policzek i energicznie ruszyła do wyjścia. Za progiem przystanąła na chwilę i rozejrzała się po ulicy, jakby w obawie, że ktoś ją obserwuje. Dopiero potem wsiadła do czekającej karety.

March, który skręcał właśnie w Royal Crescent, patrzył bez szczególnego zainteresowania, jak Molly zegna Alison niedbałym skinieniem dłoni i wsiada do karety. Dopiero gdy zerknęła ukradkiem w jego stronę, zwrócił na nią uwagę. Stał jak wryty, bowiem rozpoznał w niej kobietę, u której mieszkała Lissa Reynard podczas pobytu w stolicy.

Boże, co wicehrabina Callander robi w Bath? Co robi na Royal Crescent? Skąd ta bliska komitywa z Alison? I dlaczego rozgląda się tak, jakby deptali jej po piętach komornicy? Wykonawszy obrót na pięcie, wycofał się z powrotem na Brook Street. Przystanął, bo poczuł przykre sensacje w żołądku. Wkrótce jednak machinalnie zaczął się oddalać od domu ciotki. Oprzytomniał dopiero, gdy dotarł do barierki przy wejściu na most Pultney. Tam zatrzymał się na dłużej i zapatrzył w wody Avonu, płynącego w dole. Podczas tej przechadzki dopasował do siebie kilka faktów. Poczul się tak, jakby w jego wnętrzu wybuchła bomba.

Ależ byłem głupi, pomyślał tępo. Pozwolił się wystrychnąć na dudka niczym nie opierzony żółtodziób tylko dlatego, że ktoś miał błękitne oczy. Jak mógł tak łatwo uwierzyć w niewinność Alison Fox? Było wszak jasne jak słońce, że jest chciwą harpią, jaką widział w niej od początku, w dodatku akurat tą, której bezowocnie szuka od czterech lat.

Powinien był natychmiast skojarzyć nazwisko Fox z jego francuską wersją. Wprawdzie opis nieuchwytniej Lissy nie pasował do Alison, widocznie jednak włożyła przyciemnione okulary i przykryła czarne włosy peruką. Zaklął głośno. Była nawet poszlaka w meldunku, jaki złożył mu Pilcher parę dni temu: *Panna Fox przez całe życie mieszkała w Ridstowe, z wyjątkiem okresu poprzedzającego śmierć ojca, gdy wyjechała w dłuższe odwiedziny do kuzynki w Yorkshire*. Ta wizyta pokrywała się w czasie z okresem spędzonym przez Lissę Reynard w Londynie. Fox. Reynard. A to farbowany lis! Wyjątkowo przewrotna bestia, nawet jak na swój gatunek. Miał ochotę natychmiast wrócić na Royal Crescent i udusić ją gołymi rękami. Zacisnął dłonie w pięści, aż pobieleły mu knykcie.

Nie. Poczekał, aż się trochę uspokoi. Nie wolno mu się przed nią zdradzić. Jeszcze poczeka z zemstą, którą sobie obiecywał latami. Musi najpierw starannie wszystko zaplanować, żeby Lissa Reynard cierpiała nie mniej, niż on cierpiał. Ma mnóstwo czasu, żeby wymyślić dla niej odpowiednią karę. Twierdziła przecież, że nie zamierza wyjechać z Bath w niedługiej przyszłości.

Jego zemsta będzie słodka. Czuję, że wreszcie zrobi użytek z zabójczego jadu, który zatrał go od śmierci Williama, Susannah i ojca. Oczyści z niego duszę i odżyje. Upoiła go myśl, że odpłaci za swoje krzywdy w dwójnasób. Och, popamięta go ta szulerka! Wkrótce będzie przeklinała dzień, w którym porwała się na majątek rodziny Brentów.

Tymczasem jednak należało zachowywać się tak samo jak do tej pory i rozkoszować myślą o coraz bliższej zemście. Z uśmiechem, który sprawił, że mijający go łobuziak pokazał mu figę, hrabia energicznym krokiem udał się tam, gdzie zdązał pierwotnie.

Ciotkę i Meg zastał przy śniadaniu. Po Alison nie było śladu.

- Nie wstawaj, kruszynko - powiedział do Meg, która widząc go, zerwała się na równe nogi. Na dźwięk tego pieśzcotliwego określenia po jej zmęczonej twarzy przemknął wyraz ulgi. Wyprostowała ramiona.

- Czy... czy chcesz ze mną porozmawiać, March?

Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem. Rozmawiać z Meg? Boże, całkiem zapomniał o niefortunnym wieczornym epizodzie. Ale zanim zdążył odpowiedzieć, bez zbędnych powitalnych ceregieli zwróciła się do niego lady Edith.

- Wiesz, March, Meg opowiedziała mi o wszystkim, co zaszło wczoraj wieczorem. Już ją złałam. Rozumie, że postąpiła bardzo źle. Jest jej z tego powodu niezmiernie przykro.

Zainteresowanie Marcha nocną eskapadą siostry było w tej chwili równe zeru, uznał jednak, że powinien doprowadzić sprawę do końca.

- Czy to prawda, Meggie? - spytał łagodnie.

Meg drugi raz tego ranka wybuchnęła płaczem.

- O, tak, March. Naprawdę źle mi z myślą, że poszłam na ten piekielny bal wbrew woli twojej, cioci Edith i Alison. Omal nie napytałam sobie prawdziwej biedy. Już nigdy, przenigdy czegoś takiego nie zrobię. - Spojrzała na

brata oczami pełnymi łez. - Wiem, że zasłużyłam na karę, i przyjmę każdą, którą mi wyznaczysz - zakończyła z miną chrześcijańskiej męczennicy rzucanej lwom na pożarcie. Mimo ponurego nastroju March nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Usiądź, kruszynko. Muszę przyznać, że bardzo mnie rozczarowałaś. - Z niemitym ukłuciem w sercu stwierdził, że Alison miała rację, te słowa bowiem wywołały na bladej twarzy Meg wyjątkowo zbolałą minę. - Ale o ile wiem od panny Fox, już poniosłaś karę. Powiedz mi, Meg, czy naprawdę czegoś cię to doświadczenie nauczyło.

- Oj, tak, March. - Westchnęła. - Nigdy przedtem nie zwróciłam uwagi na to, że kiedy ty albo ciocia, albo Eleanor, albo... albo ktokolwiek inny zabrania mi czegoś, na co mam wielką ochotę, to po prostu odwracam się na pięcie i robię po swojemu. - Pojęła, że niezbyt jasno się wyraża, więc szybko się poprawiła: - Chcę powiedzieć, że dorośli są bardziej doświadczeni i zwykle mają rację, jeśli czegoś zakazują, tym bardziej że chodzi im wyłącznie o moje dobro.

- Cóż za chwalebny pogląd, moja droga. Prawie się przestraszyłem, że jeszcze trochę i rozdasz mienie biednym, a potem zamówisz u krawcowej włosienicę. Nie, nie - zastrzegł się widząc, że siostra chce zaprotestować. - Wiem, że twoja chęć poprawy jest szczerą i doceniam to. A ponieważ ciotka Edith bez wątplenia natarła ci uszu, więc nie widzę celu w robieniu tego samego.

Usiadł na wolnym krześle obok Meg.

- Może nalejesz mi kawy - poprosił smutno. - Chyba że wolisz, żebym umarł z głodu.

Meg zerwała się z krzesła, by uczynić zadość jego życzeniu, ale zanim pobięła po kawę, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Och, March! Jesteś najlepszym bratem na świecie. Obiecuję, że będę dla ciebie najlepszą siostrą.

March poczuł, że zapada się w pustkę. Ech, gdyby wszystkich jego trosk można było tak łatwo się pozbyć. Machinalnie odwzajemnił uścisk Meg, a potem w milczeniu przysłuchiwał się dalszemu ciągowi rozmowy, która zaczęła się przed jego przyjściem. Od czasu do czasu machinalnie podnosił filiżankę i upijał łyk kawy.

- Uwielbiam fajerwerki! - wykrzyknęła Meg, mając na myśli zbliżający się wieczór w Sydney Gardens. - Ostatecznie mogę nawet wytrzymać najpierw koncert.

- Będą grali przede wszystkim Mozarta - wtrąciła lady Edith. - Zdaje się, że odkąd umarł, nikt nie napisał nic Porządnego.

- Nie lubisz Haendla, ciociu? - spytał March z rozbawieniem. - Ani Beethovena?

- Och, ja lubię Beethovena najbardziej ze wszystkich kompozytorów - rozległ się głos od progu. March zdrtęwał.

- O, panna Fox. - Uśmiechnął się z dużym wysiłkiem. - Rozmawiamy o wieczornym koncercie.

Alison z wdziękiem wsunęła się do pokoju, po drodze obrzucając Marcha skupionym spojrzeniem. Coś było nie tak. Wyczuwała to instynktownie, jakby przewiał ją zimny wiatr. Nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy, na której gościł uprzejmy uśmiech, ale oczy... Zupełnie jakby patrzył na świat przez warstewkę lodu. Co się stało, zastanawiała się z narastającym niepokojem. W chwilę potem otrząsnęła się jednak z przykrych myśli, March wstał bowiem i odsunął dla niej krzesło od stołu.

Przez następne pół godziny snuto plany na wieczór. Wreszcie March wstał mówiąc, że wybiera się na wczesny lunch ze starym znajomym ojca, z którym umówił się w zajeździe Saracen's Head. Ciotka Edith postanowiła wrócić do swojego pokoju i dokończyć książkę, zaczęta poprzedniego dnia, natomiast Alison udała się do apartamentów Meg, by jej pomóc przygotować kreację na wieczór.

Przez pozostałą część dnia March obserwował u siebie rozdwojenie jaźni. Jedno ja prowadziło normalne życie, prawilo komplementy i wymieniało plotki. Drugie usiłowało zapanować nad gniewnym zamętem, który ogarnął jego wnętrze. Wciąż przypominała mu się poranna rozmowa z Alison. Niech diabli wezmą tę kobietę i jej szczerze słowa. O czym to mówili? Coś o tym, że zawiedzenie zaufania jest najgorszym i najbardziej bolesnym uczynkiem, jakiego może dopuścić się człowiek.

Gdzieś na peryferiach umysłu, których nie miał ochoty badać, majaczyła mu myśl, że znaczącym słowem jest tu „bolesny”. Zaczął wierzyć Alison Fox. Co gorsza, nawet ją polubił. To dziwne, pomyślał beznamiętnie. Niewielu ludzi naprawdę lubił. Coś szeptało mu, że nie mógłby tego powiedzieć nawet o swej przyszłej żonie. Szanował Frances, to nie ulegało wątpliwości, podziwiał ją, ale musiał przyznać, że nie lubił jej tak naprawdę, wcale nie lubił jej bardziej niż, dajmy na to, pana Bratchetta, nauczyciela w okularach, który w jego młodych latach z nieugiętą surowością wpajał mu tajniki greki i łaciny.

Z irytacją otrząsnął się z tych myśli. To wszystko nie miało nic do rzeczy. Wiedział, że zaręczyny są krokiem praktycznym, a to, czy lubi Frances, nie ma związku z jego uczuciami wobec Alison Fox, stanowiącymi mieszaninę nienawiści, upokorzenia i pogardy dla zdrady.

Służącemu, który został wezwany do pomocy, gdy Marchford ubierał się do wieczornego wyjścia, wystarczyło jedno spojrzenie na pana. Podał mu koszulę, krawat i kamizelkę bez jednego słowa, w napiętym milczeniu. Kiedy zaś stwierdził, że pan wreszcie znika za progiem, opadł na najbliższe krzesło z głośnym westchnieniem ulgi.

Kolację March jakoś przetrwał. Nikt z ludzi, nawet tych, którzy utrzymywali, że go dobrze znają, na pewno nie odgadłby fum, jaka kryła się za jego ugrzecznioną miną, którą przybrał na użytek pań przy stole. Podczas koncertu trochę się odprężył, bo przynajmniej nie musiał ukrywać uczuć. Mozart nie poprawił mu nastroju, ale pomógł mu

w rozmyślaniach, zanim więc wybuchły oklaski po ostatnim utworze, miał już w głowie zarysy planu. Wiedział, jak unicestwić piękną pannę Fox.

Ku swemu rozczarowaniu Alison odkryła, że tego wieczoru Mozart jej nie służy. Oczekiwała koncertu z dużą niecierpliwością, zwłaszcza że orkiestra składała się z członków niedawno Powołanego królewskiego stowarzyszenia filharmonicznego w Londynie. Biegłość muzyków od początku zwracała uwagę, mimo to Alison nie mogła jak zazwyczaj bez reszty poświęcić się muzyce. Spojrzała wzdłuż rzędu krzeseł. Za Meg i lady Edith siedział March, ale mimo światła, rzucanego przez latarnie znad ich głów, nie widziała rysów jego twarzy. Nerwowo poruszyła się na fotelu.

Już chyba setny raz próbowała odgadnąć, co mu się dzisiaj stało. A może to tylko wyobraźnia podsunęła jej myśl, że zaszła w nim trudna do nazwania odmiana. Podczas kolacji śmiał się i żartował, ale właściwie nic nie zjadł. Pochwalił jej suknię i uśmiechał się dość sztywno, ale oczy lśniły mu jak kawałki lodu odlupane z powierzchni zamrożonego stawu.

Wzruszyła ramionami i rozplotła dłonie, które trzymała na kolanach. Humor lorda Marchforda nie ma dla niej żadnego znaczenia. Marchford wkrótce wyjedzie i życie potoczy się normalną drogą. Do tej pory spokojne bytowanie u boku lady Edith było dla niej bardzo kojące, znów będzie więc mogła cieszyć się spacerami do pijalni i biblioteki. W czasie najbliższych kilku miesięcy Meg wniesie do ich życia miłe ożywienie, a potem będzie spokojnie rozmyślać o szkole, którą kiedyś założy.

Wygodnie oparła plecy. Dwa tygodnie temu koncert z takim programem sprawiłby jej nadzwyczajną przyjemność. Wolała nie rozważać, czemu teraz jest inaczej. Nagle drgnęła, orkiestra bowiem przestała grać, a wokół zerwały się oklaski. Lord Marchford wstał i zaproponował, że przyniesie paniom coś na wzmocnienie przed rozpoczęciem fajerwerków. Gdy się oddalał, Alison odczuła mimowolny podziw dla elegancji i sprężystości jego kroku.

Bezmyślnie przesunęła wzrokiem po tłumie ludzi wstających z miejsc. Nagle zdrętwiała. Po drugiej stronie małego amfiteatru siedział z dwoma mężczyznami i kobietą i śmiał się... czyżby...? Mężczyzna powiedział coś do jednego z kompanów i przy okazji zwrócił twarz w jej stronę. Tak! To był Jack Crawford! Raczej nie mógł jej jeszcze zauważyć. Ulegając napadowi paniki, Alison zerwała się na równe nogi. Zlekceważyła zaciekawione spojrzenie Meg i szybko oddalając się od tłumu, niemal wbiegła w mroczną alejkę, krzyżującą się z promenadą. Dopadła osłoniętego listowiem schronienia, ale w kilka sekund później przeżyła wstrząs, zderzyła się bowiem z wielką, muskularną postacią. Co zaś jeszcze najgorsze, człowiek ten niósł cztery czarki ponczu, które wyleciały mu z rąk i roztrzaskały się o kamienne podłoże u ich stóp.

- Ojej - Alison jęknęła. - Bardzo mi... Och, to ty, milordzie! Nie widziałam... to znaczy...

- Wygląda na to, panno Fox - powiedział gładko lord Marchford - że nie pozbyłaś się jeszcze dość niefortunnej skłonności do ściągania na siebie kłopotów. - Wyciągnął chustkę z kieszonki kamizelki i zaczął delikatnie strzepywać krople z kłap fraka.

- Mój Boże, mam nadzieję, panie, że nie zniszczyłam ci ubrania. - Wyjęła z torebki chusteczkę i próbowała osuszyć płamę.

- A co z twoją suknią, pani?

- Moją...? Och, nieważne. Nic mi się nie stało - odrzekła, pobieżnie obejrawszy stanik sukni. - Obawiam się jednak, panie, że ty jesteś dość mokry. - Dalej pracowała nad usunięciem kropli ponczu z fraka.

- Czemu właściwie biegasz, pani, samotnie ciemną alejką? - Powiedział to żartobliwym tonem, Alison miała jednak wrażenie, że słyszy przyganę. Boże, czyżby pomyślał, że śpieszyła na schadzkę? Chętnie wyjaśniłaby mu, że jest wręcz przeciwnie.

- Nie wiedziałam, że tak się śpieszę - odparła z godnością. - Chciałam rozprostować nogi po długim siedzeniu.

Na chwilę zapadło między nimi milczenie. Nagle Alison uświadomiła sobie, że próby osuszenia fraka niebezpiecznie zbliżyły ją do podbródka hrabiego. Podniosła głowę i stwierdziła, że patrzy mu prosto w oczy. Zaskoczona chciała się cofnąć, ale Marchford delikatnie położył jej dłonie na ramionach i pociągnął ją ku sobie. Czowała, jak loki spadające jej na policzki poruszają się, ogarnięte ciepłym oddechem. Zabrakło jej tchu. Wiedziała, że powinna odepchnąć Marchforda. Natychmiast. Oszołomiona tym zbliżeniem trwała jednak nieruchomo, mimo woli pragnąc, by przyciągnął ją jeszcze bliżej. Gdy to zrobił, odruchowo odchyliła głowę i poczuła na policzku muśnięcie jego warg. W chwilę potem Marchford odnalazł jej usta.

Pocałunek był początkowo delikatny. Zamknięta w objęciach Marcha, bezwiednie się w niego wtuliła. Natychmiast odpowiedział na to gwałtowniejszym ruchem rozpalonych warg. Nieświadomie uniosła ramię i pogłaskała go po miękkich, gęstych włosach na karku. Miała wrażenie, że otwiera się dla niego jak kwiat w gorące letnie popołudnie. Głośno krzyknęła tuż przy jego wargach. Poczuła uderzenie gorąca, March położył jej bowiem dłoń na plecach. Otarła się o niego, jakby chciała się wśliznąć do jego wnętrza.

Głośny kobiecy śmiech, który rozległ się tuż obok, przywrócił jej trzeźwość umysłu. Z sykiem przerażenia oderwała się od Marchforda. Nie próbował jej zatrzymać. Przez chwilę wpatrywała się w niego znieruchomiła, nie mogąc w ciemnościach wyczytać czegokolwiek z jego twarzy.

- Nie powinienem był tego robić - powiedział chrapliwie.
- Nie - odszepnęła półprzymtomnie.
- Z drugiej strony nie mogę powiedzieć, że mi z tego powodu przykro.
- Nie - powtórzyła. Wciąż nie mogła zebrać myśli.
- Lepiej wróćmy do reszty towarzystwa - zaproponował szeptem i ująwszy ją za łokieć, zaprowadził z powrotem w tłum, który przelewał się po ciasnym amfiteatrze. Wkrótce znaleźli się obok Meg i lady Edith.
- Cieszę się, że jesteście - śpiewnie oznajmiła lady Edith. - Już się bałam, że straciecie fajerwerki.

9

Och, March, bardzo ci dziękuję. - Meg wyszła lekkim krokiem z cukierni pani Vivier na Brock Street. Mówiła niewyraźnie, bo usta miała zapchane ciastkiem. - Pewnie wydają ci się małym dzieckiem, ale nie mogę przejść obojętnie obok bez pani Vivier.

- Nie ty jedna - odparł March, wskazując dwie inne młode modnisie, które opuściły cukiernię przed nimi, każda z paczuszką lepkich smakołyków. - Dokąd teraz?

- Myślę - odrzekła gorliwie Meg - że najpierw powinniśmy spełnić obowiązki: kupić papier listowy dla cici i pożyczyć z biblioteki książkę, o którą prosiła. Potem będzie czas na Przyjemności. Może pójdziemy na przechadzkę brzegiem rzeki napijemy się herbaty w tym przytulnym kątku niedaleko Parade Gardens?

- A tymczasem bez wątpienia znowu zgłodniejesz jak wilk, więc wcale się nie zdziwię, jeśli w wieku lat dwudziestu będziesz tłusta jak pączek.

- March, mówisz potworności! - Meg zerknęła z satysfakcją na odbicie swej szczupłej sylwetki w sklepowej witrynie. - Ciocia zawsze mówi, że kobiety w rodzinie Brentów zachowują figurę w każdym wieku. Poza tym nie opycham się tak, jak na przykład Jennifer Wilmont. Jeśli chcesz rozmawiać o pączkach...

- Nie przejmuj się, wróbelku. Popatrz, doszliśmy do biblioteki. Idź zapytać o książkę, a ja tymczasem kupię papier.

Posiawszy mu figlarne spojrzenie, Meg pośpieszyła do lady, przy której stał gotów do pomocy bibliotekarz. March odwrócił się w drugą stronę. Podawszy pracownikowi zamówienie ciotki, zaczął swobodnie przechadzać się między półkami. Najnowsze wydanie „Bath Chronicle” nie zwróciło jego uwagi, podobnie jak ogłoszenie o aukcji koni, która za trzy dni miała odbyć się w Lansdown. Miał wrażenie, że tego ranka wzrok ma zamglony obrazem pary błękitnych oczu. Myślał wciąż o minionym wieczorze.

Gdy niewątpliwie korzystne dla niego, choć nie dla fraka, zdarzenie rzuciło mu pannę Fox w ramiona, pomyślał najpierw, że to uśmiech bogów. Potem wyobraził sobie, jak obejmuje dłońmi tę uroczą, smukłą szyję i z całej siły zaciska palce. Miał zamiar zamknąć jej ciało w wężowym uścisku i zmiażdżyć wargi chciwym pocałunkiem. Czuł nieodparte pragnienie potraktowania jej z największą brutalnością, na jaką można było sobie pozwolić w publicznym miejscu. W ostatniej chwili uświadomił sobie jednak, że nie może jej skrzywdzić, opanował się i zamiast tego jedynie musnął jej wargi w delikatnym, wstydliwym pozdrowieniu kochanków. Ale po pierwszym zetknięciu ich ust prawie stracił panowanie nad sobą. Boże, jak zło może przybrać tak uroczą formę? Wargi panny Fox były miękkie i ciepłe, a ciało, które przytulało się do niego z niewinną uległością, oczarowało go swymi kształtami. Gdyby nie wiedział tego, co wie, przysiągłby, że panna Fox odwzajemniła pocałunek szczerze i bezinteresownie.

Uśmiechnął się. Och, co to była za odpowiedź. Alison Fox zaskoczyła go swą żarliwością. Poddawała mu się bez oporu, a jego ogarnęło pragnienie tyleż gwałtowne, co bardzo niepożądane. Gdyby nie przeszkodził im ten wybuch śmiechu. Bóg jeden wie, na czym skończyłaby się ta chwila namiętności.

Postanowił w przyszłości lepiej strzec się przed porywami uczuć. Początek został zrobiony. Jeszcze trochę dyskretnych zachęt, jeszcze tydzień lub dwa i panna Fox sama padnie mu w ramiona. Wtedy nadejdzie czas na urzeczywistnienie jego małego planu. Czas na...

- Słucham? - March popatrzył zdezorientowany na Meg, która stała przy nim z dwiema książkami w dłoni.

- Powiedziałam, ty burmuchu, że ten sympatyczny dżentelmen - wskazała głową młodego bibliotekarza, który z atencją stał za kontuarem, nieco zarumieniony - zdradził mi, że właśnie przywieziono *Dumę i uprzedzenie*. To jest najnowsza powieść tej autorki, która napisała *Rozważną i romantyczną*. Alison już nie może się jej doczekać. Pożyczmy dla niej?

- Naturalnie - zgodził się obojętnie March. Gdy znaleźli się ponownie na ulicy, spytał: - Czy panna Fox lubi czytać powieści?

- Hm. - Meg zamyśliła się. - Na pewno uwielbia czytać, więc chyba i powieści ją bawią, chociaż nie te z wydawnictwa Minerva. - Spłonęła rumieńcem, dla siebie wybrała bowiem dwie powieści gotyckie, które zdaniem jej przyjaciółek czytało się jednym tchem.

- A co woli? - dociekał hrabia. Uznał, że dobrze byłoby jak najlepiej poznać wroga.

- Och, nie wiem... Lubi poezję. Chyba Coleridge'a i kogoś, kto nazywa się Blake. Była w siódmym niebie, gdy ciocia Podarowała jej na Boże Narodzenie dzieła Marty Edgeworth. Widziałam ją też chyba z jakimiś książkami pani More, chociaż nie mam pojęcia, po co ktoś miałby tonąć w morzu wiecznego moralizatorstwa. Ostatnio

studiowała książkę Mary Woolen coś tam dalej.

- Mary Wollenstonecraft? - Zdziwiony March uniósł brwi. - Boże wielki! - Czyżby była zwolenniczką tej zagorzalej obrończyni praw kobiet? To dziwne, zwłaszcza jeśli lubiła również książki bardzo pobożnej Hannah More.

- Kobieta eklektycznego gustu, muszę powiedzieć - mruknął z jawnym brakiem zainteresowania, po czym zmienił temat. Wkrótce jednak nazwisko panny Fox znów wypłynęło w rozmowie.

- Och, co za miłe chwile - westchnęła Meg nieco później, gdy siedzieli już w uroczej herbaciarni w Parade Gardens. Odsunęła od siebie pozostałości ciastek z kremem i małymi łykami popijała herbatę, z zadowoleniem przyglądając się spacerowiczom, tu i ówdzie przesuającym się na tle parkowej zieleni. - Szkoda, że Alison z nami nie poszła.

- Mhm - March bardzo uważał, żeby nie wyrazić się w tej materii jasno. - Ciotka Edith wspominała coś rano, że jest niedysponowana, prawda?

- Zwyczajny ból głowy. Ciocia przypuszcza, że to po wczorajszych rozrywkach. Boże, mam nadzieję, że nigdy nie będę prowadzić się tak statecznie, żeby po koncercie i fajerwerkach od razu kłaść się do łóżka.

- Podejrzewam, że to zależy od natury fajerwerków - stwierdził March pod nosem.

W istocie, o czym March nie wiedział, po wydarzeniach ostatniego wieczoru Alison zasnęła dopiero nad ranem. Zbudziła się kilka godzin później z wrażeniem, że wewnątrz czaszki jeździ jej zaprzęg perszeronów.

Nie mogła powiedzieć, żeby nigdy przedtem nikt jej nie całował. Jeszcze zanim wyjechała z Ridstowe, odbierała zaloty miejscowych młodzieńców. Najczęściej było w tych zalotach wiele czci i wstydlivości, ograniczały się więc do niewinnych cmoknięć w policzek bądź wargi. Z rzadka tylko towarzyszył temu śmielszy uścisk. Niektórzy kawalerowie wydawali jej się przyjemniejsi od innych, nigdy jednak nie pozwoliła nikomu na przekroczenie granicy przyzwoitości. Nie miała zresztą zamiaru zachęcać swoich adoratorów do bardziej namiętnych czynów. Krótko mówiąc, dotychczasowe doświadczenia w niczym nie przygotowały jej na miążdzący efekt pocałunku lorda Marchforda. Co się kroi, wiedziała od razu, gdy tylko spojrzała mu w oczy, mimo że w mdłym świetle latami dostrzegła tylko nikłe, złotawe lśnienie. Powinna była wtedy natychmiast się cofnąć. Niechby sam sobie wytarł frak i koszulę. Niechby... Ale nie, sama padła mu w ramiona jak najbardziej lekkomyślna panna. Przy pierwszym zetknięciu ich warg całkiem straciła głowę. Dłonie Marchforda wytyczały na jej plecach gorący szlak. Gdyby zaczął ją tam, w parku, rozbierać z sukni, pewnie sama by mu pomogła.

Boże miły, co teraz zrobić? Jak ma mu spojrzeć w oczy? Gdy obok nich rozległ się śmiech i Marchford nagle się odsunął, nie była w stanie nawet skarcić go za niestosowne zachowanie. Odprowadził ją do amfiteatru jak manekin. Nie mogła ani się odezwać, ani nawet jasno myśleć. Dopiero gdy z powrotem usiadła na miejscu, przypomniała sobie, z jakiego powodu stamtąd uciekła. Na szczęście ukradkowe spojrzenie przekonało ją, że Jack Crawford i jego towarzystwo już wyszli.

Z żalem myślała, że fajerwerki okazały się najmniej udaną chwilą wieczoru.

Gdy zwlokła się z łóżka następnego dnia, w domu panowała cisza. Z ulgą przypominała sobie, że Marchford umówił się z Meg na lunch w mieście. Przedpołudnie spędziła więc spokojnie, pomagając wypisywać zaproszenia na kolację, którą lady Edith zamierzała wydać za tydzień. Po dość spartańskim Południowym posiłku obie panie wybrały się na codzienny spacer do pijalni.

Pierwszy raz Alison czuła zaniepokojenie, wędrując za lady Edith po obszernej sali. Za nic nie mogła włączyć się do beztroskiej wymiany najświeższych plotek i rozmówek o skandalach. Gdy lady Edith usadowiła się wygodnie na krześle, Moczona przez swoje towarzystwo, Alison oddaliła się w stronę kranu i wsunęła parę pensów w dłoń służącego. Potem, popijając z małego kubeczka słynną wodę mineralną, podeszła do okna z widokiem na królewską łaźnię i próbowała się rozerwać oglądając pulchne damy, które ceremonialnie brodziły po basenie, odziane w szaty z grubego płótna, i skwaszonych dżentelmenów, dzielnie ćwiczących przysiady w parującej wodzie. Gdy nagle tuż przy jej łokciu odezwał się głos, wzdygnęła się tak gwałtownie, że większość uzdrawiającej wody wylała się z kubeczka na podłogę.

- Alison! Toż to Alison Fox we własnej osobie!

Z największym wysiłkiem oparła się pragnieniu natychmiastowej ucieczki z pijalni. Odwróciła się niechętnie i popatrzyła, kto się do niej odezwał.

- Dzień dobry, Jack - powiedziała spokojnie. - Co pana sprowadza do Bath?

Przez trzy lata, które upłynęły od śmierci Beth, prawie się nie zmienił. Molly opowiadała, że był na granicy obłędu i wyglądał upiornie, ale nic z tego nie było już widać. Jeśli przedtem schudł, to niewątpliwie z powrotem nabrał ciała, choć twarz miał z natury pociągłą. Był taki sam, jakim go pamiętała: ubrany podług najnowszej mody, z lśnjącymi, kręconymi włosami starannie ułożonymi tak, by wyglądały niedbale. Miał dość krzykliwą kamizelę z tureckiego jedwabiu, ale granatowy frak z wyśmienitego materiału stanowił wzór elegancji, podobnie jak beżowe spodnie, które podkreślały linię kształtnych nóg.

Czarne oczy zabłysły mu zuchwale, gdy ujął jej dłonie i przycisnął je do warg.

- A co miałoby sprowadzać? Przyjechałem do wód. - Roześmiał się czarująco. - Odwiedzam przyjaciół mieszkających w okolicy, ale nie mogłem przejść po ulicach tego pięknego miasta i nie wstąpić do pijalni. Czy

pani tu teraz mieszka?

Alison opanowała całkiem irracjonalny atak paniki.

- Tak. Jestem damą do towarzystwa lady Edith Brent. - Wskazała swą chlebobawczynię siedzącą w gronie przyjaciółek.

Jack zmierzył Alison zamyślonym, ponurym spojrzeniem.

- To dla mnie niespodzianka. Sądziłem, że wyszła pani za męża za szanowanego właściciela ziemskiego i ma gromadkę dzieciaków czepiających się spódnicy. Zasluguje pani na lepszy los niż ciągłe spełnianie życzeń jakiejś bogatej staruchy.

- Nie wydaje mi się, żebym chciała z panem rozmawiać o lady Edith - zauważyła Alison dość szorstko. - Powiem panu tylko, że jest dla mnie zarówno chlebobawczynią. Jak i przyjaciółką.

Jack cicho gwizdnął, a jego oczy wyraźnie zabłysły.

- Nie musisz się na mnie złościć, moja miła. Cieszę się, że pani stanęła na własnych nogach. Ciekaw byłem, co się z panią stało po...

- Naprawdę? Naturalnie jestem zaszczycona pańską pamięcią. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę iść. - Odwróciła się, by godnie zakończyć wymianę zdań, Jack położył jej jednak dłoń na ramieniu.

- Przepraszam, Alison. Nie chciałem pani urazić. Przez te lata często i bardzo ciepło o pani myślałem, szczególnie po śmierci Beth. - Po twarzy przemknął mu bolesny grymas, rysy mu złagodniały. - Wiem, że nie byłem dla niej dobrym mężem. Pani i Molly byłyście jedyną radością w jej życiu.

Ten młody człowiek najwyraźniej mówił szczerze, toteż w sercu Alison mignęła iskra współczucia, szybko jednakże zgasła. Być może w swoim czasie Jack był pogrążony w głębokiej żałobie, ale nie ulegało wątpliwości, że już się otrząsnął po stracie.

- Tak, Beth była dobrą przyjaciółką - powiedziała cicho Alison. - Bardzo mi jej brakuje. - Uwolnwszy ramię, raz jeszcze się odwróciła. - Naprawdę muszę iść - rzuciła i odeszła do lady Edith. Starsza pani przerwała rozmowę z przyjaciółkami i popatrzyła w stronę Alison, ale nie na nią, tylko bardziej z boku. Dopiero wtedy Alison zorientowała się, że Jack przez cały czas szedł za nią.

Spojrzała na niego akurat w chwili, gdy z uśmiechem kłaniał się lady Edith. Ta odwzajemniła uśmiech, wędrując przenikliwym wzrokiem między nim a Alison, której nie pozostało nic innego jak dokonać prezentacji.

- John Crawford? - Lady Edith posmakowała brzmienia tego nazwiska. - Coś mi świta. Czy kiedyś się spotkaliśmy?

Jack parsknął chłopięcym śmiechem.

- Nie, milady, niestety nie. Na pewno bym pamiętał. - Przymrużył oczy, wyrażając tym młodzieńczy podziw. Lady Edith cierpliwie się uśmiechała. - Alison i ja - podjął Jack - znamy się z dawnych czasów, bardzo się więc cieszę, że mam okazję odnowić tę znajomość. Żywię nadzieję, że jeśli zjawię się w twoich progach, pani, by złożyć jej wizytę, to nie odprawisz mnie z kwitkiem.

Lady Edith zerknęła na Alison, a zauważywszy jej zaciśnięte wargi, odparła:

- Będzie nam obu bardzo miło, chociaż muszę cię ostrzec, młody człowieku, że często nas nie ma w domu.

Jack odpowiedział równie dworskimi wyrazami sympatii, skłonił się i oddalił. Dopiero dużo później, gdy lady Edith i Alison wróciły już do domu i zdejmowały czepki, starsza pani nawiązała do tego spotkania.

- Jak się nazywał ten młody człowiek? - spytała gderliwie i pochyliła się, by powitać Honey, która skakała jak piłka, domagając się należnych jej względów.

- John Crawford. Wszyscy mówią na niego Jack... - Alison wzięła głęboki oddech. - A jego nazwisko wydaje ci się, pani, znajome bo był mężem mojej przyjaciółki Beth.

Nagle usiadła; lady Edith podeszła do niej.

- Och, moja kochana, to straszne, że ten łotr się tutaj pokazał. Żeby taki bezczelny typ prosił o pozwolenie na odwiedziny u ciebie, dobre sobie! Jeśli ośmieli się tutaj przyjść, będę wiedziała, co z nim zrobić. - Nienawistnie spojrzała ku drzwiom wejściowym, jakby spodziewała się tam zastać Jacka Crawforda, który z mieczem w dłoni i taranem na podorędziu szykuje się do natarcia.

- Nie jestem pewna, czy powinnam odmówić przyjęcia jego wizyty, bo na pewno zostałyby to zauważone - powiedziała Alison. - Kiedy przyjdzie, spotkam się z nim w cztery oczy i jasno dam mu do zrozumienia, że nie zamierzam odnawiać tej znajomości.

Lady Edith z wahaniem wzruszyła ramionami, ale nie wróciła już do tego tematu. Toteż gdy pan Crawford istotnie zjawił się na Royal Crescent następnego dnia, nieco wcześniej niż wypadało, zastał w salonie oczekującą go pannę Fox.

Zaproponowała mu sherry, o które poprosił, i herbatniki, za które podziękował.

- Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co pani robiła od wyjazdu z Ridstowe - zaproponował pogodnie.

- Ma pan na myśli drugi wyjazd? - spytała cicho. Na policzkach Jacka ukazały się czerwone plamy. Wstał i obszedł pokój, po czym usiadł na krześle obok sofki, którą wybrała dla siebie Alison.

- Alison, moja miła, widzę, że wciąż chowasz do mnie urazę z powodu tego niefortunnego zdarzenia. Nie mogę zresztą powiedzieć, żebym panią za to winił. Ale szczerze żałuję tego, co zaszło, a najbardziej fatalnego skutku

pani wysiłków, żeby pomóc Beth i mnie.

- Moje wysiłki miały pomóc wyłącznie Beth - stwierdziła Decydowanie Alison.

- Naturalnie - przyznał cicho. - Czy wobec tego przez wzgląd na pamięć o Beth możemy odnowić naszą przyjaźń?

- Obawiam się, że nazwanie naszej dawnej znajomości przyjaźnią jest sporą przesadą. Tak czy owak nie życzę sobie jej odnawiać. Nie ma pan pojęcia, jakiego zamętu w życiu narobił mi ten wyjazd do Londynu ani jaką tragedią skończył się dla innych.

- Rozumiem, że mówi pani o rodzinie hrabiego Marchfordu.

Alison wytrzeszczyła oczy. Nigdy nie wyjawiała Beth, jak katastrofalne skutki miał ten krótki występ w londyńskich domach gry.

- Skąd pan o tym wie?

- Wkrótce po śmierci Beth byłem u Molly w Londynie i ona mi o wszystkim powiedziała. Bardzo mi przykro - powtórzył.

- Wierzę, ale nie powinien pan chyba mieć trudności ze zrozumieniem, że nie chcę go widywać. - Poczula niemile ssanie w dołku, dłonie z całej siły spłotła na kolanach, żeby nie zdradziły, jaka jest roztrzęsiona.

Jack wstał z niewielkiego, połączanego krzesła i bez pośpiechu stanął obok niej.

- Jak sobie pani życzy, Alison. Nie chcę sprawiać pani bólu. Mam jednak nadzieję, że jeszcze się w Bath spotkamy i wtedy spróbuję panią przekonać do zmiany zdania. - Smutny uśmiech, który miał na twarzy, znikł. - Nie jestem złym człowiekiem i potrzebuję... bardzo potrzebuję przyjaznej duszy.

Alison znów przeżyła chwilę współczucia dla Jacka, nie zdradziła się z tym jednak, tylko wstała i podeszła do drzwi. Pochyliła głowę, naśladując królewski gest, który lady Edith często stosowała z dobrym skutkiem. Jej nadzieje się spełniły, Jack skłonił się bowiem i wyszedł z salonu. Przemierzył sien i zbliżał się właśnie do drzwi wyjściowych, gdy otworzyły się przed Marchfordem i Meg, którzy znów wybrali się we dwoje, tym razem obejrzeć obiecującego wierzchowca, nad którego kupnem hrabia się zastanawiał.

Ku rozpaczy Alison Jack natychmiast poznał hrabiego i spojrzał na nią zaskoczony. Meg na widok przystojnego młodego mężczyzny goszczącego u ciotki wstydliwie się uśmiechnęła. Zaciskając pięści, Alison przedstawiła Jacka Marchfordowi i jego siostrze, która natychmiast zaprosiła go z powrotem na herbatę.

Marchford zachował się wobec Jacka uprzejmie, ale gdy spoglądał na Alison, widać było, że snuje różne domysły. Crawford z uśmiechem nazwał się starym przyjacielem panny Fox. Czy jest starym przyjacielem, czy dawnym kochankiem? Ta myśl przyprawiła hrabiego o dziwny niesmak. Widział napięcie Alison i próbował odgadnąć, czy Jack przyszedł na jej zaproszenie. A jeśli tak, to po co?

Alison prowadziła wszystkich do salonu, a bezładne szczebiotanie Meg wypełniało cały hali. Boże, następna katastrofa gotowa, pomyślał ponuro Marchford. Trzeba trzymać tego Jacka Crawforda w przyzwoitej odległości od pań, bo to wyraźnie kawał drania.

- Dom mam w Londynie - nonszalancko oświadczył Jack w odpowiedzi na pytanie Meg. - Ale moi przyjaciele mieszkają na stałe w Bath.

- Ojej! - wykrzyknęła Meg, szybko siadając obok gościa na obitej brokatem sofce. - Kto to jest? Może ich znamy.

Jack odpowiedział po ledwie zauważalnym wahaniu.

- Wątpię, lady Margaret. Kapitan Morganton i jego żona. Rzadko włączają się do życia towarzyskiego Bath. Ostatnio Giles sprzedał wszystko, co miał, bo woli spokojnie mieszkać w wynajętych pokojach w Paragon Buildings.

March zapamiętał sobie wymienione nazwisko. Zdawało mu się, że po przyjeździe do Bath już coś słyszał o Gilesie Morgantonie, ale nie mógł skojarzyć, w jakich okolicznościach.

- A jak to się stało, że zna pan Alison? - dociekała Meg.

Jack znowu się zawahał. March pochwycił jego dyskretne Wejrzenie, skierowane ku Alison.

- Alison bardzo przyjaźniła się z moją żoną, która zmarła przed kilkoma laty.

Meg grzecznie wyraziła współczucie, natomiast March obrócił się, by sprawdzić, jak reaguje Alison. Wydała mu się napięta niczym struna skrzypiec. Oczy miała szeroko rozwarte, wyczierała z nich rozpacz. No, no, ta kobieta wyraźnie boi się Jacka Crawforda! March siłą się powstrzymał, żeby nie usiąść między nią a źródłem jej niepokoju. Boże, skarcił się w myśli, nie bądź śmieszny! Czemu, u diabła, miałbyś ją chronić?

Alison mogła się zdobyć jedynie na to, by nie uciec z salonu z głośnym krzykiem. Miała przygniatające poczucie wiszącej nad nią katastrofy, gorzko więc żałowała, że lady Edith poszła na górę uciąć sobie drzemkę. Potrzebowała wsparcia. Czuła wzrok Marcha i bezwolnie poddawała się trudnemu do wytłumaczenia wrażeniu, że hrabia domyśla się, jakie ciemne sprawy łączą ją z Jackiem. Minęła wieczność, nim Jack wreszcie wstał i grzecznie skłaniając głowę oznajmił, że musi już iść.

- Moja gospodyni zapowiedziała - wyjaśnił ze śmiechem - że jeśli jeszcze raz się spóźnię, to za karę nie da mi kolacji.

- Ojej, panie Crawford! - wykrzyknęła Meg. - Kiedy znów nas pan odwiedzi? Na pewno macie sobie z Alison wiele do opowiedzenia, a przecież nie mieliście czasu zamienić nawet dwóch słów na osobności. Już wiem! -

Odwróciła się do Alison. - Musimy zaprosić pana Crawforda jutro na kolację. Ciocia właśnie się zaliła, że czeka ją nudny wieczór, bo nie mamy dokąd pójść.

Raz jeszcze Jack popatrzył na Alison, zanim odpowiedział. Otworzyła usta, chcąc jakoś odeprzeć zagrożenie, ale ku jej przerażeniu do rozmowy włączył się hrabia.

- To świetny pomysł, szanowny panie. Zapraszamy. - Powiedział to całkiem beznamyślnie, Alison przysięgłaby jednak, że usłyszała w jego głosie nutę zaprawionej okrucieństwem przyjemności.

- Jak mógłbym odmówić? - ucieszył się Jack. - Wobec tego do zobaczenia jutro. Proszę przekazać moje najszczerze pozdrowienia lady Edith. - Wykonawszy zawijas kapeluszem, skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Alison oparła się o zamknięte drzwi, mając wrażenie, że cała jej siła spływa do ziemi. Podniósłszy głowę, pochwyciła ironiczne spojrzenie hrabiego. Przeklęła w myśli rumieńce, które natychmiast pojawiły jej się na policzkach.

- Panno Fox - powiedział przyjaźnie hrabia, prowadząc ją z powrotem do salonu - proszę nam opowiedzieć coś więcej o swoim przyjacielu. Wydaje się bardzo interesującym człowiekiem.

10

Alison - powiedziała lady Edith, idąc rankiem po Royal Crescent kilka dni później. - Nie obraż się, kochaneńka, ale wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Czy jesteś chora? Dobrze spałaś? A może to ten Jack Crawford załazł ci za skórę? Narzuca ci się?

Alison uśmiechnęła się do starszej pani.

- Dziękuję za tyle troski, milady. Nie jestem chora, lecz rzeczywiście nie spałam dobrze. I jeszcze raz „nie”. Jack nie robi niczego niestosownego lub niewybaczalnego. Po prostu mam złe przeczucia w związku z tym, że kręci się koło hrabiego Marchfordu.

Lady Edith westchnęła z irytacją.

- Widzisz, do czego doprowadziłaś? Boisz się cieni. Jesteś nieprawdopodobnie niemądra, Alison. March zdążył cię już przez tydzień poznać i widzi, jaka jesteś. Wie, że z ciebie dobra i uczciwa dziewczyna. Przestał mi bez przerwy trąbić, że mnie chcesz naciągnąć, i nawet wydaje się zadowolony, że ze mną mieszkasz. Jeśli wytłumaczysz mu, jak było z Susannah, nie będzie miał o to do ciebie pretensji.

Alison powiedziała powoli:

- Gdyby okoliczności były inne i nie spowodowały śmierci dwóch, a właściwie trzech członków jego rodziny, przyznałabym ci rację, pani. Poznawszy lorda Marchforda, stwierdzam, że jest bardzo rozsądnym człowiekiem, niestety z jednym, jedynym wyjątkiem. Sama pani słyszała, jak przysięga zemstę. Jeśli odkryje, że jestem kobietą, której szuka, jego dobra opinia o mnie zniknie jak dobre chęci pijaka. On mnie znieawidzi.

Doszły tymczasem do domu. Lady Edith przystanąła u podnóża schodków i spojrzała Alison w oczy.

- A co on ci niby robi, dziecko? Każe cię spalić na stosie?

Alison zamknęła oczy. Natychmiast naszła ją wizja roześmianych i pełnych czułości piwnych oczu Marcha. Po chwili obraz się zmienił. Teraz widziała lwie oczy, z których biły gniew i pogarda. Przeszył ją dreszcz, uświadomiła sobie bowiem, że sama ta nienawiść będzie dla niej najstraszliwszą karą. Nie mogła jednak tego powiedzieć. Otworzyła oczy i zatrzymała wzrok na drzewach w parku.

- Nie wiem, milady, ale twój bratanek... Czuję, że umie być bezlitosny wobec ludzi, których uważa za wrogów.

Lady Edith ponownie westchnęła.

- Masz rację. Naturalnie nigdy nie widziałam go od tej strony, ale słyszałam, że gdy mu nadepnąć na odcisk, jest bardzo niebezpieczny. Nadal jednak sądzę, że popełniasz grubą błąd, nie chcąc mu wszystkiego wyjawić. On musi zrozumieć, że Susannah sama sobie była winna, sama się zniszczyła, chociaż moim skromnym zdaniem jej mąż również miał w tym duży udział.

Alison zerknęła pytająco na chlebodawczynię, ale lady Edith już szła po schodkach. Znalazłszy się za progiem, wskazała drogę na piętro i oświadczyła, że przed lunchem trochę odpocznie.

Osamotniona Alison stała przez chwilę w sieni, wlepiając wzrok w punkt przed sobą, wreszcie jednak ruszyła w stronę nasłonecznionego składziku na tyłach domu, gdzie trzymała różne rzeczy do naprawy. Nie zdążyła jednak wyjść z hallu, gdy drzwi ponownie się otworzyły i wszedł lord Marchford. Niemile zaskoczona Alison chciała uciec licząc, że hrabia nie zauważył jej w głębi pomieszczenia, ale on natychmiast po zamknięciu drzwi zwrócił się ku niej. Na jego twarzy gościł uśmiech łagodzący surowość rysów.

Prawie natychmiast jednak uśmiech ustąpił miejsca minie chłodnego obserwatora. Alison poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Dzień dobry, milordzie - odezwała się, postępując krok w jego stronę. - Nie spodziewaliśmy się dzisiaj twoich odwiedzin.

- Tak sądziłem. Ale o ile wiem, Meg poszła gdzieś z przyjaciółmi, a ciocia Edith w najbliższym czasie jeszcze nie idzie do pijalni.

- To prawda - odrzekła zaintrygowana i nie wiadomo czemu bardzo spłoszona. - Lady Edith odpoczywa u siebie na górze.

Odrobinę zmodulowała zakończenie tego zdania, żeby dać hrabiemu do zrozumienia, że nie ma powodu przedłużać tej wizyty, sygnał trafił jednak w próżnię.

- W takim razie - oświadczył przyjaźnie - może skorzystamy z okazji do spokojnej rozmowy. Chcę cię lepiej poznać, pani, a moment wydaje się idealny. Meg nazwałaby to miłą pogwarką.

A to ci miła pogwarką! Alison roześmiała się w głos, gdyby nie to, że propozycja hrabiego śmiertelnie ją przeraziła. Gorączkowo szukała w myślach pretekstu, który pozwoliłby jej zniknąć, dobiło ją jednak nadejście Mastersa sprawdzającego, kto ośmielił się wejść do domu bez jego wiedzy. Zobaczywszy lorda Marchforda, szybko odebrał od niego kapelusz i laseczkę i z pełnym wyrzutem spojrzeniem spytał Alison, czy podać herbatę.

Alison zdobyła się jedynie na skinienie głowy, po czym z wątłym uśmiechem zaprowadziła gościa do salonu. Serce biło jej jak młotem. Wskazała hrabiemu sofkę obitą aksamitem w kolorze słomy, sama zaś usiadła na krześle obok. Splotła dłonie na podołku i w oczekiwaniu na początek miłej pogwarki usiłowała przybrać pozę chłodu i opanowania. Ponieważ jednak hrabia milczał, niezmiennie przypatrując się jej z wciąż tą samą miną chłodnego obserwatora, Alison bezwiednie przyłożyła dłoń do gardła.

- Co... co chcesz o mnie wiedzieć, milordzie?

- Przede wszystkim... - zawahał się - należą ci się ode mnie przeprosiny, pani.

Była to ostatnia rzecz, jakiej mogła się spodziewać, nie wątpiła więc, że widać, jak bardzo jest zaskoczona.

- Przy pierwszym spotkaniu powiedziałem ci wiele przykrych słów - ciągnął powoli. - Tymczasem doszedłem do wniosku, że omyliłem się w moim pierwszym sądzie. - Uśmiechnął się nikło i Alison poczuła gdzieś głęboko w sobie dziwne wibrowanie. - Już rozumiem, dlaczego ciotka darzy cię takim uczuciem, i jako głowa naszej małej rodziny chcę powiedzieć, że jestem zadowolony z twego pobytu w tym domu.

Alison wpatrywała się w niego z napięciem. Coś w jego pozie trąciło fałszem, a poza tym wołałaby już doświadczyć jego zemsty, niż wysłuchiwać takich słów.

- Dziękuję, milordzie - wybałała.

- No, to opowiedz mi coś o sobie. Na przykład o Ridstowe. Czy byłeś tam, pani, szczęśliwa?

Alison poczuła ściskanie w gardle.

- Tak, milordzie. To mała wioska, gdzie wszyscy dobrze się znają. Mojego ojca bardzo tam lubiano.

- Jesteś jedynaczką?

- Tak. Matka umarła, gdy byłam jeszcze bardzo mała, dlatego zawsze wiele łączyło mnie z ojcem.

- Mieszkała pani z nim w Ridstowe, póki... O, dziękuję, Masters. - Kamerdyner wszedł z lokajem, niosącym zastawę na tacy, więc przez następne kilka minut trwało rozstawianie prześlicznego porcelanowego serwisu lady Edith oraz talerzyków z placuszkami jęczmiennymi, ciastkami i sandwichami z rzeżuchą. Widząc, że wykonanie wyroku, jest odroczone, Alison podała hrabiemu filiżankę herbaty, z zadowoleniem stwierdzając, że jakoś powstrzymała drżenie rąk. Sobie również nałapała herbaty i skinęła głową do Mastersa, który skłonił się i wraz z lokajem opuścił salon.

- Mieszkałam z ojcem aż do jego śmierci cztery lata temu - powiedziała cicho. - Potem musiałam zarobić na swoje utrzymanie, więc znalazłam posadę u lady Strangeways.

- Rozumiem. Musiałaś przeżywać wtedy trudne chwile, pani. - Ton głosu hrabiego był współczujący, Alison jednak wiedziała, że za tymi pytaniami kryje się coś więcej niż tylko zwykła troska. - Jak znalazłaś się u lady Strangeways?

Alison wzięła głęboki oddech. Pytania lorda Marchforda krążyły niepokojąco blisko jej słabego punktu.

- Przez wuja, sir Henry'ego Matchinghama. Wuj znał lady Strangeways od kilku lat i wiedział, że potrzebuje damy do towarzystwa. - Wykręciła dłonie i pośpiesznie dodała: - Mogłam zamieszkać u wujostwa, ale wybrałam samodzielne utrzymanie.

Było to bardzo dalekie od prawdy. Zaproszenie wuja odrzuciła, chciała bowiem uciec jak najdalej od cywilizowanego świata, do samotni lady Strangeways.

- Jesteś bardzo niezwykłą kobietą, panno Fox. Wybrałaś własną drogę życia, mimo że masz kochających krewnych. A może po prostu trudno było ci się z nimi zgodzić?

- Och, nie! Bardzo się lubimy. To są wspaniali ludzie, nadal z nimi koresponduję i od czasu do czasu jeżdżę do nich w odwiedziny.

- Ach, tak. Chyba sobie przypominam. Kiedy poprzednio składałem ciotce wizytę, pani nieobecność wytłumaczono mi właśnie w ten sposób. - W jego głosie słychać było wyłącznie uprzejme zainteresowanie, mimo to na czole Alison zaczęły się zbierać kropelki potu.

- Zastanawiam się, gdzie jest Meg - powiedziała zniechęta, za wszelką cenę usiłując odwrócić uwagę hrabiego od drażliwego tematu. - Spóźni się na lunch, jeśli wkrótce nie wróci. Czy i ty zjesz z nami lunch, milordzie? Lady Edith bardzo się ucieszy z twojej obecności. Może pójde na górę sprawdzić, czy zbudziła się z drzemki.

W panice próbowała wstać z krzesła, ale hrabia ją przytrzymał.

- Rozmawiamy dopiero kwadrans. Do lunchu została jeszcze prawie godzina. Mam nadzieję, że moje pytania nie budzą twój sprzeciw, panno Fox. Jesteś... - zawahał się - ...niezwykłą kobietą, dlatego interesuje mnie, w jaki sposób znalazłaś się w obecnej sytuacji.

Alison spłonęła rumieńcem, słysząc ciepłe brzmienie jego głosu. Poczuli się jeszcze gorszą oszustką, jeśli to było w ogóle możliwe. Zaśmiała się nerwowo.

- Dziękuję, milordzie, ale jestem całkiem przeciętna. Gdybyś porozmawiał z damami do towarzystwa, które mieszkają w Bath, usłyszałybyś taką historię ze sto razy.

- To możliwe - przyznał, lecz jednocześnie niedowierzająco się uśmiechnął. Alison nie mogła już znieść jego przenikliwego spojrzenia, które w promieniach porannego słońca, wpadających do salonu przez wysokie okna, przywodziło jej na myśl lwa w wyjątkowo łaskawym humorze. Przy następnych słowach Marchforda kurczowo zacisnęła palce na uszku filiżanki, tak że rozlała kilka kropli herbaty na talerzyk.

- Beth? - powtórzyła. - Co Beth?

- Zastanawiałem się, czy to była twoja przyjaciółka jeszcze z Ridstowe. Czy tam poznała pana Crawforda?

- Nie, milordzie. - Serce biło jej szaleńczo, podchodziło do gardła. - Beth poznałam w szkole. A ona poznała Jacka podczas sezonu, gdy byliśmy w Londynie.

- Byłyście?

Alison przekleła swój długi język.

- Tak. Mając siedemnaście lat pojechałam na sezon do Londynu. Mieszkałam w domu Beth. - Hrabia pytająco uniósł brwi. - Moja matka zostawiła trochę pieniędzy na ten cel - dodała niechętnie.

Hrabia przez chwilę trawił tę informację.

- Czy i ty dobrze poznałaś pana Crawforda, panno Fox?

- Nie! - wykrzyknęła i nerwowo poruszyła się na krześle. - Jack Crawford często bywał w domu Beth, więc go widywałam, ale nie była to głębsza znajomość. Po jego ślubie z Beth już go nie widziałam, dopiero tu, w Bath.

Hrabia się uśmiechnął.

- Mówisz o nim tak, jakby był huncwotem.

- Ależ nie, nic takiego nie miałam na myśli. Naturalnie cieszę się z odnowienia tej znajomości. Przez wzgląd na pamięć Beth.

W tej chwili na dole rozległy się głosy. Alison zerwała się z krzesła, omal nie wydając głośniego westchnienia ulgi.

- Meg wróciła! - wykrzyknęła, jakby siostra hrabiego pojawiła się w domu po rocznym pobycie w afrykańskiej dżungli.

Skoczyła do drzwi i na złamanie karku popędziła po schodach na dół. March ruszył za nią miarowym krokiem. Uśmieszek, który igrał mu na wargach, nie był przyjemny. Zgodnie z jego oczekiwaniami, pytania trafiły w czuły punkt. Nawet w kilka czułych punktów, jeśli się nie mylił. Przez ostatnie minuty panna Fox wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła eksplodować. I przez cały czas ani razu na niego nie spojrzała. Właściwie to dobrze, że nie spojrzała, pomyślał, wspominając swą żalną słabość do tych niebieskich oczu. Na schodach przystanął, by przyjrzeć się, jak Alison wita Meg i z cichym śmiechem wysłuchuje jej entuzjastycznej relacji z wydarzeń przedpołudnia. Tymczasem Honey na próżno domagała się odrobiny uwagi, tańcząc wokół ich nóg.

Alison Fox niezaprzeczalnie jest uroczą kobietą, przemknęło mu przez myśl. Z zadowoleniem odnotował u siebie rezerwę wobec tego stwierdzenia, niestety znikła ona w chwilę później, gdy Alison, która pomagała Meg zdjąć peliszkę i czepek, odwróciła się do służącej, żeby podać jej okrycie. Kobięce kształty jej giętkiego ciała, okrytego szarą muślinową suknią, były czarujące. Wydawało mu się nie do pomyślenia, żeby krwiożercza harpia miała taki ciepły uśmiech i okazywała ludziom tyle, przysięgłby że szczerą, życzliwość.

Nieemożliwe jednak, by domysły go zwiodły. Części układanki za dobrze do siebie pasowały. Przywołał z pamięci wszystko, czego dowiedział się z ich krótkiej rozmowy: Alison chodziła do szkoły razem z córką kogoś z towarzystwa. Założyłby się o znaczną sumę, że w tej samej szkole poznała również przyszlą wicehrabinę Callander. Zastanawiało go, czy jest związek między Beth i niecną działalnością Alison w Londynie, tak jak niewątpliwie istniał związek z Molly.

I co z Jackiem Crawfordem? Niefortunnie się złożyło, że nadejście Meg dało Alison pretekst do zakończenia rozmowy akurat w chwili, gdy podjęli ten temat. Nagły przyjazd Crawforda do Bath wydawał się zbyt podejrzany, by mógł być dziełem przypadku. Co więcej, drobiazgowy wywiad przekonał Marcha, że gospodarz Crawforda, Giles Morganton, ma w Bath bardzo złą reputację, jest bowiem znany jako kapitan Sharp, powiązany z londyńskim półświatkiem. Czy to możliwe, żeby Alison naprawdę nie знаła dobrze Jacka Crawforda? Strach, który pojawił się w jej oczach na wzmiankę o Crawfordzie, świadczyłby przeciwko temu. Nie, stanowczo coś między nimi było, może nawet jeszcze to trwa. March ze zdziwieniem uświadomił sobie, że ta myśl wzbudziła w nim złość.

Alison zmienacka spojrzała ku schodom, a pochwywszy Jego rozgorączkowane spojrzenie, spłonęła rumieńcem i natychmiast zaczęła coś mówić do jego siostry. Meg z wawo się odwróciła.

- March! - wykrzyknęła z zachwytem. - Nie wiedziałam, że Zmierzasz nas dziś odwiedzić. Akurat zdążyłeś na lunch. - Ponownie zwróciła się do Alison. - Czy ciocia już wstała z drzemki?

- Tak - odrzekł głos z góry i lady Edith stanęła na schodach. - Myślicie, że można spać w takim rozgardiaszu? - Powiedziała to z uśmiechem, więc nie odnieśli wrażenia, że chce kogoś skarcić.

Przez dłuższą chwilę trwały powitania, wreszcie wszyscy wycofali się do biblioteki w oczekiwaniu na wezwanie

do jadalni.

- Jak tam było dziś rano u Rosamund Pinchot? - dopytywała się lady Edith. - Czy jej matka wyzdrowiała już z influency?

- O, tak. Doskonale się miewa - odrzekła Meg. - Nawet wzięła nas po zakupy. Czy wiesz, ciociu, że na Bath Street jest nowy płóciennik? Pani Pinchot kupiła u niego dwie długości przeslicznej, delikatnej gazy.

- Ho, ho - przerwała jej lady Edith. - To już, zdaje się, trzeci próbuje szczęścia, odkąd zamknęli Smitha. - Zwróciła się do Alison. - Wtedy jeszcze cię tutaj nie było, kochaneńka, ale kilka lat temu mieliśmy tu bardzo niecodzienne wydarzenia. Chodziło o niejaką panią Leigh Perrot. Nie znam jej osobiście, ale z tego, co słyszałam, jest to osoba nieposzlakowanego charakteru, podobnie jak jej mąż. Subiekt od Smitha oskarżył ją o kradzież kawałka białej koronki. Rzecz zasadzała się na przykrym nieporozumieniu, ale biedna kobieta trafiła do więzienia w Ilchester i wytoczono jej proces. Naturalnie uniewinniono ją, ale co ona przeszła! W całym mieście szumiało o tej sprawie tygodniami, a sprawozdanie z procesu opublikowano i sprzedawano w tutejszych księgarniach.

- A tak! - zawołała Meg. - Słyszałam o tym. Czy pani Perrot nie jest przypadkiem ciotką panny Austen, tej autorki?

- Tak mi się zdaje - odrzekła lady Edith. - Perrotowie wrócili do Bath i dalej tu mieszkają, co jest zadziwiające. Sądziłabym raczej, że powinni mieć dość tego miasta raz na zawsze.

- Mhm - mruknęła Alison. - To straszne być niewinnie oskarżonym o niecny postępek.

March gwałtownie odetchnął i obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. Niemożliwe, żeby ta uwaga była skierowana do niego. Przecież panna Fox nie wie, że ją zdemaskował. Jej nieszczęśliwa mina bardzo go jednak poruszyła. Wbrew sobie miał ochotę wyciągnąć rękę i zetrzeć z jej twarzy ten grymas. Wzdrygnął się z irytacją i znów skupił na rozmowie. Meg tymczasem zdążyła zmienić temat.

- W każdym razie - mówiła - gdy pani Pinchot kupiła tę gazę, Rosamund i ja znalazłyśmy przepiękny biały jedwab, przetykany srebrem. Och, ciociu, jaka z tego byłaby cudna balowa suknia. I tak będę potrzebować w Londynie paru sukien, więc czy nie sądzisz, że byłoby rozsądnie kupić ten jedwab teraz? Jest tylko po gwinei za sztukę. To na pewno mniej, niż kosztowałby w stolicy.

Lady Edith wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś bardzo przekonująca, panienko. Zgoda, ale musisz wziąć z sobą po zakupy Alison. Ona ma wyśmienity gust.

Meg aż podskoczyła z zachwytu.

- Naturalnie. Och, Alison, przypomniało mi się, że na Milsom Street spotkałyśmy pana Crawforda. Pytał o ciebie. Powiedziałam mu, że dziś po lunchu pewnie będziesz towarzyszyć cioci w pijalni.

- O Boże - cicho jęknęła Alison.

- On jest bardzo sympatyczny - ciągnęła Meg, wyraźnie zainteresowana panem Crawfordem.

- Mhm - mruknęła zniechęcająco Alison. - Nie znam go zbyt dobrze, Meg, ale tak, chyba jest... sympatyczny.

- Przecież on mówi, że jesteście starymi przyjaciółmi! - wykrzyknęła zdziwiona Meg.

- Raczej starymi znajomymi, moja miła.

- Ale z jego żoną...

- Tak - powiedziała Alison z nutą desperacji w głosie. Czemu nagle wszyscy tak dogłębnie interesują się jej dawnymi znajomościami. - Z Beth bardzo się przyjaźniłam, ale Jego znam słabo.

- Jest bardzo przystojny, nie sądzisz? - Alison całkiem się załamała widząc w oczach Meg znajomy błysk.

- Istotnie, ma znakomitą prezencję - wtrącił spokojny, autorytatywny głos. - Jest trochę starszy od ciebie, panno Fox, prawda? Musi mieć trzydzieści parę lat.

Jeśli March sądził, że tą uwagą osłabi zainteresowanie Meg, to wywołał wręcz przeciwny skutek, pomyślała kwaśno Alison. Przypomniała sobie zadurzenie Meg w trzydziestoletnim panu od rysunku. Wiek Jacka musiał być w jej oczach dodatkowym atutem.

Należało jednak przyznać Jackowi, że nie stara się wzbudzić podziwu Meg. Podczas kolacji przed kilkoma dniami traktował ją jak dobry wujek. Owszem, obdarzył ją kilkoma ekstrawaganckimi komplementami i przepowiedział, że będzie ozdobą następnego sezonu w Londynie, ale nie była to próba flirtu. W gruncie rzeczy przez cały wieczór zachowywał się bez zarzutu. Hrabiego traktował z szacunkiem, choć bez poddańczej czolobitności, a lady Edith czarował i zabawiał żartami. Alison przypominała sobie też, że do niej odnosił się przyjaźnie, lecz nie posuwał się poza granice dobrego wychowania. Czemu więc sama myśl o jego wtargnięciu do domu przy Royal Crescent budziła w niej panikę?

Podano lunch. Po posiłku Marchford poszedł spotkać się z przyjacielem z Londynu. Alison pożegnała go z ulgą, a potem udała się do pijalni w towarzystwie lady Edith i Meg. Starła się tam włączyć do konwersacji, ale mimo iż uprzejmie odpowiadała, uśmiechała się i sama coś tam plotła, czerpiąc z zasobów swego obycia towarzyskiego, myślami wciąż była przy przedpołudniowej rozmowie z Marchfordem.

Nie mogła pozbyć się przykrego uczucia, że jego nagła dobroduszość była nieszczerą, a pytania świadczyły nie tylko o przelotnym zainteresowaniu jej przeszłością. Czyżby hrabia coś podejrzewał? Czyżby od czasu ich pierwszego spotkania zrobiła albo powiedziała coś, co naprowadziło go na ślad prawdy, którą chciała ukryć? Niby

przeprósł ją za potraktowanie jej jak oszustki, lecz w jego zachowaniu było coś niepokojącego. Na pewno nie mogła dopuścić do ich następnego sam na sam ani do rozmów na niebezpieczne tematy. Boże, czemu Jack Crawford akurat teraz musiał przyjechać do Bath?

Zmarszczyła czoło. Czy to możliwe, żeby jego przyjazd nie był przypadkowy? Nieprawdopodobne. Nie miała o nim żadnych wiadomości od czasu, gdy wypełniła swoje zobowiązanie wobec Beth. Nawet kiedy po śmierci Beth wysłała liścik kondolencyjny, Jack nie odpowiedział. Czemu więc po tylu latach miałby nagle jej szukać?

Tak intensywnie się nad tym zadumała, że gdy tuż obok usłyszała swoje imię, drgnęła gwałtownie. Obróciwszy się stwierdziła, że stoi przed nią Jack Crawford, zupełnie jakby jej koszmarny sen właśnie się zmaterializował.

11

Niech się pani nie boi, Alison! Nie zamierzałem pani przestraszyć. - Na twarzy Jacka Crawforda malowała się szczerza troska. Wziął Alison za rękę i odwiódł na bok od grupki znajomych, z którą gawędziła.

Alison była pewna, że zbladła jak ściana.

- Nie, nie. Nie przestraszył mnie pan - odparła z dużym zakłopotaniem. - Po prostu nie sądziłam, że stoi pan za moimi plecami.

- Przepraszam. Tu jest tak potworny tłok, że musiałem prawie się na panią rzucić, żeby zwrócić na siebie uwagę. Czy mogę pani towarzyszyć w przechadzce po pijalni?

Alison jakoś opanowała dreszcz niepokoju.

- Tak, naturalnie. Bardzo mi będzie miło. Meg wspominała mi, że wczoraj spotkała pana w mieście - powiedziała, przyjmując jego ramię.

Nie odpowiedział, więc spojrzała na niego z zaciekawioną i stwierdziła, że ma wzrok wbity w ziemię i usilnie o czymś myśli. Wyczuła u niego napięcie, które natychmiast jej się udzieliło. W końcu Jack podniósł głowę i zaśmiał się smutno.

- Przepraszam. Ostatnio mam dużo kłopotów. - Zatrzymał się nagle i odwrócił do niej. - Alison, muszę z panią pomówić.

Z trudem zdobyła się na uśmiech.

- Niech pan mówi, Jack. Jestem do pańskiej dyspozycji, naturalnie dopóki lady Edith nie będzie mnie potrzebować.

- Nie, nie tutaj. Muszę porozmawiać z panią na osobności.

Alison zdrętwiała.

- Nie rozumiem, Jack, o czym mógłby pan chcieć ze mną rozmawiać sam na sam. Zresztą nie widzę na to szansy. Nie mogę nie wpuścić lady Edith do jej własnego salonu.

- To się rozumie. Ale czy nigdy nie ma pani wolnej chwili? Lady Edith nie daje pani wychodnego?

- Obawiam się...

- Proszę - przerwał jej Jack, ściskając ją za ramię. - Jutro rano w Sydney Gardens. Jeśli umówimy się odpowiednio wcześniej, na pewno zdąży pani wrócić, zanim będzie pani potrzebna. Lady Edith nawet się nie dowie, że pani wychodziła.

- Nie mam zwyczaju oszukiwać lady Edith - odparła ostro.

Jack nagle się odprężył i uśmiechnął do niej przymilnie.

- Naturalnie. Stała się pani takim wzorem przyzwoitości, że za nic nie chciałbym jej skompromitować przed chlebodawczynią. - Ostatnie słowo wymówił z naciskiem, jakby chciał podkreślić stosunek łączący ją z lady Edith.

- Poza tym z pewnością nie życzy sobie pani, żeby ktoś usłyszał, co mam do powiedzenia.

Nie sprawiało to wrażenia pogrożki, a mimo to Alison Poczwała w sercu lodowaty chłód. Nie mogła odgadnąć, czego Jack od niej chce.

- No, dobrze - szepnęła niewyraźnie. - Jutro rano o dziewiątej.

Przez resztę dnia Alison machinalnie wypełniała swoje obowiązki w domu lady Edith, ale w duszy miała chaos najgorszych przeczuc. Gorzko żałowała, że zgodziła się spotkać z Jackiem, zdawało się jej jednak, że nie ma wyboru. Jack prawdopodobnie nie zawahałby się wykorzystać jej lęku do osiągnięcia własnych celów i ta świadomość jeszcze bardziej ją niepokoiła. Na szczęście lord Marchford nie przyszedł na kolację, wieczór minął więc w atmosferze swojskiej nudy. Gdy wreszcie Alison wdziała nocną koszulę i położyła się do łóżka, długo leżała nie mogąc zasnąć. Spoglądała w sufit i marzyła, żeby świt nigdy nie nadszedł.

Zamiatacz ulic był następnego ranka jedynym świadkiem wejścia Alison do Sydney Gardens przez bramę od strony Great Poultney Street. Mijając go, pomyślała z obawą, że wchodzi jej w nawyk prześlizgiwanie się tą drogą na sekretne spotkania z mężczyznami, którzy rujnują jej spokój.

Gdy usiadła na tej samej ławce, na której rozmawiała z lordem Marchfordem, tuż nad ziemią przesuwano się pasemko mgły. Myśli Alison szybowały swobodnie, podobnie jak mgła, i wreszcie całkiem wbrew jej woli skupiły się na Marchfordzie. Do diaska z nim! Co go opętało, że jeszcze siedzi w Bath? Dzień, w którym zamierzał wyjechać, dawno już minął, a jedynym wyjaśnieniem, jakiego udzielił, było napomknienie o fascynacji życiem

Bath. Mówiąc to, Marchford zerknął w jej stronę i wtedy Alison wyczytała z jego oczu bardzo niepokojące przesłanie. Ech, dość tego. Lepiej pomyśleć o czym innym.

Jack. Boże, czego on od niej chce? Jedno, jedyne przypuszczenie, które do niej uparcie wracało, przyprawiało ją o dreszcz. Boże, spraw, żeby to nie było to. Żeby nie szukał u niej pieniędzy.

Wzdrygnęła się. Skąd jej przyszedł do głowy taki głupi pomysł? Jack Crawford radzi sobie sam, całkiem dobrze, jeśli sądzić po jego wyglądzie, i nie potrzebuje korzystać z jej umiejętności przy zielonym stoliku. Miała szczerą nadzieję, że razem niczego nie ukradł i nie musi pokrywać strat. Ale o czym wobec tego...?

Chrzęst kroków oderwał ją od tych przykrych rozważań. Zobaczyła Crawforda - z aktorskim uśmiechem zawijał przed nią kapeluszem. Jack uważnie przyjrzał się ławce i dopiero wtedy osiadł obok niej, zbierając poły zakietu.

- Dzień dobry, Alison. Piękną mamy pogodę.

Czyżby jej się zdawało, czy też odnosił się do niej odrobinę mniej grzecznie niż dotąd?

- Bath jest takim cichym miejscem, prawda? - ciągnął. - Szczególnie rano, zanim jeszcze zacznie się ruch.

Przyjrzał się swym swobodnie wyciągniętym nogom i z zadowoleniem potoczył wzrokiem dookoła.

- Do rzeczy, Jack - zażądała Alison. - Czego pan chce?

Popatrzył na nią i od razu zrozumiała, że przeczucie jej nie omyliło. Jego zachowanie graniczyło z zuchwalstwem, podobnie jak kiedyś.

- Nie jesteś zbyt przyjaźnie nastawiona - stwierdził ze smutkiem.

- Nie. I nie uważam pana za przyjaciela.

Westchnął kpiąco. Miły wyraz znikł mu z twarzy jak farba odpryskująca ze źle wygładzonej powierzchni.

- Zapewne się pani domyśla - powiedział - że chcę prosić o przysługę.

Wstała z ławki, jakby ukąsił ją natrętny insekt, ale Jack Przytrzymał ją za ramię. Nie puścił jej nawet wtedy, gdy z powrotem usiadła.

- Proszę panią, Alison. - Wrócił do poprzedniej, przymilnej tonacji. - Chciałbym móc pani powiedzieć, że zmieniłem się na lepsze po jej... wielkim poświęceniu na moją rzecz, to znaczy na rzecz Beth, ale nie mogę. Obawiam się, że jestem po prostu niepoprawnym utracuszem. - Wydał z siebie żalony chichot, szybko jednak zamilkł, speszony chłodną miną Alison. - Faktem jest, że potrzebuję pieniędzy. - Przedzierzgnął się w człowieka interesu. - Nie tak wiele - dodał pośpiesznie. - Pięćset funtów mnie urzęda. Ale potrzebuję tych pieniędzy bardzo szybko.

Przestał udawać dobrodusznego. Grymas, który teraz wykrzywił mu twarz, świadczył raczej o desperacji.

- Bo widzi pani, ostatnio popełniłem poważny błąd. Przegrałem pieniądze do niewłaściwego człowieka. Dopiero gdy byłem mu winien już prawie tysiąc funtów, zorientowałem się, że ma bardzo niemiłe znajomości w Londynie. Część długu jakoś spłaciłem, ale reszty nie mam z czego. A jeśli nie zapłacę do końca tego miesiąca, to prawdopodobnie doborą mi się do skóry.

Ostatnie zdanie próbował powiedzieć lekkim tonem, ale przerażone oczy go zdradziły. Alison omal nie zrobiło się przykro, że nie potrafi w sobie wzbudzić współczucia dla tego człowieka. Zacerpnęła tchu.

- Przykro mi z powodu pana kłopotów, Jack, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Naprawdę? To znaczy, że wyjątkowo wolno pani myśli. - Z wyraźnym wysiłkiem zmienił ton na bardziej ugodowy. - Niech pani mi nie robi dodatkowych kłopotów, Alison. Nie są potrzebne ani mnie, ani pani. Proszę, naturalnie, o pomoc w wyrównaniu moich strat.

- Nie. - To słowo wyrwało jej się całkiem odruchowo. A jednak miała rację. Od początku wiedziała, czego Jack może od niej chcieć. - Nie - powtórzyła spokojniej, lecz już mniej stanowczo.

- Nie może pani odmówić bez namysłu.

- Mogę. Proszę, niech pan traktuje tę decyzję jako ostateczną. Współczuję panu, zresztą prawdę mówiąc nie tak znów bardzo, ale odmawiam...

- Odmawia pani! - Jack zerwał się z ławki i stanął przed nią. Jego ciemne oczy pałały gniewem. - Nie rozumie mnie pani?! Jeśli nie dam Ci... tej osobie czterystu funtów w ciągu rzęch tygodni, będę zrujnowany. A możliwe, że nawet martwy!

Alison zasłoniła dłonią usta.

- Och, Jack! To niemożliwe! Z jakimi ludźmi pan się zadaje, na miłość boską?! Ale jeśli poprosi pan o zwłokę, to na pewno...

Jack usiadł ponownie i ujął dłonie Alison. Głos mu się łamał, starał się jednak zachować, spokoj.

- Nie, ty moje biedactwo, nie mogę poprosić o zwłokę. Już postąpiłem tej łaski i czas mi się skończył. A co do tego, jacy to są ludzie, to zapewniam, że nie angielscy dżentelmeni. Przeciwnie, bandyci i mordercy, którzy bez mrugnięcia okiem mogą człowiekowi poderżnąć gardło.

Trwoga Jacka była niemal namacalna, ale Alison postanowiła być twarda. Jack i tak już zmarnował jej życie, nie mogła jednak pozwolić, by całkiem ją zniszczył. Pomóc mogłaby mu tylko wtedy, gdyby nie musiała znowu grać w karty.

- Czy ma pan w ogóle jakieś pieniądze? - spytała nagle.

- Co? - spojrzał na nią nieprzytomnie, zaraz jednak ochłonął, otarło bowiem do niego znaczenie pytania. - Tylko

kilka funtów. Na życie, na parę dni. Niech pani zrozumie - ciągnął z ożywieniem, wyraźnie błędnie odczytawszy sens jej pytania - nie chodzi tylko o ten dług. Spłukałem się do cna i muszę zdobyć trochę pieniędzy, żeby mieć z czego żyć, póki karta się nie odwróci.

- Karta się nie odwróci? - powtórzyła tępo Alison.

- Właśnie. Potrzebuję trochę gotówki. Tyle, żeby starczyło na dobry początek. W końcu wyjdę na swoje. Zawsze wychodzę.

Boże, pomyślała Alison, ten człowiek w ogóle nad sobą nie Panuje. Nawet nie zdaje sobie sprawy ze swego uzależnienia.

Zacisnęła dłonie na przytrzymujących ją rękach Jacka.

- Proszę posłuchać, Jack. Zdaje mi się, że ma pan jeszcze wyjście. Może pan wyjechać za granicę. Pożyczę panu sto funtów. - Z bólem pomyślała o swych z trudem zaoszczędzonych pieniądzech. - Może pan jechać do Francji albo nawet za ocean i zacząć wszystko od nowa.

- Boże, Alison, nie chcę jechać do Francji, a w Ameryce na pewno spadłbym na samo dno. Zresztą nie ma potrzeby, już pani mówiłem. Jak spłacę długi, będę mógł zacząć od nowa tutaj. Za miesiąc lub dwa zwrócę te pieniądze, z procentem. - Usiadł spokojnie, przekonany, że tym zapewnieniem doprowadzi ją do kapitulacji.

Alison z niesmakiem cofnęła dłonie.

- Przykro mi, Jack, ale nie mogę panu pomóc. - Chciała wstać, lecz przygniótł ją z powrotem do ławki. Spojrzał na nią tak groźnie, że aż się skuliła, żeby znaleźć się jak najdalej od niego.

- Co ty tak zadzierasz nosa? - burknął. - Stałaś na własnych nogach i przewróciło ci się w głowie, co? Ta starucha jest tobą oczarowana, tak samo jak jej bratanek, jaśnie wielmożny pan hrabia. Och tak, naturalnie - mruknął pogardliwie w odpowiedzi na oburzone syknięcie Alison. - Widzę, jak on na ciebie patrzy. Zachciało ci się zostać kochanicą bogatego pana, co?

- Jack! - wykrzyknęła w gniewie. Boże, czyżby to był człowiek, któremu Beth poświęciła swoje życie? Była pewna, że gdyby cztery lata temu poznała go od tej strony, pozwoliłaby mu gnić w więzieniu za kradzież i spróbowałaby inaczej pomóc przyjacielce.

Widząc potępienie w jej oczach, Jack zaczerwił się i niespokojnie poruszył na ławce.

- Przepraszam - wymamrotał. - Nie powinienem był stracić panowania nad sobą. To przez te kłopoty. Po prostu nie wie pani, co to znaczy żyć w ciągłej panice.

- Rozumiem, Jack. Świetnie znam to uczucie, odkąd wygrałam dla pana cztery tysiące funtów, dlatego nie mam zamiaru pograżać się jeszcze bardziej.

Jack westchnął.

- Chyba rozumiem. - Parsknął śmieszkami. - Nie wiem, czemu spodziewałem się, że zareaguje pani inaczej. - Znowu westchnął, wyprostował ramiona i spojrzał na nią zdecydowanie. - Ale jak nie, to przyszedł czas na mojego asa. Naprawdę mi przykro, Alison, lecz muszę tak postąpić. Jeśli nie spełni pani mojej prośby, to powiem Marchfordowi, że jest pani tajemniczą Lissą Reynard, i że to pani spowodowała śmierć jego brata i bratowej, a z tego, co słyszałem, również ojca.

Alison czuła, jak kamienieje. Serce chyba jej stanęło. Ogarnęło i lodowate zimno. Senny koszmar stał się rzeczywistością.

- Przecież to nieprawda - szepnęła zdrtwiałymi wargami.

- Nie oszukiwała pani, pozbawiając Susannah Brent jej pieniędzy na drobne wydatki? - Zachichotał ponuro. - No, może rzeczywiście nie, ale to nie ma znaczenia. Lord Marchford uważa inaczej. Ma pani małą szansę usidlić go jako swojego protektora, jeśli dowie się, kim naprawdę pani jest.

- Boże, Jack. - Było jej duszno. - Nie myśli pan chyba... - Uświadomiła sobie, że nie ma sensu niczemu zaprzeczać. Dla takiego człowieka fakt, że lord Marchford zwrócił uwagę na osobę niższego stanu, mógł oznaczać tylko jedno.

- Poza tym - ciągnął obojętnie Jack - słyszałem, że lord Marchford poprzysiągł Lissie Reynard straszliwą zemstę. Co prawda już się nie stawia nagich kobiet pod pręgierzem, ale nie zdziwiłbym się, gdyby Marchford miał na myśli coś równie nieprzyjemnego. Będzie pani miała szczęście, jeśli skończy się to więzieniem albo banicją.

Alison zachłysłęła się powietrzem. Ogarnęła ją trwoga.

- Przecież nie złamałam prawa! - wykrzyknęła.

Jack parsknął pogardliwie.

- Chyba nie sądzi pani, że to ma znaczenie. Marchford jest bogatym i wpływowym człowiekiem. Jednym pstryknięciem palców może sprawić, że znajdą się odpowiednie zarzuty.

- Nie robi tego - szepnęła, śmiertelnie przerażona.

- Czemu nie? Miał całe życie, żeby przyzwyczaić się do swoich przywilejów. Ludzie tańczą tak, jak on im gra, a kto nie chce, słono za to płaci. Marchford uważa, że wyrządziła mu pani wielką krzywdę, a dla kogoś takiego jak on jest to wystarczający powód do brutalnej zemsty.

Alison przez chwilę siedziała w milczeniu. Marchforda widziała w zgoła innym świetle, ale co do jednego Crawford miał rację. Jeśli hrabiemu nadarzy się okazja, ukarze ją za domniemaną winę, a to istotnie może

oznaczać więzienie albo banicję.

Popatrzyła na czubki palców. Panika ogarniała ją coraz gwałtowniej. Chaotyczne myśli przemykały jej przez głowę jedna za drugą, ale wyjścia dla siebie nie widziała. Chwilowo była w mocy Jacka.

- No, więc dobrze, Jack - szepnęła. - Dam panu te przeklęte pięćset funtów.

Crawford wydał przeciągłe westchnienie.

- Grzeczna z ciebie panna, Alison. Wiedziałem, że zrozumiesz mój punkt widzenia. Jak powiedziałem, mam na zwrot pieniędzy trzy tygodnie i ani dnia więcej. Im wcześniej zapłacę, tym dla mnie lepiej. - Zatarł dłonie z miną człowieka zadowolonego z wykonanej pracy. - Za dzień albo dwa przyjdę na Royal Crescent dowiedzieć się, jak ci idzie.

- Nie! - Alison pomyślała o Meg i błysku w jej oczach, gdy mówiła o Jacku. - Wykluczone! Wprawdzie trudno to panu zrozumieć, ale nie lubię pana i nie życzę sobie mieć z panem do czynienia więcej, niż to konieczne. Kiedy zdobędę pieniądze, to po pana poślę.

Jack gniewnie wykrzywił twarz, ale prawie natychmiast uśmiechnął się z zadowoleniem.

- A jak mnie pani zamierza powstrzymać, moja miła? Lady Edith uważa, że jestem uroczy, a jeśli chodzi o jej słodką bratanicę, to śmiem twierdzić, że przewraca za mną oczami.

Alison gniewnie syknęła. Stała przed nim, zacisnęła dłonie w pięści i powiedziała złowieszczo:

- Jeśli spróbuje pan choć mrugnąć do Meg, to koniec z naszą umową.

Jack uśmiechnął się lekceważąco.

- Spokojnie, moja miła. Nie musi pani się tak jeżyć. Tylko żartowałem.

- Ale ja nie. Niech pan uważa, Jack.

Przestał się uśmiechać, zmrużył oczy.

- Nie wydaje mi się, żeby była pani władna stawiać mi warunki... Liso. - Sprężystym ruchem wstał, uniósł jej dłoń do ust i ucałował palce. - Może pani iść. I proszę pamiętać: im szybciej przyniesie mi pani te pięćset funtów, tym szybciej się pani mnie pozbędzie.

Skinął jej dłonią i odszedł. Z oddali usłyszała jeszcze jego kpiący śmiech. Nogi, które wydawały jej się cudze, wolno niosły ją z powrotem na Royal Crescent.

12

A potem przejechał ksiądz regent Był całkiem nagi i rzucił w tłum złote gwinee.

Minęło kilka sekund, nim Alison w końcu zareagowała na słowa Meg, która spojrzała na nią nad stołem zastawionym do śniadania.

- Wiedziałam, że nie słuchasz! - Z oburzeniem zmarszczyła czoło. - Równie dobrze mogłabym mówić do dzbanka kawy.

- Bardzo cię przepraszam, Meg. - Policzki Alison zaróżowiły się. - Zdaje się, że śnię na jawie.

- Też mi się tak zdaje! Ale dziś chyba naśmiałaś się już dość. Coś cię martwi? - spytała z nagłą troską.

- Słucham? Ach, nie. To znaczy... nie. Powtórz lepiej, co mówiłaś. Obiecuję tym razem uważać.

- Pytałam, w co powinnam się ubrać na wieczorek muzyczny u Kittridge'ów w przyszłym tygodniu. Chcę dobrze wyglądać, bądź co bądź będą tam wszyscy moi najlepsi przyjaciele. - Urwała nagle i spłonęła rumieńcem.

- Rozumiem - powiedziała Alison z błyskiem w oku. - Czy wśród tych przyjaciół nie będzie przypadkiem pana Petera Davenisha?

- Phi. - Meg potrząsnęła głową. - Peter to dzieciak.

Alison poczuła, że serce jej zamiera.

- Może dzieciak, ale ujmujący - powiedziała nieustępliwie. I bardzo przystojny. Zauważyłaś, ile panien się za nim ostatnio ogląda? Jak byłyśmy niedawno w parku, Nancy Farwell wrażenia omal nie wypadła z powozu, gdy się z nim witała.

Meg uniosła delikatne brwi.

- Naprawdę?

Alison wydało się, że słyszy w głosie dziewczyny nutę zainteresowania. Taką przynajmniej miała nadzieję. Energicznie wstała.

- Chodź, zajrzemy do twojej garderoby. Bo wiesz, w tym białym muślinie...

- Mam same białe muśliny - mruknęła Meg buntowniczo.

- ...Z brzoskwińową narzutką - ciągnęła niezłomnie Alison - będziesz wyglądała prześlicznie, a do tego bardzo elegancko. Tym bardziej że jeszcze ozdobimy tę suknię złotymi wstążkami i wpleciemy ci złote wstążki we włosy.

Tymczasem weszły do sypialni, więc Meg natychmiast podbiegła do garderoby. Wyjęła suknię, o której rozmawiały, i z zamyślnym wyrazem twarzy rozłożyła ją na łóżku.

- Wiesz, może i masz rację... - mruknęła. Otworzyła szufladę i po chwili przekopywania zawartości wydobyła z triumfem kiść białych kwiatów o delikatnym brzoskwińowym odcieniu. - To też wplotłabym we włosy. Och, Alison, a co sądzisz o tym, żeby dodać do ozdób moją złotą spinę? Tę, którą March dał mi w zeszłym roku na urodziny.

- Doskonały pomysł. - Alison podeszła do Meg i odgarnęła do góry jej kasztanowe loki. Cofnąwszy się o krok,

popatrzyła na osiągnięty efekt. - Jest prześlicznie. Poproś Finster, to na pewno zrobi ci na głowie coś olśniewającego. Będziesz królową wieczoru.

Meg odwróciła się do lustra i spojrzała w nie z rozmarzeniem.

- Pan Crawford wspomniał, że będzie na tym wieczorku muzycznym. Czy sądzisz, że spodoba mi się w brzoskwiowej kreacji?

Alison gwałtownie cofnęła dłonie.

- Boże, Meg! Jack Crawford jest starszy ode mnie, a do tego goły jak święty turecki.

- Jest dorosły i o wiele bardziej interesujący niż chłopcy, których znam. A przyziemne dobra mnie nie interesują - powiedziała Meg. Jej mina wyrażała w tej chwili już nie rozmarzenie, lecz ośli upór.

- Tak mówi młoda kobieta, której nigdy niczego w życiu nie brakowało - odparła kąśliwie Alison. Powinna była jednak ugryźć się w język, Meg spojrzała bowiem na nią z wyrzutem.

- Wiem, że mi się udało z majątkiem - stwierdziła z przesadną godnością. - Ale mogłabym mieszkać w zwykłej chałupie, gdyby tylko była w niej miłość.

Na te słowa Alison straciła cierpliwość i z głośnym szelestem zawijanych spódnic wyszła z pokoju. Znalazszy się u siebie, miała czas pożałować nagłego wybuchu. Boże, jak mogła tak pokpić sprawę? Ona, która była dumna ze swego podejścia do wydelikacowanych, dorastających istot, zrobiła coś, czego dotąd z wielką starannością unikała - stworzyła Meg romantyczną przeszkodę do przewyciężenia. Teraz Jack pociągał smarkulę jeszcze bardziej niż przedtem. Alison złała się w myśli. Mimo kłopotów z Crawfordem, nie wolno jej było zachowywać się lekkomyślnie. Miała przecież obowiązki wobec lady Edith.

Uznała, że powinna przynajmniej przeprosić Meg za zjadliwą uwagę. Postanowiwszy, że zrobi to jeszcze przed lunchem, usiadła do zaniedbanej od pewnego czasu korespondencji i pracowała nad nią, póki nie usłyszała głosu lady Edith w korytarzu.

- Jestem tutaj, milady - powiedziała, stając na progu sypialni. W tej samej chwili Meg wyłoniła się ze swojego pokoju i przesłała Alison uśmiech, na wpół zuchowaty, na wpół skruszony. Alison z ulgą odpowiedziała uśmiechem i wszystkie trzy panie zeszły na dół, a za nimi w podskokach zbiegła Honey.

Ranek minął niepostrzeżenie na pogawędkach i snuciu planów na nadchodzący tydzień. Alison zawsze dziwiła się, że lady Edith, podobnie jak inne kobiety jej stanu, poświęca mnóstwo czasu na całkiem błahe czynności. Tak było i tym razem. Starsza pani z bratanicą bez końca rozwodziły się nad przygotowaniami do eleganckiej kolacji, a zwłaszcza nad listą zaproszonych gości. Alison poczuła wielką ulgę, gdy przekonała się, że wśród ludzi, których chciałaby widzieć Meg, nie ma Jacka Crawforda.

Po lunchu lady Edith jak zwykle poszła uciąć sobie drzemkę, a grupka przyjaciółek wzięła Meg na przechadzkę po Paradę Gardens. Ledwie Alison zdążyła pożegnać gwarną gromadkę, rozległo się głośne pukanie do drzwi. Masters, który pośpieszył by otworzyć, omal nie upadł na podłogę, zderzył się bowiem z kilkoma olbrzymimi bukietami, które całkiem zasłaniały przybysza.

- Och, milordzie! - wykrzyknęła Alison, gdy w końcu za naręczami kwiatów ukazał się March.

- Spotkałem po drodze kwiaciarę - wyjaśnił lakonicznie, usiłując utrzymać w nienaruszonym stanie swój pachnący ciężar. - Nie kłopotz się tym, Masters - powiedział. - Łatwiej będzie mi zanieść te kwiaty do kuchni samemu, niż dać tobie, bo wtedy wszystkie mogą się znaleźć na podłodze. Ta przeklęta kobieta mała smykałkę do handlu - dodał jeszcze March, tymczasem kamerdyner otworzył przed nim drzwi służbówki przy kuchni, gdzie trzymano misy i wazy najrozmaitszych wielkości. Alison zdołała przejąć kilka pomniejszych wiązanek, resztę hrabia ułożył na masywnym stole pośrodku pomieszczenia. Masters zaczął zdejmować naczynia z półek i wyciągać z kredensów, aż reszcie Alison podziękowała mu ze śmiechem i przyrzekła go wezwać, gdy kwiaty znajdą się w należytym porządku.

- I nie trudź służby układaniem tego wszystkiego, Masters - nakazała stanowczo, po czym zwróciła się do Marcha. - I ty, panie, uważasz się za praktycznego człowieka? - Mimo woli uśmiechnęła się. - Boże, moglibyśmy postawić kram z kwiatami. - Groźnie potrząsnęła solidnymi nożycami i wręczyła Marchowi drugą parę. Zmarszczyła czoło. - Najlepiej będzie rozpocząć atak od posortowania kwiatów według kolorów. Niebieskie tutaj, różowe i fioletowe tam, a czerwone i żółte w tamtym kącie.

- Zaczynam żałować mojej hojności - powiedział hrabia wzdychając. - W każdym razie postąpię zgodnie z twoim życzeniem, pani. Tylko jak nazwać taki odcień? - spytał, wyciągając przed siebie ledwie rozwiniętego irysa. - Nie jest niebieski, ale nie wydaje mi się również fioletowy.

Alison dyskretnie przyjrzała się Marchfordowi. Oznak niedawnej niepokojącej odmiany już nie było. Hrabia zachowywał się swobodnie i uprzejmie, może nawet próbował z nią nieszkodliwie flirtować, czym przypawił ją o lekkie drzenie serca.

- Dołożyłabym go chyba do fioletowych - odparła starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

Wśród żartów i docinków dokończyli pracę. Alison zaczęła wkładać kwiaty do czar i wazonów, wyciągniętych przez Mastersa. March patrzył na to z boku i głośno chwalił jej zręczność.

- Dom będzie podobny do altany w maju - stwierdził. - Na Royal Crescent tłumy przyjdą oglądać wiosnę, a ciotka Edith będzie pobierać opłaty za zwiedzanie.

- To niewykluczone - zgodziła się Alison. - Zatem mianuję cię przewodnikiem, milordzie.
- Z radością przyjmuję na siebie ten obowiązek. Panie i panowie, spójrzcie proszę w prawo, a zobaczycie niezwykłą plamę purpury, najwspanialszy ze wspaniałych okaz kwitnącego nocami kosmatka zwyczajnego. Pojmany w niewolę przez nieustraszonych piratów, został przywieziony na naszą wyspę, opromienioną chwałą królewskiego majestatu, specjalnie po to, byście mogli, dostojni zebrani, podziwiać jego piękno i aromat w gościnnych progach tego czcigodnego domostwa. W bibliotece proszę zwrócić uwagę na kiście cętkowanej gloriflory, która w myśl legendy...

Tu hrabiemu zabrakło tchu. Alison przerwała pracę, by nagrodzić jego wysiłek oklaskami.

- Mam nadzieję, że bierzesz udział w posiedzeniach Izby Lordów, panie - powiedziała, obrzucając go wyjątkowo ciepłym spojrzeniem. - Szkoda byłoby pozbawiać naród korzyści z takiej elokwencji.

March sprawiał takie wrażenie, jakby patrząc na nią, przez dłuższą chwilę nie mógł odzyskać tchu. Wreszcie się uśmiechnął, ale nieszczerze. Znowu, pomyślała Alison smutno. Oczywiście Marcha znowu zaszklili się jak ścięte lodem i nabrały odcienia butwiejących liści. Ale jego głos zachował lekki ton.

- Naturalnie, że biorę udział. Bądź co bądź, jest to mój obowiązek.

- Ach, tak - powiedziała cicho Alison. - Obowiązek.

- Rozważałem jednakże - ciągnął March wciąż tym samym tonem - możliwość wstąpienia do cyrku, uważam bowiem, że te dwie drogi nie są rozbieżne. Pozwól, że ci pomogę, pani.

Sięgnął po ciężką czarę, którą Alison właśnie zapełniła pierwiosnkami i żółtymi narcyzami. Postawił gotowe do wyniesienia naczynie na drugim stole. Potem podał jej wskazaną wiązanekę, przy okazji podchodząc bliżej. Alison wzięła już następne naczynie.

- Czy masz, pani, pomysł, gdzie to wszystko pomieścić? - spytał.

Alison roześmiała się niepewnie.

- Prawdę mówiąc, nie. Lady Edith zawsze dba o świeże kwiaty w domu, więc trzeba się dobrze zastanowić, co zrobić z dodatkową dostawą, tym bardziej że to chyba cały inspekt. Ale mój ojciec mawiał, że piękna w domu nigdy nie jest za wiele, więc na pewno znajdziemy odpowiednie miejsca.

March odwrócił się do niej. Miał bardzo zagadkowy wyraz oczu.

- Kochała pani ojca. - Było to właściwie pytanie, na które Alison zareagowała uniesieniem brwi.

- Naturalnie. Darzyłabym go bardzo głębokim uczuciem, nawet gdyby nie był moim ojcem i tylko po prostu pastorem z Ridstowe. To był wyjątkowo serdeczny człowiek.

- Rozumiem. - March przysunął do siebie następną stertę kwiatów, nieostrożnie jednak, więc kilka z nich ześlizgnęło się z blatu. Chciał je przytrzymać, a że Alison próbowała tego samego, znalazła się nagle tuż przy nim.

Zapomniane kwiaty upadły na podłogę. March położył jej dłonie na ramionach. Przeniknął ją gorącym, złocistym spojrzeniem i nagle przywarł do jej ust, chciwie i zaborczo. Alison oddała pocałunek z pasją, która nią wstrząsnęła. Rozchyliła wargi. Gdy położył jej dłonie na plecach i przyciągnął ją do siebie, mocno się w niego wtuliła. Całe jej ciało było jednym wielkim pragnieniem. Tymczasem March znaczył pocałunkami gorący szlak na jej policzku, krzywiznie szyi, gardle. Alison bezwiednie wsunęła mu palce we włosy i odchyliła głowę, upajając się dotykiem jego warg w miejscu, gdzie czuła gwałtowne pulsowanie krwi. Wypełniały ją trwożne uczucia, jakich dotąd nie знаła. Nie sądziła nawet, że może tak pożądać. Bała się, że zabraknie jej powietrza, że się udusi.

March niecierpliwie pociągnął za troczki u kołnierzyka. Alison podniosła rękę do szyi, żeby mu pomóc. Drgnęła niespokojnie, czując dłoń wdzierającą się pod stanik sukni, ale gdy March odsunął jeszcze cienką koszulkę i dotknął nagiej piersi, raptownie znieruchomiła. Nie! - krzyknął w niej jakiś głos. Co to, to nie! Tak nie wolno. To jest złe. Chciała się od niego odsunąć, ale jej nie puścił, więc wyrwała się z głośnym krzykiem:

- Nie! Na Boga, nie wiem, co... - Oczywiście miała szeroko rozwarte, nieprzytomne, zasnute mgłą namiętności. - March... proszę! Nie jestem taka! Nie jestem... - Nie kończąc ani myśli, ani zdania, odwróciła się i wybiegła ze służbówki, wstrząsana cichym szlochem.

Schroniwszy się w ciszy swojego pokoju, rzuciła się na łóżko. Boże, co się z nią nagle stało? Zawsze uważała się za osobę dobrze wychowaną, w pełni panującą nad sobą i swoimi uczuciami. Zdarzało jej się słyszeć poszeptywania kobiet, targanych nie spełnionymi pragnieniami. Wiele było wśród nich starych panien, takich jak ona, rozpaczliwie dążących do zaspokojenia swych haniebnych żądz. Często padały one łatwym łupem mężczyzn, którzy wykorzystywali ich słabość i sprowadzali na nie niesławę. Czyżby była dla nich siostrą w upadku? Czy ta oszalamiająca reakcja, którą wyzwolił w niej dotyk Marcha, oznaczała jedynie wybuch długo powściągniętych potrzeb? Śmiertelnie zawstydzona, przypomniawszy sobie, jak się o niego ocierała. Zupełnie jak samica podczas rui.

Spróbowała jakoś uporządkować chaos myśli. Smak pocałunków poznała już bardzo dawno, ale nigdy nie wzbudziły w niej chęci na nic więcej. Przypomniawszy sobie innych znajomych mężczyzn. Ot, choćby Jacka Crawforda. Gdyby Jack ośmielił się niewinnie cmoknąć ją w policzek, w pierwszym odruchu z pewnością chciałaby uderzyć go poręcznym tępym narzędziem.

Nie, taką reakcją niewątpliwie wyzwałał w niej ten właśnie mężczyzna, a nie sytuacja. Przewróciła się na plecy i zakryła oczy dłońmi. Odwzajemniła pocałunek Marcha z wielkim entuzjazmem. Chciała mu się oddać cała. Chciała...

Jęknęła i gwałtownie usiadła. Myśli prowadziły ją w kierunku, który budził w niej lęk. Czyżby to kłopoty z Crawfordem zabijały w niej zdrowy rozsądek? No, nie. Przecież już wcześniej wydało jej się, że zaczyna lubić Marcha. Nie zdawała sobie sprawy tylko z tego, jak bardzo go lubi. W gruncie rzeczy gwałtowny wybuch uczuć, który przeżyła, znalazłszy się w objęciach Marcha, najłatwiej było wytłumaczyć tym, że się w nim zakochała. A tego właśnie obawiała się najbardziej.

Znów jęknęła. Do czorta z tym człowiekiem! Zajął miejsce w jej sercu z łatwością włamywacza, dostającego się do pustego domu przez okno na piętrze. A ona w swej ślepotce mu na to pozwoliła. Jeśli istniał mężczyzna, którego obecność w jej życiu, a tym bardziej w sercu, musiała sprowadzić na nią życiową klęskę, to był nim właśnie Anthony Brent, hrabia Marchfordu. I właśnie on bez najmniejszego trudu pokonał zapory, jakie przed nim stawiała.

Dla niego ten pocałunek z pewnością nic nie znaczył. Sądziła wprawdzie, że March jest wyższy ponad cyniczne uwodzenie kobiet, typowe dla większości mężczyzn z jego klasy, niewątpliwie jednak uważał, że można pofiglować z posną damą do towarzystwa. Swą ochoczą reakcją musiała go utwierdzić w tym przekonaniu.

Przypomniał jej się poprzedni pocałunek, który wymienili w ciemnościach Sydney Gardens. Wzdrygnęła się na myśl o tym, że i wtedy bynajmniej się nie bronila. Boże, March pewnie uważa, że mam moralność zwykłej ladaczniczki, pomyślała.

Od czasu niefortunnego debiutu w towarzystwie Alison nie poświęcała wiele czasu rozważaniom o miłości. Wtedy wydawało jej się, że któregoś dnia znajdzie sobie męża. Nie znużonego potomka lordów, jakich uporczywie jej przedstawiano. Musiałby to być ktoś, do kogo czułaby skłonność. Ktoś podobnego stanu, kto nie wymagałby od niej dużego posagu i imponującego drzewa rodowego, by znaleźć szczęście w małżeństwie. Z pewnością był gdzieś na świecie mężczyzna, którego mogłaby obdarzyć uczuciem. Taki, który pokochałby ją dla niej samej.

Niestety katastrofalna w skutkach wyprawa do Londynu zniweczyła jej marzenia o zacytnym małżeństwie. W następnych latach jeśli myślała o miłości, to jak o mrzonce, za którą uganiać się mogą tylko ludzie bardzo młodzi lub bardzo szacowni. Ona, rzecz jasna, nie należała ani do jednych, ani do drugich.

Usiadłszy na krawędzi łóżka, zacisnęła pięści. Do tej pory obywatela się bez miłości mężczyzny. Żyła miłością lady Edith i nadziejami na samodzielne życie. Niczego więcej do szczęścia nie potrzebowała. To zaś, co czuła w tej chwili do lorda Marchforda, niewątpliwie było przelotnym, choć bolesnym stanem, który z czasem odejdzie w zapomnienie. Gorzko się uśmiechnęła. Zważywszy na swą słabość do hrabiego, musiała niewątpliwie uważać, żeby nie znaleźć się z nim więcej sam na sam w tym krótkim czasie, który jeszcze został do jego wyjazdu z Bath.

Oczami wyobraźni znów zobaczyła wyrazistą twarz Marchforda tuż przy swojej twarzy i oczy lwa, przenikliwym spojrzeniem zakłócające spokój jej ducha. Boże, spraw, by lord Marchford jak najszybciej wrócił do Londynu.

13

Kilka dni później Alison znowu zawitała do Górnych Sal Asamblowych w towarzystwie lady Edith i Marcha. I tak samo jak poprzednio lady Edith odesłała swoją eskortę do sali balowej, a sama usiadła wśród przyjaciółek. Tym razem jednak Alison natychmiast zostawiła hrabiego i zdecydowanym krokiem udała się w najdalszy koniec sali, by przyłączyć się do grupki zajętej rozmową.

March z kamienną miną śledził ją wzrokiem. Jakoś powstrzymał odruch, by podążyć za nią, nie złapał jej za ramię i nie zapytał, czemu nagle zaczęła go traktować jak trędowatego. Miał wrażenie, że zna odpowiedź aż za dobrze.

Boże, rzucił się na nią jak wygłodzony wilk na niewinną owieczkę. Nigdy w życiu tak się nie zapomniał. Przyszedł do domu ciotki z zamiarem uspienia czujności Lissy Reynard żartami i niewinnym flirtem, ale gdy wspomniała o swej miłości do ojca, zawrzał gniewem. Jak śmie udawać, że jest zdolna do jakichkolwiek uczuć? Kto jak kto, ale on dobrze wiedział, że jest bezwzględna. Zanim uświadomił sobie, co robi, już trzymał ją za ramiona. Chciał wyładować złość, wytrząsnąć z niej tę fałszywą duszę.

Popęłił jednak błąd, spojrzawszy bowiem w przepastne oczy koloru nieba i w jednej chwili stracił panowanie nad sobą. Pojął, że jest zgubiony. Całą złość przelał w brutalny pocałunek, który wstrząsnął nim do głębi. Ze zdumieniem, lecz i bardzo niepożądanym zachwytem stwierdził, że Alison oddała pocałunek z wcale nie mniejszym zapamiętaniem.

Skrzywił się. Nachodzą go jakieś bzdurne urojenia, zupełnie jakby zwykłe swawolne interludium było dla niego sprawą życia lub śmierci. Musiał jednak przyznać, że niestety owo interludium wymknęło mu się spod kontroli. Chciał ukarać tę kobietę, ale gdy tylko złączyła z nim usta w namiętym pocałunku, całkiem o tym zapomniał. Pragnął jedynie ciepła jej warg. Zdawało mu się, że przemienił ją w żywy ogień, którego płomienie nieuchronnie spalają. Smak ust Alison doprowadził go na skraj szaleństwa.

Kto by pomyślał, że taka chłodna z pozoru osoba jest zdolna do ognistego porywu. Gdyby nie znał Alison na wskroś, pomyślałby, że jej namiętność nie jest udawana, w dodatku zaś niewinna i dopiero co odkryta. Przysięgłby też, że Alison przeraziła się swą reakcją. Gdy w końcu wyrwała mu się z objęć, na jej twarzy malował się lęk.

Od tej pory unikała jego dotyku jak zakaźnej choroby. March powtarzał sobie, że to dobrze. Nie miał zamiaru

uczuciowo uzależnić się od tej kobiety. Chciał tylko zdobyć jej zaufanie i przychylnie ją do siebie nastawić. Niestety, wyglądało na to, że nieodwołalnie wszystko popsuł.

Miał nieśmiałą nadzieję, że jeśli będzie odnosił się do niej życzliwie, to w końcu odzyska stracony grunt, Alison znów poczuje się w jego obecności swobodnie. Pocałunki w ustronnych miejscach parku bądź w pomieszczeniach dla służby były wykluczone. Musiał zachowywać się wobec niej tak, by nie można mu było niczego zarzucić... przynajmniej do chwili, gdy będzie gotów do zemsty na Lissie Reynard. Jeszcze nie zdecydował, jak ta zemsta będzie ostatecznie wyglądać, czekał bowiem, aż Alison odzyska do niego zaufanie i aż uda mu się poznać kierujące nią motywy. I wtedy nic już mu nie przeszkodzi.

Obserwował spod przymrużonych powiek, jak Alison przesuwając się wokół sali balowej. Przystanąła, by porozmawiać z jakimś mężczyzną. Tak, to był Jack Crawford. March poczuł, że cały się gotuje, gdy zobaczył jego rękę na jej ramieniu. Alison zareagowała podniesieniem głowy i coś szepnęła. Crawford zaczerwienił się i gwałtownie cofnął rękę. Chwilę później Alison odwróciła się od niego.

Ku zaskoczeniu Marcha skierowała swe kroki do sali karcianej. Szła dziwnie skrepowana, a gdy na moment spojrzała w jego stronę, przeżył wstrząs, widząc wyraz jej oczu. Były szeroko otwarte i smutne jak zimowa noc. Oczy lunatyczki. W ostatniej chwili powściągnął chęć ruszenia jej na pomoc. Zamiast tego stanął w ukryciu, by móc dyskretnie prowadzić obserwację. W sali karcianej Alison została zaproszona do stolika przez starą lady Melksham. March zajął stanowisko przy kolumnie. Przez chwilę dziwił się, że Alison ochoczo zgodziła się na rozrywkę, do której miała tak mało zdolności, zaraz jednak wykrzywił wargi w gorzkim uśmiechu, przypomniał sobie bowiem, że pomylił Alison Fox z jej szulerskim *alter ego*. Co też knuje Lissa Reynard, zastanawiał się, tknięty nagle złym przeczuciem.

W niecałą godzinę później Alison wstała od stolika z torebką wypchaną pieniędzmi wygranymi w wista i przeszła w drugi koniec sali, gdzie znów ktoś znajomy zaprosił ją do stolika. Boże, pomyślał March. Właśnie przed chwilą na własne oczy widział, jak jego prześladowczynią oszukała najlepszą przyjaciółkę ciotki Edith na sumę, która z daleka wydawała się znaczna. Przełknął ślinę i w dalszym ciągu obserwował Alison - spędziła na grze jeszcze następną godzinę. Kupka żetonów przed nią nieustannie rosła. Gdy wreszcie Alison na dobre wstała od stolika, jej torebka była wypchana po brzegi.

March zorientował się nagle, że nie on jeden interesuje się jej poczynaniami. Ku Alison, z wdziękiem zmierzającej do wyjścia, ruszył człowiek, który wyłonił się z zacienionego miejsca w drugim końcu sali. Crawford musiał przyspieszyć kroku, żeby ją dogonić. W końcu poufałym gestem dotknął jej ramienia. Alison odwróciła się i bez słowa wręczyła mu banknoty i monety. Tak podejrzewałem, pomyślał March. Crawford jest lub był jej kochankiem. Wyraźnie nadal współpracują. Widocznie Crawford przyjechał do Bath z zamiarem odnowienia romansu. Zresztą któż by się dziwił? Ta kobieta była żyłą złota.

Zamienili szeptem kilka słów, po czym Crawford skłonił się z kpiącym uśmiechem i zaraz się oddalił. Alison została sama. Sprawiała w tej chwili wrażenie osoby całkiem bezbronnej i godnej współczucia, co March stwierdził z pośpenną miną. Starając się o tym nie myśleć, szybko podszedł do panny Fox.

- Próbowałaś, pani, szczęścia przy karcianym stoliku? - spytał jakby nigdy nic.

Alison wyraźnie zbladła, ale spojrzała mu w oczy i odpowiedziała spokojnie:

- Tak. Lady Melksham zaprosiła mnie do gry.

- Mam nadzieję, że dziś wieczorem szczęście bardziej ci, pani, sprzyjało. - Chociaż wypowiedział te słowa całkiem obojętnym tonem, śmiech Alison był niezmiernie wymuszony.

- Niż ostatnio? O tak, milordzie. Bardzo jestem zadowolona i nawet zdziwiona, bo przyznam ci się, że wygrałam sporą sumę.

March uniósł brwi, zdziwiony tym wyznaniem. Naturalnie, Pomyślał po chwili. Przecież kłamstwo wyszłoby na jaw po pierwszym spotkaniu ciotki Edith z lady Melksham. Zamyślił się. Co zrobić z ciotką Edith? Jeśli ta cała panna Fox szykuje kolejny zamach na sakiewki osób z towarzystwa, to należy bezzwłocznie powiedzieć ciotce prawdę. Trudno było jednak przewidzieć, jak ciotka zareaguje na taki wstrząs. Miała wszak swoje lata. Taka nowina musiałaby ją głęboko zranić. March zżymał się w duchu, ale gdy prosił Alison do kontredansa, wciąż miał uśmiech przyklejony do twarzy. Oboje wykonywali kolejne figury tańca jak sprawne mechanizmy, stopniowo jednak March odzyskiwał równowagę. Gdy spotkał się z partnerką w ostatniej figurze, uśmiech, którym ją obdarzył, był już całkiem szczery. Miał gotowy plan zniszczenia panny Alison Fox.

Niewiele wieczorów w życiu Alison ciągnęło się tak jak ten. W kilka godzin po rozmowie z Marchem usiadła na łóżku i przez dłuższą chwilę po prostu gapiała się przed siebie. Potem znowu wstała i ze znużeniem zaczęła rozkładać pościel. Pomyślała, że ta ohydna historia nie potrwa długo. W Salach Asamblowych dała Jackowi ponad pięćdziesiąt funtów. Jeszcze kilka takich wieczorów i spełni warunki umowy.

Usiadła przy toalecie i zafrasowała się, zaprzętnął ją bowiem nowy kłopot. Jej nieoczekiwane wygrane wywołały tego wieczoru znaczne ożywienie i wiele domysłów. Następnym razem partnerzy nie będą już tacy zadowoleni. Alison dobrze знаła wszystkie osoby, od których wygrała pieniądze, a co gorsza znała je również lady Edith. Nagle objawione zdolności panny Fox staną się przedmiotem rozmów, na pewno dowie się o nich lord Marchford. I co

wtedy?

Wtedy przyjdzie kryśka na Matyska, bo March niewątpliwie skojarzy ten fakt z fenomenalnymi umiejętnościami panny Reynard. A to znaczyło, że nie wolno jej dopuścić do tego, by March dowiedział się o wygranych. Tylko jak to zrobić?

Odłożyła szczotkę, którą rozczesywała włosy, i wsunęła się do łóżka. Wlepiła wzrok w sufit. Bath było niestety niewielkim miasteczkiem, gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Ale niezupełnie... Alison od tak dawna obracała się wyłącznie w wąskim kręgu elity, że całkiem zapomniała o istnieniu innych ludzi. A przecież pod cienką polewą z lukru, którą stanowiła arystokracja, była jeszcze gruba warstwa ciasta - klasa średnia. Jej członkowie nie dorównywali wprawdzie bogactwem przedstawicielom wyższego stanu, lecz mimo to wnosili znaczny udział w szaleńczej manii hazardu, która ogarniała regencyjną Anglię.

Ci, którzy mieli dość pieniędzy, by aspirować do elity, grywali w Górnych Salach Asamblowych bądź na eleganckich przyjęciach. Inni musieli się zadowolić mniej wyszukаныmi miejscami, takimi jak coraz bardziej podupadające Dolne Sale Asamblove przy Terrace Walk lub lokale cieszące się jeszcze gorszą reputacją. Naturalnie Alison Fox, dama do towarzystwa lady Edith Brent, nie mogła się tam pokazać, ale gdyby włożyła perukę, przyciemnione okulary i dokonała jeszcze kilku drobnych zmian wyglądu, miałaby pewność, że nikt jej nie pozna. Nie mogła też wybrać się tam sama, gdyż w mniej eleganckich częściach Bath kobieta bez męskiego towarzystwa stałaby się łatwym łupem miejscowych zbirów, sądziła jednak, że bez trudu namówi Jacka, by jej towarzyszył.

Największy kłopot stanowiło dla niej wyjście z domu. Na szczęście lady Edith wcześniej udawała się na spoczynek. Wprawdzie Meg lubiła prowadzić z Alison szczere rozmowy do późnej nocy, jednak łatwo można było się jej pozbyć pod pretekstem bólu głowy. A wyslizgnięcie się na dwór, gdy w domu zapanuje cisza, nie powinno stanowić problemu.

Alison chętnie zwierzyłaby się lady Edith, nie chciała jednak znowu obarczać jej swoim kłopotem. Nie byłoby to uczciwe. Uznała, że gdy wszystko się skończy, a Jack odjedzie do Londynu, będzie mogła wyjawić, co zrobiła.

Co do lorda Marchforda zaś, należało po prostu nie wchodzić mu w drogę. Postanowiła znajdować sobie zajęcia w innej części domu za każdym razem, gdy lord przyjdzie odwiedzić ciotkę. Gdyby zaś proponował jej i lady Edith wspólne wyjście, była zdecydowana zostać w domu pod byle pretekstem. Z Bożą pomocą pan hrabia na pewno wkrótce wróci do Londynu, a gdy luz znajdzie się z powrotem w swoim świecie, jej życie znów popłynie spokojnym rytmem codzienności. Będzie mogła o nim zapomnieć, a gdyby nawet miała go jeszcze kiedyś zobaczyć, to jako żonatego mężczyznę, z dowodami uczuć żony do obejrzenia w pokoju dziecinnym.

Znalazłszy zadowalające rozwiązania na najbliższą przyszłość, Alison zamknęła oczy i splotła dłonie na kocu. Minęło jednak jeszcze parę godzin, nim wreszcie zapadła w niespokojny sen. We śnie nachodziły ją wizje wspaniałego lwa z wielkimi, złocistymi oczami i pazurami, które nie rozdzierały ciała do krwi, lecz zostawiały na skórze ofiary długie, parzące smugi.

Trzy dni po występie Alison w Górnych Salach Asamblowych hrabia Marchfordu energicznym krokiem podszedł do drzwi swego apartamentu w York House.

- Proszę - powiedział zniecierpliwionym tonem. - Niech pan wejdzie, Pilcher.

Niepozorny człowieczek skorzystał z zaproszenia i od progu omiół gospodarza niespokojnym spojrzeniem. Był w drodze bez przerwy, od chwili gdy poprzedniego dnia dostał pilne wezwanie. Zastanawiał się więc, co mogło zająć, że jego lordowska mość wymaga takiego pośpiechu.

- Znalazłem Lissę Reynard - beznamytnie oznajmił March, a Pilcher aż sapał ze zdumienia. - Niech pan siada.

Zamówił dla detektywa śniadanie i zaczął mu wykładać szczegóły swojego odkrycia. Tymczasem pan Pilcher, który pędził co koń wyskoczy do Bath i nie miał okazji zjeść niczego wcześniej, z wdzięcznością zajął się posiłkiem, złożonym z jaj na szynce, cynaderek i chleba z masłem. Kiedy skończył, nieśmiało wyraził nurtującą go wątpliwość.

- Cieszę się, że w końcu znalazłeś poszukiwaną osobę, milordzie. Ale co ja mam z tym wspólnego? Jeśli wiesz, panie, gdzie ona jest, to z pewnością nie potrzebujesz moich usług.

- Przeciwnie. - Uśmiech lorda Marchforda nie wyglądał dobronudownie. Jonas Pilcher pomyślał, że jest wręcz złowrogi, lecz starał się mieć nadzieję, że nie będzie musiał nikogo zamordować. - Zamierzam zrujnować pannę Alison Fox i w tym celu potrzebuję pańskiej pomocy.

Pan Pilcher wytrzeszczył oczy na hrabiego.

- Zrujnować? - powtórzył. Zmarszczył nos, poczuł się bowiem bardzo niepewnie.

- Powinienem raczej powiedzieć, że pomogę jej doprowadzić się do ruiny osobiście. - Wzruszył ramionami na widok zdziwionej miny detektywa. - To jest szulerka, Pilcher. Grą w karty zarabia na utrzymanie, przypuszczam, że niezgorzej. Chcę położyć kres temu procederowi. Myślę, że spędziłem w Londynie dość czasu przy zielonym stoliku, by rozszyfrować jej metody. A pana zatrudniłem do poszukiwań Lissy Reynard, ponieważ rekomendowano mi pana jako specjalistę od demaskowania karcianych oszustw.

- Słusznie, milordzie. Proszę nie myśleć, że się chwalebę, ale znam wszystkie możliwe triki. Jeśli więc chcesz,

panie, żebym złapał szulerkę na gorącym uczynku, to jestem do tego najwłaściwszym człowiekiem. Wiem, jak się znaczy karty i jak się chowa asy w rękawie.

Hrabia zatarł ręce.

- Znakomicie, Pilcher. Wobec tego musi pan wziąć pod obserwację dom mojej ciotki. Tam obecnie mieszka ta panna Fox. Nie wolno jej wyjść z domu i kupić ani skrawka koronki tak, żeby pan o tym nie wiedział. Poza tym panna Fox ma współnika, więc chcę mieć dokładne meldunki o ich schadzkach.

- Co mam zrobić, jeśli przyłapię tę kobietę na niecnym występku? - spytał detektyw.

March znów błysnął złowrogim uśmiechem.

- Po prostu dać mi znać. Będę w pobliżu.

Przez chwilę pan Pilcher milczał. Potem, zdobywszy się na odwagę, powiedział:

- Czy wolno mi spytać, milordzie, co wtedy zamierzasz? Sądzę, że możesz mieć trudności z doprowadzeniem do aresztowania jej za oszustwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę, Pilcher. Nie zależy mi na wysianiu jej za kratki. Zrobimy inaczej. Kiedy ustalimy, w jaki sposób oszukuje, obojście zdemaskuję ją przy stoliku. Jeśli dopisze mi szczęście, będzie tam dużo dobrych znajomych mojej ciotki.

Jonas Pilcher wyraźnie nic nie rozumiał. Wąsiki mu drżały, a rozbiegane, koralikowe oczka usiłowały coś wyczytać z twarzy zleceniodawcy. Hrabia z irytacją machnął ręką.

- Nie rozumie pan? Moja ciotka natychmiast zwolni pannę Fox. Plotka o tym rozejdzie się po Bath lotem błyskawicy i ta kobieta już nigdy nie dostanie posady w dobrym domu. W ten sposób straci dostęp do tych ludzi, których dotąd oskubywała, korzystając z ich nieświadomości. A ponieważ przyłgnie do niej miano szulerki, będzie miała poważne kłopoty także w londyńskich domach gry. Krótko mówiąc, Alison Fox znajdzie się w całkowitym osamotnieniu, bez pensa przy duszy i bez przyjaciół. Sprawiedliwa kara dla człowieka, który sprowadził tyle nieszczęść na innych.

Hrabiemu nasunął się przed oczy obraz Alison sprzed trzech dni. Tę twarz przerażonej, zagubionej kobiety miał w pamięci jeszcze długo po wyjściu z domu ciotki tamtego wieczoru. Przez wiele godzin perswadował sobie, że nie mógł tego widzieć, że mu się tak tylko wydawało. Wreszcie jednak odzyskał trzeźwość sądu. Nie było powodu ulegać nagłemu atakowi współczucia dla tej smukłej uwodzicielki. Zasłużyła na swój los, a on będzie miał satysfakcję, jeśli spowoduje jej upadek.

- Rozumiem - skostatował krótko pan Pilcher. Otarł z warg resztki jedzenia, po czym wstał od stołu. Zmierzył hrabiego ponurym spojrzeniem. - Poczynię przygotowania, by zapewnić obserwację domu - powiedział. - Będę potrzebował jednego lub dwu pomocników, ale tych znajdę bez kłopotu. Mam tu w Bath kilku znajomych. To młode, bystre chłopaki, już korzystałem z ich pomocy. Od dzisiejszego wieczoru dom będzie pod obserwacją przez całą dobę. Będę cię zawiadamiał, milordzie, o każdym wyjściu panny Fox.

March skinął głową. Jeszcze długo po odejściu detektywa ział przy kominku, zapatrzony w dogasający żar.

14

Ojeeej, Alison! - rozległ się żaloszny jęk. - Jeśli jutro z nami nie pojedziesz, cały dzień będzie zmarnowany! - Meg aktorskim gestem wyrzuciła w górę ręce, przy okazji omal nie przewracając wazonu z kwiatami. - Miał z nami jechać brat Sally, ale okazuje się, że nie może, a starsza siostra Charlotte, która też miała jechać, skręciła wczoraj nogę w kostce. Mama Rosamund mówi, że czuje się jeszcze zbyt słabo po influency. Guwernantka Jane pojechała odwiedzić krewnych i w końcu nie ma nikogo, kto mógłby się z nami wybrać. A wycieczkę do Oaks planujemy od tygodni. Peter obiecał mi pokazać, jak się strzela z łuku, a James Arbuthnot chce nas zabrać do wsi na lunch.

- Wiesz, Meg... - przerwała jej niepewnie Alison.

- Tak cię proszę, Alison!

- Zdawało mi się, że miał z wami jechać również lord Marchford.

- Miał. Ale jeśli okaże się, że jest jedynym dorosłym, to może się rozmyślić. Zgódź się, to wtedy i on na pewno pojedzie, i wszystko będzie w najlepszym porządku. Ciocia Edith też chce, żebyś nam towarzyszyła. - Meg opadła na fotel obity adamaszkim i wbiła w Alison wzrok pełen nadziei.

Alison zainteresowała się nagle wzorem na dywanie, żeby uniknąć błagalnego spojrzenia Meg. Jeszcze wczoraj zdawało jej się, że świat wreszcie okazał się dla niej łaskawszy. Minęły dokładnie dwa tygodnie, odkąd obiecała Jackowi Crawfordowi, że wygra dla niego pięćset funtów, i właśnie poprzedniego dnia osiągnęła cel. Wręczyła mu pieniądze i oschle oświadczyła, że nigdy więcej nie chce go widzieć. Wziął od niej pękata sakiewkę z pieniędzmi, roześmiał się, a potem uniósł kapelusz na pożegnanie i pogwizdując, odszedł sprężystym krokiem, zostawiając ją przed drzwiami na Royal Crescent. Świtało.

A teraz to. Niech diabli porwą tego człowieka! Czemu jeszcze nie wrócił do Londynu? Zdecydowanie nie miała ochoty jechać z lordem Marchfordem na wycieczkę z gromadą młodzieży, bo oznaczało to, że los skazuje ich na swoje towarzystwo. Co najgorsze, była pewna, że skoro lady Edith zaaprobowała pomysł wycieczki, to nie tylko pozwoli jej pojechać, lecz nawet będzie na to nalegała.

Alison westchnęła żałośnie. Skończyło się unikanie lorda Marchforda. Pozostawało jej starannie zaplanować

następny dzień, żeby nawet na krótko nie móc oderwać się od obowiązków.

Meg wyraźnie zauważyła w zachowaniu Alison oznaki kapitulacji, zarzuciła jej bowiem ręce na szyję i porwała ją do szaleńczego walca dookoła salonu. Wbrew swemu nastrojowi Alison wybuchnęła śmiechem, taniec jednak skończył się nagle, zderzyły się bowiem z postawnym mężczyzną, który wszedł do Pokoju.

- Ojej! - wykrzyknęła Alison, znalazłszy się przy piersi Marcha w niespodziewanym uścisku. Spłonęła rumieńcem i natychmiast wyplątała się z jego objęć. Jak najszybciej uciekła w drugi koniec salonu.

March! - zawołała Meg, ani trochę nie speszona tym, że znalazła się w takim samym położeniu. Głośno cmoknęła brata w policzek. - Alison zgodziła się jechać z nami do Oaks!

Brak entuzjazmu hrabiego nie zwrócił jej uwagi.

- Och, będzie cudownie! - szczebiotała w uniesieniu. - Tak dawno już nie siedziałam na koniu. Zapowiada się piękna pogoda, a kucharka mamy Sally przygotowuje nam różne dobre rzeczy do jedzenia.

- Myślałem, że zjemy lunch w Step Walford - zauważył hrabia.

- Ależ tak, tylko potrzebujemy czegoś na drogę, żeby starczyło nam sił. Przecież mamy wyjechać zaraz po śniadaniu.

- Naturalnie - mruknął March. Mimo woli zerknął z rozbawieniem na Alison, zaraz jednak ponownie zwrócił się do siostry. - Nie możemy dopuścić, żebyś po trzech godzinach bez jedzenia umarła z głodu.

Alison z radosnym błyskiem w oczach odwzajemniła spojrzenie Marcha, zaraz jednak uprzytomniła sobie, co robi, i gwałtownie odwróciła głowę. March również się usztynił. Wszedł głębiej do pokoju i usiadł. Po kilku minutach dołączyła do nich lady Edith i wspólnie zaczęli ustalać dalsze szczegóły wycieczki.

Wieczorem March siedział w swym apartamencie w York House i próbował przewidzieć, jak przebiegnie nazajutrz wycieczka do Oaks. Zupełnie nie wiedział, czego się spodziewać po tej przewrotnej uwodzicielce, która nieustannie grała mu na nerwach. Ze smutkiem przyznał, że niepokojący stan jego umysłu nie jest niczym zaskakującym, skoro od dwóch tygodni nijak nie udaje mu się znaleźć potwierdzenia dla swoich przypuszczeń. Alison Fox objawiała dziwną niechęć do uczestnictwa w rozrywkach elity Bath. Ciekawe, jak zamierza wprowadzić w czyn swe występne zamiary, skoro od dłuższego czasu nie chce nigdzie iść z nim i ciotką Edith. Nie pojawiła się na żadnej kolacji, na żadnym wieczorze. Wymówiła się bólem głowy nawet w dniu, gdy szli pograć w karty na przyjęciu, na którym mieli być obecni najbogatsi ludzie zachodniej Anglii.

Wszystko wyjaśniło się rankiem w dniu, gdy Jonas Pilcher pojawił się w York House poinformować swego klienta o dziwnej sytuacji na Royal Crescent.

- Ta panna Fox - meldował niepozorny detektyw, przewracając poślinionym kciukiem kartki notatnika - przez trzy dni nie wystawiła nosa z domu. Tak w każdym razie twierdzą moi agenci. Jednakże - dodał znaczącym tonem - każdego wieczoru po wygaszeniu świateł w domu przez drzwi dla służby wykrada się kobieta. Spotyka się z wysokim, chudym mężczyzną i oboje idą do miasta. Mój człowiek nie śledził ich, uważał bowiem, że jego obowiązkiem jest obserwować dom.

- Boże! - wykrzyknął hrabia. - To jasne. Ona dobrze wie, że sprowadziłaby na siebie katastrofę, gdyby wyrobiwszy sobie opinię gracza od siedmiu boleści, zaczęła nagle garściami wygrywać pieniądze od przyjaciółek ciotki Edith. Po prostu szuka zarobku gdzie indziej. Na przykład w Dolnych Salach. Jestem gotów się założyć. I postawiłbym dużą sumę na to, że tym chudym typem jest Jack Crawford.

Od tego dnia nocne wyprawy Alison były starannie obserwowane. Raz czy dwa March przyłączył się do Pilchera, który przejął zadanie od swego pomocnika i osobiście chodził do Dolnych Sal. Przyjrzał się z oddali dziwnej wyglądającej kobiecie z matowymi brunatnymi włosami i przyciemnionymi okularami na nosie. Owa osoba konsekwentnie pozbawiała klientów pana Linseya poważnych kwot. Nie wygrywała każdej Partii, ale jeśli przegrywała, to niewiele, więc przy końcu wieczoru zawsze miała gotówkę i zawsze przekazywała ją Jackowi Crawfordowi. Najbardziej zdziwiło Marcha, że widzi u niej ten sam przerażony wyraz twarzy, który zauważył kiedyś w Górnych Salach.

March, rzecz jasna, nie mógł przyglądać się Alison z bliska, zwłaszcza że po pewnym czasie wraz ze swym współnikiem opuściła Dolne Sale na rzecz znacznie bardziej obskurnych lokali przy ulicach Avon i Kingsmead. Po kilku wieczorach podglądania zza kolumn i futryn March nie potrafił już zapanować nad swym gniewem i poczuciem, że został zdradzony. Postanowił więc skończyć z włóczęństwem i czekać na meldunki Pilchera w czterech ścianach York House.

Było jednak jasne, że zakłopotanie Pilchera stopniowo rośnie.

- Przyglądam jej się od ponad tygodnia, milordzie - powiedział człowieczek, kartkując notes, w którym luźne kartki już ledwie się trzymały. - Stoję tuż przy niej, wiem na pewno, że nie zwróciła na mnie uwagi i...

- I?

Człowieczek nagle się zgarbił.

- Widziałem podczas pracy najlepszych fachowców, takich co podmieniają talie, trzymają karty w rękawie, chowają współników na galeriach, ale nie mam zielonego pojęcia, jak ona to robi.

- Przecież musi...

- Tak, tak. Też jestem pewien, że oszukuje. Zbyt regularnie wygrywa. Pozostaje jednak zagadką, w jaki sposób to robi. Badałem karty, którymi gra. Rozglądałem się za miejscem, w którym mogłaby umieścić współnika: ten Crawford jest zwykle w drugiej sali, chociaż nie sądzę, żeby kręcił się tam jako ozdoba. Panna Fox nosi suknie z długimi rękawami, ale zawsze obcisłymi, a jeśli ma szal albo cokolwiek z galanterii, pod czym można by ukryć asa, to zawsze trzyma to z dala od kart. - Pilcher zmarszczył czoło, przez co jeszcze bardziej przypominał wystraszonego gryzonia. - Jestem w kropce, milordzie.

- Czy ona zawsze gra w to samo?

- Nie. Najbardziej chyba lubi pikietę, ale widziałem ją też przy wiście i ekarte. Siada do gry tam, gdzie są najwyższe stawki. To samo powtarza się co wieczór.

- Do kaduka! - zaklął March. - Najchętniej ściągnąłbym ją do Górnych Sal, a jeszcze lepiej zagrał z nią osobiście. Przypuszczam jednak, że wtedy bardzo by uważała, żeby przegrać, i znowu niczego bym się nie dowiedział. - Westchnął ciężko. - Do kaduka - powtórzył ciszej i znacznie mniej energicznie.

Kilka wieczorów później March poszedł w towarzystwie ciotki i Alison na kameralną kolację do sąsiadów. Po powrocie do domu Alison pośpiesznie bąknęła „dobranoc” i uciekła do siebie na górę, zanim March zdążył zaproponować kieliszek wina przed snem.

- Boże wielki - odezwała się na to ciotka. - Alison jest dzisiaj jakaś wystraszona. Coś ty jej zrobił?

- Ja? - zdziwił się March starając się, by było słychać jego oburzenie.

- Musiałeś coś zrobić - stwierdziła ciotka. - Przez cały wieczór nie powiedziała do ciebie ani słowa. A już miałam nadzieję, że się zaprzyjaźniliście mimo złego początku. Bo jak tu przyjechałeś, nie odnosiłeś się do niej uprzejmie.

- Nie. - Zaprzyjaźnili się, też coś! March roześmiałyby się głośno, gdyby nie to, że czuł wyjątkowo pilną potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkich uraz i złości. Zaprowadził więc lady Edith do biblioteki, gdzie na kominku strzelały płomyki ognia. Ulokował ciotkę na pasiastej sofce, a sam usiadł obok.

- Ciociu - zaczął z wahaniem - chyba już się domyśliłaś, że Przyjechałem zniemacka do Bath po to, by dowiedzieć się jak najwięcej o Alison Fox. Eleanor jest zdania...

- Dobrze wiem, jakiego zdania jest Eleanor. Naturalnie wiem również, po co przyjechałeś, byłam jednak pewna, że jak poznasz Alison, to zaczniesz w niej widzieć miłą, serdeczną, młodą kobietę, która jest mi szczerze oddana, tak samo jak ja jej.

- No, cóż - odparł wolno March. - Miałaś rację. Już byłem przekonany, że panna Fox istotnie jest, tak jak się zdaje, dobrze wychowaną, skromną damą do towarzystwa. Teraz jednak... - Znów się zawahał, niezdecydowany, ile ze swej wiedzy powinien ujawnić przed starszą panią, którą darzył szczerym uczuciem. - Moją uwagę zwróciły pewne fakty...

- Fakty? - Lady Edith gwałtownie wyprostowała się na sofce. - Jakie fakty? Co ty znowu za głupstwa opowiadasz, March? Jeżeli zamierzasz...

Ciotka zdradzała coraz wyraźniejsze oznaki wzburzenia, March szybko dotknął jej dłoni.

- Nie opowiadam głupstw, ciociu - powiedział łagodnie. - Ale jeszcze nie mogę ci wyjawić, czego się dowiedziałem. Chcę tylko przygotować cię na wiadomość, że panna Fox... nie jest wcale osobą, za jaką chce uchodzić.

- Brednie! - wykrzyknęła ciotka Edith. - Wciąż próbujesz mnie z nią rozdzielić, tak? - Głos jej drżał. Gniewnym ruchem wyszarpnęła dłoń z ręki bratanka. - Więc wiedz, Anthony, że nic z tego, co możesz mi powiedzieć, nie zmniejszy mojej sympatii dla Alison ani na jotę.

Przypominając sobie ten katastrofalny epizod, March wydał bolesne westchnienie. Pokręcił głową. Kiedy to się skończy? Z ciężkim sercem znów sięgnął po stojącą obok karafkę.

Alison wykonała ostatni obrót przed lustrem, by jeszcze raz przyjrzeć się spódnicy amazonki z merynosowej wełny. Wiedziała, że w ciemnej purpurze jest jej do twarzy. Strój uważała zresztą za dość śmiały i nigdy w życiu by go nie kupiła, gdyby nie namowy lady Edith.

- W rzeczy samej, kochaneńka - przyznała starsza pani - jest bardzo oryginalny. Z tymi wojskowymi szamerunkami nawet zawadiacki. Będziesz w nim pięknie wyglądać. Kup go.

Alison poprawiła obcisły zakiet i wygładziła na biodrach doskonale skrojoną spódnicę. Okrywszy lśniąca ciemne kędziory kapeluszem stylizowanym na czako, musnęła przystrajające go pióro, tak by ułożyło się na policzku.

Znieruchomiła przed lustrem i raz jeszcze w nie zerknęła, choć wiedziała, że już czekają na nią na dole. Ponieważ na śniadaniu miał być lord Marchford, postanowiła zadowolić się grzanką oraz herbatą u siebie w sypialni. Mnóstwo czasu spędziła na bezcelowych wędrówkach po pokoju, nie mogła bowiem oderwać myśli od tego uprzykrzonego dżentelmena. Jak mogłam się w nim zakochać? - zastanawiała się z rozpaczą chyba setny raz. Człowiek rzadko darzy uczuciem kogoś, kto życzy mu jak najgorzej. Z drugiej jednak strony, jak mogła się w nim nie zakochać? Był arogancki, to prawda, i dość sztywny w swoich poglądach, ale stanowił wcielenie jej marzeń o mężczyźnie, z którym chciałaby spędzić życie. Na każdym kroku emanowała z niego siła, a mimo to wobec bliskich potrafił być delikatny i czuły. Jego arogancję równoważyło poczucie humoru. Umiał nawet spojrzeć z dystansu na siebie samego. Był inteligentny, lecz nie bufonowaty, i traktował ją jak człowieka, a nie jak służącą

ciotki. Naturalnie miał też hipnotyzujące piwne oczy i uśmiech, od którego ugiwały się Pod nią nogi.

Drgnęła. Nie miało znaczenia, dlaczego się zakochała. Ważne było, żeby jeszcze przez kilka dni zachowywać się Wobec Marchforda uprzejmie, lecz obojętnie. Wkrótce hrabia z pewnością wyjedzie i wtedy będzie mogła robić wszystko, aby o nim zapomnieć. Nie wątpiła, że kiedyś wreszcie nadejdzie dzień, gdy nie będzie dłużej czuła, iż w jej życiu czegoś brak tylko dlatego, że nie ma obok niej Marcha. W końcu jej ramiona zapomną, jak go obejmowały, a wargi przestaną tęsknić do pocałunku.

Och, dość tego, na miłość boską! Poprawiła jeszcze pióro przy nakryciu głowy i wybiegła z pokoju. U podnóża schodów nie mogła już złapać tchu, sapnęła więc przepraszająco, gdy znieścacka wpadła na wysokiego, szczupłego mężczyznę. Podniosła głowę i omal nie przewróciła się z wrażenia.

- Jack! Co pan tu robi?

- Ojej, nie powiedziałam ci? - Meg zerknęła na Alison z głębi hallu. - Wczoraj przypadkiem spotkałam pana Crawforda. Kiedy usłyszał, że wybieramy się na wycieczkę, zgodził się do nas przyłączyć. Czy to nie cudowne? - Jej mina zdradzała szczerą radość.

- Cudowne - wycedziła Alison przez zaciśnięte zęby. W tej chwili z salonu wyłonił się hrabia. Z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że on też niezmiernie się cieszy widząc Jacka.

Prawdę mówiąc, March był bliski furii. Słyszał wprawdzie zachwycone gruchanie Meg, podejrzewał jednak, że to Alison ściągnęła Crawforda na Royal Crescent.

Stał i przyglądał się, jak Alison rozmawia z Meg i Crawfordem. Ku swej irytacji, natychmiast zauważył jej efektowny ubiór. Miał wielką ochotę wziąć ją w ramiona, wciąż bowiem dobrze pamiętał, co czuł, gdy ją obejmował. Szybko się odwrócił, żeby nic po sobie nie pokazać.

W tej samej chwili energiczne pukanie do drzwi oznajmiło, że przybyli następni uczestnicy wycieczki. Gdy mniej więcej w godzinę później wszyscy wyjechali poza granice Bath, towarzystwo sprawiało wrażenie bardzo ożywionego, z dwoma tylko wyjątkami. Gdy ktoś wreszcie spostrzegł srebrną wstęgę rzeki Avon, wszyscy puścili konie galopem po łagodnym, porośniętym trawą zboczu, opadającym ku wodzie.

- Znakomicie jeździsz konno, panno Fox.

Alison, która przyłączyła się do beztróskiego galopu przez łąkę, omal nie puściła cugli, usłyszawszy ten głos tuż przy swoim ramieniu.

- A ciotka dała ci znakomitą klacz. - Nie było w tych słowach żadnego szczególnego zabarwienia, mimo to Alison natychmiast powściągnęła wierzchowca.

- To prawda. Caprice jest wspaniała. Reaguje na najdrobniejszy gest. Bardzo lubię jej dosiadać, gdy tylko mogę.

- Gdy tylko wykroi pani kilka minut ze swego bardzo szczerze wypełnionego planu zajęć - Tym razem z głosu Marcha biła ironia.

- Istotnie, milordzie, jestem bardzo zajęta. Mam wiele obowiązków, na przykład dziś wzięłam pod opiekę lady Meg z przyjaciółmi. Proszę więc mi wybaczyć... - Energicznie ścisnęła boki klaczy i zrównała się z Meg, jadącą obok Jacka Crawforda. Byli tak pochłonięci rozmową, że Meg aż drgnęła na jej widok.

- Ojej, Alison... - powiedziała z zakłopotaniem. - Właśnie rozmawialiśmy z Ja... z panem Crawfordem o moim londyńskim sezonie.

- Naprawdę? - Ton Alison nie był przyjazny.

- W rzeczy samej. - Jack popatrzył na Alison i uśmiechnął się drwiąco. - Właśnie opowiadałem lady Meg o różnych młodych ludziach, których zapewne tam spotka. Z pewnością będą bez umiaru przysyłać jej kwiaty i wiersze - dodał szelmowsko.

Meg splonęła rumieńcem, a Alison poczuła, jak ogarnia ją irytacja. Przesłała uroczy uśmiech panu Peterowi Davenishowi, który jechał kilka metrów przed nimi z Sally Pargeter. Nadzieja jej nie zawiodła. Młodzi ludzie zwolnili, wkrótce zaś Peter wyzwał obie koleżanki i cała trójka rozpoczęła gonitwę. Alison Ostała sam na sam z Jackiem.

- Och, ci młodzi - powiedział Jack, czarując ją uśmiechem. Alison pozostała niewzruszona.

- Prosiłam, żeby pan zostawił Meg w spokoju - oznajmiła stanowczo.

Uśmiech Jacka nie stopniał ani odrobinę.

- Nie wiem, o czym pani mówi, Alison. Po prostu z nią gawędziłem. Proszę mi wierzyć, że nie interesują mnie nieopierzone podlotki. Wolę kobiety... z pewnym doświadczeniem.

Błysk w jego oczach był taki znaczący, że Alison natychmiast powściągnęła klacz. Machinalnie rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że March znajduje się dość daleko przed nią. Śmiał się z czegoś wespół z młodym Jamesem Holiwellem i nie zwracał uwagi na nią ani na Jacka.

W tym przeświadczeniu Alison głęboko się myliła. Przez cały czas wycieczki March starannie ją obserwował. Nic dziwnego, że już od kilku minut zupełnie nie interesował się czczą gadaniną młodego człowieka jadącego obok. Co, do diabła, znowu knuje ten farbowany lis? Boże, popatrz z nieba. Crawford śmieje się z tą swoją ładacznicą jakby nigdy nic, choć zostawiają za sobą zniszczenie i ból. Czerwona mgła przysłoniła oczy Marcha, gdy ujrzał, jak Jack unosi rękę i przesuwa ją po piórze Alison, a potem zatrzymuje dłoń, rozkoszując się gładkością

jej policzka. Dałby wiele, żeby galopem zbliżyć się do nich, wysadzić tę kanalię z siodła i roznieść go na strzępki.

Jack, niech pan przestanie! - Alison wzdrygnęła się.

- Coś jesteś drażliwa dzisiaj rano, moja miła - odparł Jack i smutno wykrzywił wargi. W oczach jednakże wciąż miał figlarne błyski. - Niech pani zrozumie, że usiłuję po prostu okazać, co czuję.

- Niech pan nie próbuje mnie czarować - odburknęła Alison. - Jestem ostatnią osobą na świecie, która da się nabrać na pańskie czułe słówka. Ruszamy. Reszta towarzystwa nas wyprzedziła. Jack przytrzymał jej klacz za uzdę.

- Nie tak szybko, skowroneczku. Mogę już dziś nie mieć drugiej okazji być z tobą sam na sam, a chcę ci powiedzieć coś ważnego.

- No, więc?

- Och, jak pani mi to utrudnia. Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem powinniśmy się pobrać.

Alison wytrzeszczyła oczy i przez dłuższą chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

15

Czy pan oszalał, Jack! - wybuchnęła w końcu Alison.

Tylko się roześmiał.

- Przeciwnie. Myślę, że małżeństwo z panią jest dla mnie wyjątkowo korzystnym rozwiązaniem.

Alison wreszcie złapała oddech. Jack najwyraźniej znowu stroił sobie niesmaczne żarty.

- Moim zdaniem byłoby to wyjątkowo głupie i z pańskiego, i z mojego punktu widzenia - odparła oschle. - Nie mam ochoty więcej pana oglądać, a co dopiero mówić o spędzaniu z panem reszty życia.

- Lepiej niech się pani zastanowi. - Jack nie dawał się zniechęcić. - Ma pani prawdziwy talent, który stanowczo za długo był nie wykorzystany. Ze mną u boku będzie pani miała wstęp do wszystkich domów gry w tym kraju. Zbijemy fortunę.

Alison roześmiała się niepewnie.

- Niech pan nie żartuje, Jack. Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że zaczął mnie darzyć uczuciem.

- Nie, chociaż nie jestem pewien, czy kiedyś się w tobie nie zakocham, bo jesteś doprawdy czarująca. Ale mówię całkiem poważnie. - Nagle przestał się uśmiechać i zmrużył oczy. Alison poczuła ciarki biegnące jej po plecach. Jack podjechał bliżej. - Alison, niech pani posłucha. Potrzebuję więcej pieniędzy. Niedużo, jeszcze tylko niecałe sto funtów - dodał szybko, słysząc budzący się sprzeciw. - Podszepnięto mi pewniaka na wyścigach. Okazało się, niestety, że pewniak wcale nie był pewny. - Roześmiał się beztrząsco. - Pomyślałem, że mogłaby pani jeszcze trochę dla mnie wygrać. Żebym miał co postawić na początek.

- Nie mam zamiaru wygrać dla pana złamanego pensa, więc niech pan nawet o tym nie myśli - syknęła przez zęby. - Nie rozumie pan, Jack? Nie chcę mieć z panem nic wspólnego. Jest pan nałogowym graczem. Drugiego takiego hazardzisty jeszcze nie widziałam. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że mamie pan skończy. Ale nie dam się pociągnąć do ryzostoka. Proszę mnie zostawić w spokoju! Na zawsze!

Przez całą tę tyradę Jack nie odrywał od niej wzroku. Gdy zamilkła na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, chwycił ją za rękę i brutalnie nią potrząsnął. Przedtem jednak rozejrzał się ostrożnie, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie widzi.

- Zapomniała pani, że trzymam ją w garści? - Spojrzał znacząco w stronę lorda Marchforda, który znajdował się już w sporym oddaleniu. Jack nagle złagodniał i znów spojrzał jej w oczy. - Naprawdę nie chcę cię zmuszać, skowroneczku, ale nie mam wyboru. Bo rozumiesz... - Zawahał się, jakby nie był Pewien dalszego ciągu. - Powiedziałem ci, że przyjechałem cię odszukać. Nie powiedziałem jednak, że wybrałem się w tę Podróż na życzenie... no, pewnych ludzi w Londynie, o których ci wspominałem. Prawdę mówiąc, bardzo natarczywie domagali się ode mnie pieniędzy i dopiero gdy im wyjaśniłem, że mam, by tak rzec, asa w rękawie, pozwolili mi na trochę swobody. Przejazdkę do Bath. Giles Morganton, u którego tu mieszkam, jest w bardzo dobrej komitywie z kilkoma wpływowymi ludźmi londyńskiego świata przestępczego. Zrobiłaś na nim duże kaźenie szybkością, z jaką zdobyłaś pieniądze, o które cię poprosiłem. Podzielił się tą wiadomością z przyjaciółmi i teraz... ci ludzie chcą nawiązać z tobą stałą współpracę. Jeśli im tego nie załatwię, będą ze mnie bardzo niezadowoleni.

Alison miała wrażenie, że miły kwietniowy dzień zamienił się nagle w listopadową szarugę.

- Pan nie żartuje, prawda? - spytała tyleż zdumiona, co przerażona. Gdy Jack nie odpowiedział, tylko nadal wpatrywał się w nią posepnym wzrokiem, wyprostowała się w siodle i odjechała kawalek. - Ten pomysł jest szalony, Jack. Niech pan o tym nawet nie myśli. Nie pojedę z panem do Londynu ani jako żona, ani w żadnym innym charakterze. I nie zmusi mnie pan do tego nawet grożąc mi lordem Marchfordem. Wolę mu wszystko wyznać, niż znaleźć się w niewoli pana i pańskich nikczemnych kompanów.

Spojrzała mu prosto w oczy, choć nie czuła się w najmniejszym stopniu taka pewna siebie, jak można by sądzić po jej słowach. Jack miał bardzo powątpiewającą minę, ale pierwszy odwrócił głowę. Westchnął ciężko.

- Dam pani kilka dni do namysłu, Alison. Tymczasem chcę, żeby pani co nieco dla mnie wygrała. Bo jeśli nie - ciągnął, przyglądając się, jak jej oczy płoną gniewem - to opowiem wszystko Marchfordowi już teraz.

Po dłuższej chwili Alison skinęła głową. Słuchając wynurzeń Jacka uświadomiła sobie z zastraszającą jasnością,

że lady Edith miała rację. Trzymanie wszystkiego w tajemnicy przed lordem Marchfordem było katastrofalnym błędem. Należało powiedzieć mu prawdę już dawno. Poczula nerwowe ściskanie w dołku. Może uwierzyły w jej niewinność, gdyby poszła do niego wtedy, gdy lady Edith jej radziła. Czy już jest na to za późno? Ach, czemu Jack przyjechał do Bath i zmusił ją, by znów usiadła do gry? Teraz lord Marchford za nic jej nie uwierzy. Tak czy owak, postanowiła mu jednak powiedzieć prawdę. Należało tylko starannie wybrać odpowiednią chwilę. Tymczasem nie mogła ryzykować.

- Niech będzie - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Ale to jest ostatni raz, Jack. I niech pan wie, że przez te kilka dni nie zmienię zdania w sprawie wyjazdu do Londynu. Nie ucieknę z panem.

- Zobaczymy. - Jack kpiącym gestem uniósł dłoń do ronda kapelusza, popuścił koniowi cugli i wydłużonym klusem popędził do młodszych uczestników wycieczki, którzy zatrzymali się na wzgórzu, żeby nacieszyć się widokiem na Avon.

Wieczorem, rozmyślając o minionym dniu, Alison uświadomiła sobie, że pamięć wydarzeń kończy jej się na rozmowie z Jackiem. Zdawała sobie sprawę z tego, że w Oaks, posiadłości z urokliwym dworem Tudorów, grała z Peterem w badminton. Lunch we wsi Step Walford był jak szara plama, podobnie jak powrót do Bath wśród okrzyków i dokazywania młodzieży. Na szczęście przez większą część wycieczki udało jej się utrzymać lorda Marchforda z dala od siebie. Udało jej się także uniknąć dalszych rozmów z Jackiem.

Następny dzień minął bez wydarzeń, po kolacji jednakże lady Edith pod wpływem nagłego kaprysu postanowiła wybrać się do Górnych Sal Asamblowych. Alison zajęła więc stanowisko przed lustrem, by przed wyjściem ocenić swój wygląd. Z ponurą satysfakcją stwierdziła, że nie widać po niej ostatnich trosk. Ciemnoróżowa suknia, zestawiona z jaśniejszą w odcieniu siatkową tuniką, nadawała jej policzkom złudny rumieniec, oczy zaś błyszczały od cisnących się do nich łez.

Hrabia, naturalnie, miał iść razem z nimi. Boże, czy ten człowiek w ogóle nie prowadzi życia towarzyskiego na własną rękę? - pomyślała z rozpaczą. Zaraz jednak oddaliła tę Wyjątkowo niechlebną myśl; wszak hrabia przyjechał do Bath specjalnie po to, by poświęcić swój czas ciotce.

Westchnęła. Nabrała już wprawy w odgrywanie roli osoby nie rzucającej się w oczy. Zamierzała spędzić większość czasu w sali karcianej. Znowu.

Na jej nieszczęście tego wieczoru lord Marchford okazał się wyjątkowo trudny do zgubienia. We fraku prosto spod igły prezentował się znakomicie. Natychmiast gdy weszli do ośmiokątnej sali, z której wchodziło się do pozostałych pomieszczeń, ujął jej dłoń i w obecności lady Edith poprosił ją do tańca. Prośbę swą wyraził tak dworsko, że nie potrafiła mu odmówić. Ale gdy zacisnął dłoń na jej palcach i wyprowadził ją na parkiet, całkiem zatraciła spokój ducha.

- Czy podobało się pani wczoraj na wycieczce? - Alison obawiała się, że to pytanie, choć brzmiało całkiem zwyczajnie, zostało zadane z ukrytym celem, którego nie chciała zgłębiać. Znowu wyraźnie czuła ciepło dłoni podtrzymującej ją w talii, a bliskość warg Marcha przyprawiała ją o mocniejsze bicie serca.

- Wycieczka? Ach, było bardzo przyjemnie - odpowiedziała cicho.

- Miałaś, pani, okazję odnowić znajomość z panem Crawfordem.

- Słucham... słucham? - Serce zaczęło jej bić stokrotnie szybciej niż dotąd.

- Zauważyłem, że w drodze do Oaks rozmawialiście dłuższy czas.

- Ach, tak. - Wreszcie odważyła się na niego spojrzeć. W oczach miała nieufność. - Zamieniliśmy kilka zdań. Nic ważnego, zapewniam cię, milordzie.

- Nie musisz mnie o niczym zapewniać, panno Fox.

March spojrzał prosto w jej niebieskie oczy, zobaczył jednak tylko spuszczone powieki. Zastanawiał się, co chciał osiągnąć tym napomknięciem. Wprawić ją w zakłopotanie? Jeśli tak, to udało mu się perfekcyjnie. Ale nie. Wstrząsnęła nim nagle konstatacja, że chciał wymusić na niej przyznanie się do zdrady. Chciał, żeby wyjaśniła mu, dlaczego uwzięła się właśnie na jego rodzinę. Oczekiwał, że... że co? Że go przeprosi? Pociśny pomysł. Nawet gdyby wyznała przed nim niektóre swoje występki, albo i wszystkie, to co miałyby na swoją obronę?

Gdzieś głęboko w nim tkwił ból, który objawiał się poczuciem utraty czegoś bardzo cennego. Gdyby tylko...

Marchford wyprostował się nagle, bo muzyka ucichła. Alison mruknęła coś niewyraźnie i odwróciła się w stronę drzwi do sali karcianej. Żwawo podążył jej śladem. Udało mu się wejść do pomieszczenia tuż za nią. Alison usiadła przy jednym ze stolików, zaproszona przez dwoje znajomych. March skwapliwie zajął ostatnie wolne krzesło.

Tylko tego brakowało, pomyślała z niechęcią Alison. W obecności lorda Marchforda po prostu nie wolno jej było grać dobrze. Zdawało jej się, że pochwyciła jego znaczące spojrzenie, choć być może podsunęła jej ten pomysł wyobraźnia. Boże, chyba nie słyszał o zniszczeniu, jakie siała w innych miejscowych domach gry. Nie mógł słyszeć. Przecież chodziła tam w przebraniu i pod fałszywym nazwiskiem.

March udawał sennego, spod przymkniętych powiek bacznie ją jednak obserwował. Czy spróbuje na nim swoich zdolności? Czy ulegnie pokusie uszczenięcia jego bogactwa, mimo że najpierw ciężko napracowała się, by przekonać go o swym całkowitym braku obycia z kartami? Nie. Z gorzką satysfakcją stwierdził, że przecucie go nie omyliło. Alison znów zamierzała udawać dyletantkę. Wystarczyło na nią popatrzeć, by się o tym przekonać. W

oczach miała popłoch, ręce z kartami lekko jej drżały. Zachowywała się jak dziecko, któremu pozwolono usiąść do obiadu z dorosłymi. Zalała go fala goryczy. Wkrótce Alison zostanie zdemaskowana i nie będzie już mogła utrzymywać się z gry w karty, a wtedy być może pomyśli o karierze scenicznej.

Gra toczyła się w rwanym rytmie, Alison popełniała bowiem błąd za błędem i za każdym razem gorąco przepraszała partnera. Gdy March siedzi przy tym samym stoliku, udawanie ignorantki nie jest trudne, pomyślała żałośnie.

- Ojej! - zachnęła się, wyszła bowiem w kiera i straciła lewę do George'a Malthama, jednego z pozostałych graczy. Zwróciła się do hrabiego. - Byłam pewna, że to ty masz króla, panie.

Maltham gniewnie parsknął.

- Nie widziałas, pani, wcześniej, jak grałem króla kier?

- Ojej, nie. Tak było? - Zerknęła przestraszona na pana Malthama, a potem na hrabiego. - Znowu się wygłupiłam. Bardzo przepraszam. Ale wiecie, panowie, jak to ze mną jest.

- O, tak, panno Fox. Znakomicie wiem - chłodno odparł hrabia, co pana Maltham skwitował pogardliwym śmieszkiem. - Ale nie przejmuj się, George - ciągnął. - Nie wszyscy mogą być mistrzami. Miej trochę względów dla uczuć panny Fox.

Alison, która po jego pierwszych słowach zdrętwiała, podczas przemowy do pana Malthama nieco odzyskała równowagę. Powtarzała sobie, że musi zapanować nad tym śmiesznym drżeniem, o które przyprawia ją każda, nawet najniewinniejsza uwaga hrabiego. Marchford nie umie czytać w myślach, a zatem z pewnością nie wie o jej maskaradzie.

Ta myśl nie pocieszyła jej jednak, więc gdy gra dobiegła końca i dwoje pozostałych graczy poszło coś przekąsić, z wielką ulgą wstała od stolika. Niestety, po następnych słowach Marcha znów żołądek podszedł jej do gardła. Stopniowo przyzwyczajała się już do tego stanu.

- Tak miło nam się grało, panno Fox, że szkoda byłoby już kończyć. Chciałbym zagrać z tobą w pikietę.

- Nie mam ochoty, milordzie - odparła lekko drżącym głosem. - Zmęczyła mnie gra w karty.

- O ile wiem, ostatnio dobrze się przy tym bawiłaś, pani. Czy to możliwe, żebyś po prostu nie chciała zagrać ze mną?

Alison bała się, że zaraz rozstąpi się pod nią ziemia.

- Co za pomysł, milordzie. - Wiedziała, że jej śmiech zabrzmiał fałszywie, więc szybko dodała: - Chciałam ci tylko dać szansę poszukania bardziej wprawnego partnera. Musisz przyznać, panie, że nietrudno ze mną wygrać.

March uśmiechnął się. Alison miała tak skołatane nerwy, że widziała w jego twarzy tylko błyszczące oczy i ostre zęby.

- Proszę pozwolić, że sam osądzę, panno Fox. - Skinął dłonią na przechodzącego służącego i zażądał talii do pikiety. Alison opadła z powrotem na krzesło, czując się jak chrześcijański męczennik w Rzymie, stający oko w oko z wielkim, wspaniałym i bardzo wygodzonym lwem.

- Jeśli nie masz, pani, nic przeciwko temu, ustalmy symboliczne stawki, żeby nie groziło nam bankructwo. Powiedzmy po pensie za punkt.

Drętwo skinęła głową. March obojętnie zaczął rozdawać karty, a ona, podnosząc je, starała się za wszelką cenę zapanować nad drżeniem rąk. Bezmyślnie odłożyła pięć kart i dobrała pięć nowych.

- Tak źle rozdałem pani zdaniem? - spytał ze śmiechem March.

- Okropnie - odparła zadowolona, że nareszcie jej głos brzmi całkiem pewnie. - Czuję się strasznie oszukana. - Zobaczyła, że March wymienia tylko jedną kartę. - Tobie, panie, idzie wyraźnie lepiej. A co gorsza - pokazała mu karty i odkryła te, które przedtem odłożyła - nie widzę u siebie ani jednej twarzy. *Carte blanche*.

- Och, co za bieda. No, ale przynajmniej dostaniesz, pani, dziesięć punktów rekompensaty ze tego pecha, choć cię to, naturalnie, nie uratuje. - Podkreślił wymaginowany wąsik i wydał złowrogi pomruk.

Ta żartobliwa scenka pomogła jej trochę się odprężyć, Alison nie była jednak w stanie nastroić się na ten sam ton. Sztucznie zachichotała i skupiła wzrok na kartach.

Następna godzina ciągnęła się bez końca. Alison pamiętała, że March widział ostatnio co najmniej dwukrotnie, jak wygrała spore sumy, próbowała więc zrehabilitować się za pikietę przy grze w wista. Przekonała się jednak, że choć stara się jak umie, przeciwnik nieustannie wygrywa. Nie dociekała, czy jest to zasługa jego niezaprzeczalnych umiejętności, czy skutek jej niezdolności do skupienia się na cokolwiek oprócz złościstego spojrzenia i drapieżnego uśmiechu przeciwnika.

- Pobiliś mnie na wszystkich frontach, milordzie! - oznajmiła w końcu, gdy Marchford położył na stosiku przed sobą ostatnią jej monetę. - Chciałabym napić się czegoś zimnego. - Znowu wstała od stolika, tym razem zdecydowana nie pozwolić się wciągnąć w kolejną partię. Marchford zresztą nie próbował jej namawiać. Zapropował tylko swoje towarzystwo w drodze do sali obok. Tam spotkali lady Edith. March wypił z paniami filiżankę chińskiej herbaty, po czym oddalił się ku grupie znajomych kierujących się właśnie do wyjścia.

- Chyba nie najlepiej się bawisz, moja kochana - stwierdziła lady Edith. - Nie widziałam, żebyś dzisiaj tańczyła.

- Nie tańczyłam. Byłam w sali karcianej. - Gdy okazało się, że Alison nie zamierza powiedzieć nic więcej, starsza pani z niepokojem skupiła wzrok na jej twarzy. - Co ci jest? Czy coś cię dręczy?

- Nic takiego. Zagrałam kilka partii pikiety z twoim bratankiem, pani, i...

- Więcej nie musisz mi mówić - przerwała jej dość surowo lady Edith. - Wciąż się go boisz, prawda?

- Nie. Naprawdę. Boję się tylko jego potępienia, bo postanowiłam skorzystać z twojej rady, pani.

- Zamierzasz opowiedzieć mu o Lissie Reynard? - spytała chlebobawczyni, bardzo tym zdziwiona.

- Tak. Miałaś, pani, rację. Powinnam była zrobić to już dawno. Muszę jednakże... O Boże! - Alison zerknęła w drugi koniec sali i wpadła w popłoch. - To Jack. Nie wiedziałam, że tu przyjdzie dziś wieczorem.

- Hm... - Lady Edith chrząknęła. - O ile wiem, jest tu zawsze, gdy tylko drzwi do Sal Asamblowych są otwarte. Sądzę, że chce z tobą porozmawiać. Przejdziemy do innej sali?

- Nie. - Alison westchnęła. - Jego nie można w ten sposób zniechęcić. Pójdę z nim porozmawiać i zaraz wrócę. - Upewniwszy się, że nigdzie w okolicy nie widać lorda Marchforda, Alison zbliżyła się do Jacka, który natychmiast zaciągnął ją do kąta.

- Widzę, pani, że ciężko pracujesz - powiedział, uśmiechając się swobodnie. - Czy masz coś dla mnie? - Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Niestety nie, Jack - odparła chłodno. - Przegrałam wszystkie pieniądze, z którymi tu przyszedłam.

- Jak to możliwe? Widziałem panią z lordem Marchfordem, a on zawsze gra wysoko.

- Nie dzisiaj. Graliśmy po pensie i przegrałam.

Jack skrzywił usta jak zawiedzione dziecko.

- Nie możemy stracić takiej okazji, Alison.

- My? - spytała lodowatym tonem. Miała ochotę rozorać mu twarz paznokciami, które boleśnie wbijały jej się w zaciśniętą dłoń.

Jack miał dość przyzwoitości, by się zarumienić, zaraz jednak znów się odezwał.

- Ale nie o tym chciałem z panią porozmawiać. W gruncie i rzeczy przyszedłem pani pomóc.

- Najlepiej by mi pan pomógł, gdyby pan jutro z samego rana opuścił Bath i nigdy już tu nie wrócił.

Potraktował to stwierdzenie jak żart; roześmiał się.

- Schowaj swoje śliczne pazurki, kociątko. Mam dla ciebie Prezent. - Z kieszeni kamizelki wyjął aksamitną sakiewkę, a z niej talię kart. Alison patrzyła na niego oszołomiona.

- Nie potrzebuję kart. Są pod ręką wszędzie, gdzie chodzę grać.

- Och, nie takie. - Ujął ją za rękę i zacisnął jej palce na talii. To karty wyjątkowe. Zapewniają wygraną w każdym rozdaniu.

Alison jak oparzona wyszarpnęła dłoń z uścisku Jacka. Talia upadła na podłogę.

- Jack, czy to są...

Schylił się i podniósł karty.

- Tak. Znaczone. Chcę, pani, żebyś ich od dziś używała. Tylko popatrz! - kontynuował z entuzjazmem, podczas gdy Alison wpatrywała się w niego strwożonymi oczyma. - Jeśli nie wiesz, na co zwrócić uwagę, nigdy nie zauważysz znaków. Przyjrzyj się koszulkom! W lewym górnym rogu mają mniej intensywny kolor. Od razu widzisz, co kto ma na ręce.

- Nie, Jack. - Alison z trudem oddychała. - Nie będę używać tych kart. Boże, czy nie została panu ani odrobina przyzwoitości? Radzę sobie wystarczająco dobrze dzięki zdolnościom, które dostałam z woli bożej, choć nie wiem, czemu Bóg obarczył mnie czymś tak kłopotliwym! - wykrzyknęła, poddając się hysterii. Z najwyższym wysiłkiem zdołała się opanować. - Spełniłam wszystkie pańskie żądania, ale oszukiwać dla pana nie będę.

- Moja miła, po co tyle hałasu? Przecież nie każe pani na nikogo napadać z bronią w rękę. Niech się pani rozejrzy dookoła. Ci ludzie we wszystko opływają. Nawet nie zauważą tych drobnych sum, które im odbierzemy. - Rozbiegane oczy płonęły mu żądzą. - Wkrótce będziemy bogaci, Alison. Bardzo, bardzo bogaci.

- Nie zrobię tego, Jack. Niech pan wie, że... - Ale Jack tylko pokręcił głową i poklepał ją po dłoniach jak niesforne dziecko. Alison wiedziała, że nie może sobie pozwolić na kłótnię w publicznym miejscu, wzięła więc od niego talię i wsunęła ją do torebki.

- Dobrej nocy, Jack. - Odwróciła się i szybko wyszła z sali.

March przyglądał się tej scenie z galerii i patrzył śladem Alison jeszcze długo po tym, jak znikła w drzwiach. Gdy w końcu zaczął się przeciskać przez tłum ludzi, którzy przyszedli do Sal Asamblowych w poszukiwaniu rozrywki, szedł przygarbiony, jakby wziął na ramiona wielki ciężar.

Wkrótce dołączył do ciotki Edith i Alison w sali balowej. Starsza pani oświadczyła, że jest już zmęczona wieczornymi przyjemnościami i poprosiła, żeby odprowadzić ją do domu. Gdy tylko dotarli we troje na Royal Crescent, Alison powiedziała „dobranoc” lady Edith i hrabiemu, tłumacząc się bólem głowy, tym razem prawdziwym. Przed wejściem na schody zerknęła jeszcze w stronę Marcha, pochwyliła jego spojrzenie i omal nie krzyknęła widząc, ile bólu i goryczy jest w jego oczach. Co go tak przygnębiło? - zastanawiała się ponuro w drodze do sypialni. Czy tak będzie wyglądał March, gdy usłyszy o jej zdradzie? Z ciężkim sercem rozebrała się i położyła do łóżka. Sen jednak nie nadchodził, toteż długo jeszcze wpatrywała się w sufit.

Tymczasem w sieni lady Edith z niepokojem spojrzała w twarz bratankowi.

- Dobrze się czujesz, March? - spytała. - Wyglądasz...

March uśmiechnął się, ale niezbyt przekonująco.

- Jestem trochę zmęczony, ciociu. Widocznie się starzeję, skoro kilka dłuższych wieczorów tak się na mnie odbija.

- Ojej. Alison też była dzisiaj nie w sosie. Może oboje nabawiliście się jakiejś choroby.

- To możliwe - odparł oschle.

Lady Edith przeszła go spojrzeniem.

- Nadal jej nie ufasz, prawda?

March westchnął.

- Obawiam się, że nie mogę, ciociu. - Lady Edith przybrała groźną pozę. - Nie powiem ci dziś nic więcej na ten temat, ale... Na twoim miejscu byłbym przygotowany, że wkrótce usłyszę dość przykre nowiny o tej kobiecie.

Uchylił kapelusza i wyszedł za próg, nim ciotka zdążyła mu cokolwiek odpowiedzieć. Idąc po Royal Crescent odwrócił się i zauważył świece płonące w oknie jednej z sypialni. Wiedział, że nie jest to pokój ciotki. Czyżby Alison jeszcze nie spała? Uśmiechnął się posępnie. Ciekawe, czy jej rozmyślania są tak samo mroczne jak jego.

Nieoczekiwanie zobaczył przed oczami obraz Alison w negliżu, z czarną chmurą włosów opadających jej na ramiona. Chciał... Boże, chciał znaleźć się w tamtym pokoju i przyciągnąć ją do siebie, ukryć twarz w tych smolistych, miękkich jak jedwab włosach. Zdawało mu się, że czuje dotyk jej giętkiego ciała, tonie w kobaltowym błękicie oczu.

Skrzywił się z goryczą. Zapewne nie był pierwszym mężczyzną, który pozwolił się uwieść wdziękom tej przewrotnej kusicielki. To prawdziwe nieszczęście, że mężczyźni są wrażliwi na kształt piersi i zniewalający urok wyrazistych oczu.

Przystanął. Nie mógł znieść tej udręki. Boże, przecież to nie płynny ruch bioder i nie gładkość skóry tak go pociągały w tej kobiecie. Znacznie ważniejsze wydawały mu się ciepły uśmiech, humor i inteligencja, a także trudne do nazwania poczucie, że wszystko jest na swoim miejscu, kiedy jej towarzyszy, oraz poczucie straty, gdy znajduje się daleko. Wszystko to miał już zapisane w sercu, a wyglądało na to, że i w duszy.

Paruszył się śmiechem, bynajmniej nie z radości. Jakim był głupcem! Chwila, na którą tak długo czekał, nadchodziła, ale Jego triumf już okazał się klęską. Boże, zakochał się w Alison Fox!

Nie! - przywołał się do porządku. Nie zakochał się w Alison, lecz w marzeniu, nierealnej zjawie, tak samo ulotnej jak mgła, której pasma snuły się wokół jego nóg.

Chyba oszalał. Jak człowiek może tęsknić do wytworu fantazji, do nie istniejącej zjawy? Jakie znaczenie ma ciepły uśmiech, skoro serce jest z kamienia? Serdeczność okazywana przez Alison jego ciotce była pusta i fałszywa. Teraz przyjmował to już jako fakt, a mimo to nie tylko lady Edith, lecz i Meg wciąż Poddawały się urokowi tej kobiety. Przypomniawszy sobie, co o niej wie i zaświtała mu nadzieja. Czy to możliwe, że Alison Fox nie ponosi winy za śmierć Susannah i Williama? Czy mógł tak bardzo pomylić się we wcześniejszej ocenie? Bardzo chciał uwierzyć w jej niewinność. Ale co wobec tego robiła w londyńskich domach gry, jeśli nie szukała nic nie podejrzewającej ofiary? Ostatnio widział na własne oczy, jak zdobywa niemałe sumy w zakazanych spelunkach. To niemożliwe, żeby wygrywała tyle pieniędzy uczciwie. A poza tym sam był świadkiem, jak wzięła karty od Jacka Crawforda.

Niestety, szuka dla niej usprawiedliwień całkiem nierozumnie. Głos serca głosem serca, ale dowodów nie wolno lekceważyć. Miał rację od samego początku. Alison Fox jest niestety chciwą oszustką, powinien więc pogodzić się z cierpieniem, jakie sprawia mu ta myśl, która wszak będzie go prześladować do końca życia.

Zanim dotarł do York House, udręka stała się nie do zniesienia. Położył się do łóżka zmęczony jak jeszcze chyba nigdy. Prawie natychmiast zapadł w niespokojny sen, z którego obudził się wczesnym rankiem, wcale nie wypoczęty. I natychmiast posłał po Jonasa Pilchera.

Alison zbudziła się z bolącą głową i uczuciem, że w ogóle nie spała. Powieki same jej opadały. Siedziała przy śniadaniu i machinalnie odpowiadała na żarciki Meg, popijając łyżkami kawę i krusząc grzanekę na talerzyku. Honey czyhała przy jej stopach, wyraźnie dając do zrozumienia, że czeka na hojny dar.

Meg rozwodziła się nad planami na przedpołudnie, które obejmowały kolejną wyprawę po zakupy na Milsom Street.

- Nie poszłabyś z nami, Alison? - spytała, schylając się pod stół, by wepchnąć spanielce do pyska plasterek szynki.

- Iść z wami? - odpowiedziała Alison po dłuższej chwili. - Och, nie. Towarzystwo pani Pargeter na pewno wam wystarczy. I pamiętaj, Meg - dodała odruchowo - że lady Edith nie lubi karmienia Honey przy stole.

- Więc po prostu jej o tym nie mówmy - odparła Meg i oczy zaiskrzyły jej się wesołością. Alison nie podchwyciła żartu, toteż Meg popatrzyła na nią badawczo. - Zdaje się, że nie dopisuje ci dzisiaj humor.

Alison roześmiała się bez przekonania.

- Nie, nie. Po prostu... usiłuję sobie przypomnieć, co jeszcze trzeba przygotować do kolacji, którą wydaje lady

Edith.

Ku ich zaskoczeniu w tej właśnie chwili lady Edith we własnej osobie zjawiała się przy stole.

- Ciociu! Jak wcześnie dzisiaj schodzisz na dół - powiedziała Meg z uśmiechem. Podbiegła do krzesła i podsunęła je starszej pani; tymczasem Alison naląła kawy do filiżanki. Lady Edith odniosła się do tych zabiegów bez entuzjazmu i kazała Meg się pośpieszyć.

- Bo jak cię znam, to będziesz cztery razy zmieniać suknię, zanim uznasz, że jesteś gotowa do wyjścia - zakończyła zrzędliwie.

Meg przesłała Alison zdziwione spojrzenie, cmoknęła ciotkę w policzek i wybiegła z pokoju. Lady Edith zauważyła to spojrzenie i nerwowo poruszyła się na krześle.

- Zdaje się, że zbeształam tę pannicę bez powodu - powiedziała przeproszającym tonem. - Czasem przesadzam w korzystaniu z przywilejów wieku.

- Och, głupstwa mówisz, milady - odparła Alison z uśmiechem. - Każdy ma prawo pokazać czasem swoje widzimię. Szczególnie - dodała z błyskiem w oczach - jeśli ktoś wstał dwie godziny wcześniej niż zwykle. - Alison przyjrzała się chlebodawczyni dokładniej i spochmurniała. - Czy dobrze się czujesz, pani?

Lady Edith westchnęła.

- Złe spałam. - Spojrzała na Alison. - Przyjdzie tu dzisiaj Marchford. Zaprosiłam go na lunch. Meg spędzi większą część dnia poza domem, więc będziesz miała okazję z nim porozmawiać.

Alison poczuła, że serce jej zamiera.

- Och! To znaczy... nie zamierzałam... Za szybko! Myślałam, że może później. Po tej kolacji, którą wydajesz, milady... Pan hrabia wspominał coś o powrocie do Londynu.

Lady Edith wyprostowała się i obrzuciła ją królewskim spojrzeniem.

- Alison - powiedziała surowo - najwyższy czas, żebyś wyjaśniła swoje sprawy z Marchem. Postawiłaś mnie w nieznośnej sytuacji wobec mojego własnego bratanka. Nie mogę dłużej ciągnąć oszustwa, którego się dopuściłaś, a właściwie którego razem się dopuściłyśmy. - Widząc stężałą twarz Alison, nieco złagodniała. - Gdyby była jakkolwiek korzyść z odwołania waszej szczerzej rozmowy, nie mówiłabym tego wszystkiego, ale sama widzisz, że postawiliście wszystko na głowie.

Boże, pomyślała Alison. Jak mogłam być taką egoistką? Tak bardzo pochłoneło ją pragnienie, by ukryć przed lordem Marchfordem swój mroczny sekret, że zupełnie nie pomyślała o cierpieniach, na jakie naraża lady Edith. Przez nią jej chlebodawczyni musiała oszukiwać człowieka, którego darzyła miłością.

- Bardzo cię przeproszam, pani - szepnęła przez łzy. - Nie chciałam sprawić ci bólu...

- Nie martw się, moja kochana. - Zakłopotana lady Edith zamachała rękami. - Tylko zrób wszystko, żeby ta nieszczęsna szarada nie trwała ani chwili dłużej, niż to konieczne. Porozmawiaj z nim jeszcze dzisiaj.

Alison przełknęła ślinę.

- Dobrze.

Przez resztę poranka Alison zajmowała się różnymi błahostkami, pogrążona w gigantycznym chaosie uczuć. W pewnym momencie znieruchomiała, uświadomiła sobie bowiem, że lęk, który od bardzo dawna wciąż jej towarzyszył, o dziwo znikł. Chwilę później ogarnął ją najczystszy gniew! No pewnie, pomyślała oszołomiona. Przecież nie zrobiłam nic złego. Wiedziała to zawsze, a jednak nie mogła pozbyć się wyrzutów sumienia, jakby jej wizyty w londyńskich domach gry istotnie przyczyniły się do śmierci Susannah Brent. DUBY SMALONE! Lady Edith miała rację, kiedy jej to powtarzała. Alison wzięła głęboki oddech. Od czterech lat żyła w lęku przed hrabią Marchfordu, a przez ostatnie dwa tygodnie myśl o jego pogardzie omal jej nie zabiła. Dość tego. Postanowiła rozmówić się z nim nadchodzącego popołudnia. Jest w nim zakochana i nie ma na to rady, a jeśli Marchford jej nie uwierzy, to trudno. Teraz go zna, więc już nie boi się jego zemsty. On nie jest złym człowiekiem i nawet jeśli wpadnie w złość, to jej nie skrzywdzi. Nie mogła uwierzyć, by domagał się dla niej zesłania, wytarzania w smole i pierzu lub wymierzenia jakiejś innej strasznej kary, które wciąż podsuwała jej wyobraźnia.

Co zaś do nienawiści i pogardy, to wprawdzie utrata przyjaźni hrabiego będzie bardzo przykra, lecz już się z tym pogodziła. Znajdzie pociechę w opiekuńczej miłości lady Edith, a gdy zabraknie tej wspaniałej kobiety, poświęci się szkole.

Z uśmiechem na ustach wróciła do pracy. Nie, już nie drżała przed rozmową z hrabią. Przekonywała się nawet, że niecierpliwie na nią czeka.

Rozmowa na osobności z lordem Marchfordem okazała się jednak niemożliwa. Gdy Alison zeszła do salonu na krótko przed lunchem, hrabia już tam był. Serce gwałtownie jej skoczyło, więc zła na siebie spuściła oczy, by niczego nie zauważył. W salonie siedziała jednak również lady Edith, toteż po zwyczajowej wymianie uprzejmości wszyscy troje udali się do jadalni. Rozmowa przy stole przebiegała naturalnie w bardzo serdecznej atmosferze. Przynajmniej takie wrażenie odniósłby obcy człowiek. Lady Edith powtarzała najświeższe ploteczki, które mogły umknąć uwagi Alison lub Marcha, który także od czasu do czasu wtrącał kilka słów dla dogodzenia zasadom grzeczności, choć myślami był zupełnie gdzie indziej. Przez cały czas unikał spojrzenia Alison, ona z kolei mimo wysiłków nie była w stanie brać udziału w choćby wątej konwersacji. Zdawało jej się, że słowa przelatują wokół niej jak zimne podmuchy wiatru, wpadające przez okno otwarte w styczniową zamieć.

Nie mogła nic przelknąć; przesuwała tylko widelcem po talerzu odrobinę sałatki i kawałek zimnego mięsa. Przy końcu posiłku zauważyła, że March również prawie niczego nie tknął, a i lady Edith zjadła bardzo niewiele. Razem opuścili jadalnię, po czym starsza pani oznajmiła, że chce się położyć i odpocząć.

Puls Alison zabił mocniej. March zaprosił ją do biblioteki. Oczy miał nieprzeniknione, ich piwny połysk zmatowiał pod warstewką lodu, jaką Alison widziała już poprzednio. Straciła wszelką nadzieję. Wbrew odważnym postanowieniom powziętym rankiem, w głębi serca ludziła się dotąd bezsensowną nadzieją, że hrabia przyjmie jej wyjaśnienia i że pozostaną przyjaciółmi. Patrząc jednak, jak Marchford w milczeniu wskazuje jej krzesło, a dla siebie odsuwa drugie, zorientowała się, że najbliższe minuty będą jeszcze trudniejsze, niż się spodziewała. Wyprostowała się sztywno, gdy tylko usłyszała głos hrabiego.

- Czy chciałaś ze mną porozmawiać o czymś szczególnym, panno Fox? - Minę miał zagadkową, jakby dobrze się pilnował. Zacerpnąwszy tchu, Alison otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, w tej samej chwili jednak wybuchło zamieszanie w sieni. Słyszając stłumiony szloch Meg, oboje zerwali się równocześnie i wybiegli z pokoju.

Meg siedziała na ławeczce przy drzwiach z Sally i jej matką oraz, och! Jackiem Crawfordem. Była blada i miała zboleły wygląd, obiema rękami trzymała się za brzuch.

- Co się stało? - spytał March, gniewnie patrząc na Jacka.

Widząc jego zaciśnięte pięści, Jack natychmiast się odezwał.

- Jechałem powozem przyjaciela przez miasto i zobaczyłem panie na Poultney Street. Lady Meg sprawiała wrażenie niedysponowanej, więc czułem się w obowiązku przywieźć je...

Przerwała mu pani Pargeter, która także weszła do domu.

- Ledwie wyruszyliśmy, Meg źle się poczuła. W połowie zakupów była już bardzo chora. Obawiam się, że ma gorączkę. Żeby tylko to nie była influenza.

- Ojej - zmartwiła się Alison i zwróciła do Meg. - Ostatnio spędzałaś dużo czasu z Rosamund Pinchot, a jej mama była chora. Bardzo mi przykro, że tak wam się nie udało wyjście do miasta - dodała już do wszystkich. Na Jacka nie zwróciła uwagi. Pomogła Meg wstać i wejść na schody. - Musimy zaraz położyć cię do łóżka. Goście na pewno ci wybaczą.

Meg bezwładnie skinęła dłonią grupce stojącej na parterze, wkrótce zaś przebrana w nocną koszulę znalazła się w łóżku. Należała do osób, które chorują rzadko, ale jeśli dopadnie je choroba, to bezlitośnie. Nie minęło wiele czasu, a miała już całkiem pusty żołądek i wtulając się w poduszki jęczała, że boli ją głowa i że czuje się tak, jakby stratowała ją czwórka koni. Posłano po lekarza - nadszedł akurat w chwili, gdy lady Edith wyłoniła się ze swego pokoju.

Zanim Alison zdążyła wyjaśnić starszej pani sytuację, lekarz, wysoki, chudy mężczyzna z zatroskanym wyrazem twarzy, skończył badać pacjentkę.

- Nic poważnego - oznajmił. - Gorączka jest niewielka, to nie wygląda na influencę. Raczej jakieś kłopoty żołądkowe. Bez wątpienia jeszcze przez dłuższy czas pannica będzie się czuła bardzo chora. - Spojrzał filuternie na Meg, prawie niewidoczną pod kołdrą. - Będzie jej się zdawało, że umiera, ale na pewno nic złego się nie stanie. Zostawię krople, które powinny trochę pomóc. A ty, moja panno, ani się obejrzysz i znowu będziesz zdrowa jak ryba.

Z tymi słowy pożegnał się i udzielając ostatnich rad, opuścił dom lady Edith.

March, usłyszawszy, że siostrze nie grozi niebezpieczeństwo, wyszedł zaraz po doktorze. Natomiast Alison dopiero po dłuższym czasie uświadomiła sobie, że odwlekając wyznanie, pozostała we władzy Jacka, będzie więc musiała jeszcze raz odwiedzić obmierzle spelunki przy Avon Street.

Gdy wszyscy domownicy położyli się do łóżek, Alison, uspokojona, że Meg ma się lepiej i spokojnie śpi po zażyciu kropli doktora Benthama, wykradła się z domu. Jack czekał na nią na rogu Royal Crescent i Brock Street. Razem przeszli przez miasto i dotarli do pewnego lokalu przy Avon Street, w którym gry toczyły się o wysokie stawki.

March, który z pewnego oddalenia obserwował jej potajemne wyjście i spotkanie z Jackiem, ruszył za nimi. Gdy wszedł do wnętrza klubu High Flyer, Alison już siedziała przy stoliku, gdzie grano w faraona. Jack przyglądał się temu z boku. Natomiast, co z satysfakcją odnotował March, Jonas Pilcher stał tuż przy Alison.

Boże, jaka ona jest ładna, pomyślał ze ściśniętym gardłem. Nawet ubrana tak jak teraz, w niemodny komplet z ciemnego muślinu, z twarzą przysłoniętą zsuwającą się brązową peruką oraz kapeluszem z wielkim rondem i piórem, zwracała uwagę harmonią rysów. Nawet w tej jaskini chciwości i rozpusty zachowała nie skażoną urodę renesansowego anioła.

Służący przyniósł świeżą talię kart. March zauważył z rozpaczą, że ich koszulki są takie same jak te na talii Crawforda. W tej samej chwili uwagę wszystkich przykuł głośny łoskot po drugiej stronie sali. To Jack Crawford zderzył się z kelnerem, który upuścił tacę pełną kieliszków. March zaklął pod nosem, uświadomił sobie bowiem, że właśnie był świadkiem celowo wywołanego zamieszania. Natychmiast spojrzął z powrotem na Alison. W kartach leżących przy jej dłoni nie dostrzegł nic niezwykłego, mimo to aż wstrzymał dech, gdy mężczyzna siedzący po jej prawej ręce wziął talię, by rozdać karty.

Aż do bólu zacisnął dłoń na gałce laski. Nie spuszczał teraz oczu z Jonasa Pilchera. Minuty wlokły się straszliwie

wolno. Wreszcie człowieczek podniósł głowę. Rozejrzał się po sali, odszukał wzrokiem Marcha i z poważną miną prawie niezauważalnie skinął głową.

March omal głośno nie zaklął. Niezbita pewność, że Alison oszukuje, była bardzo bolesna. Dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ma nadzieję, że mimo wszystko jego osąd Alison Fox okaże się błędny. Nie mógł uwierzyć, że patrzy na kobietę, którą wbrew sobie pokochał. Siedziała w jakiejś złodziejskiej norze przy zielonym stoliku i zachowywała się jak zawodowa szulerka. Boże, jak mógł tak jej pragnąć? Przecież wiedział, że jego pierwotne przekonanie potwierdza się z każdym dniem.

Na myśl o tym, co się zaraz stanie, przeszył go zimny dreszcz. Wcześniej poinstruował Jonasa, żeby pozwolił jej zgromadzić mały stosik pieniędzy. Wtedy detektyw miał głośno krzyknąć, że karty są znaczone, po czym zedrzyć Alison kapelusz, perukę i okulary. Wśród graczy obecnych tego wieczoru było kilku znajomych Marcha, którzy na pewno natychmiast ją poznają, jako że ich żony obracają się w tych samych kręgach co ciotka Edith. Od jutra nie odezwie się do Alison żadna elegancka dama. Ciotka przeżyje głęboki wstrząs, ale przynajmniej będzie w końcu musiała przyjąć do wiadomości, kim naprawdę jest jej towarzyszką. Bez wątpienia skończy się to wylaniem panny Fox bez referencji. I w ten sposób jego zemsta się dopełni.

Od wielu dni wiedział już, że zniszczenie Alison Fox nie sprawi mu satysfakcji tylko ból, nie przewidywał jednak, że aż tak wielki. Z trwogą i fascynacją zarazem patrzył na rozwój wydarzeń przy stoliku, gdzie grano w faraona.

17

Uwaga Marcha była tak skupiona na scenie, której reżyserię starannie zaplanował, że gdy rozległ się krzyk przy stoliku, stracił na chwilę orientację. Obraz przed oczami rozsypał mu się na drobne kawałki - jak w kalejdoskopie.

Pokręcił głową i zmrużył oczy; tymczasem jeden z graczy zerwał się od stolika.

- Patrzcie! - krzyknął, wyciągając w górę karty, które dostał od rozdającego. - Znaczone!

March przeniósł wzrok na Alison, która z gigantycznym zdziwieniem wytrzeszczyła oczy na krzyczącego osobnika. Gracz pochwycił jej spojrzenie, zawahał się i oskarżająco wyciągnął rękę.

- To ona! - powiedział głośno. - Ta szmata! Widziałem, jak rusza karty przed rozdaniem. Podmieniła talie!

Alison poderwała się z krzesła. Jej szeroko rozwarte oczy przeczyły zarzutom dobitniej niż słowa. Sąsiad chwycił ją za rękę.

- Od początku wydawała mi się jakaś dziwna - burknął, sięgając do kapelusza Alison. - No, to zobaczymy, kochanie, jak wyglądasz.

Zdarł jej z głowy kapelusz, przy okazji omal nie ściągając peruki. Ignorując krzyk Alison, drugą ręką chwycił za jej przyciemnione okulary.

March, zupełnie nie zastanawiając się nad tym, co robi, podbiegł do Alison. Jednym uderzeniem pięści powalił agresywnego gracza. Pozostali stanęli jak sparaliżowani. March porwał Alison na ręce i gestem dając sygnał osłupiałemu Jonasowi Pilcherowi, pobiegł do wyjścia, przepychając się wśród gości, wyciągających szyje ku grającym w faraona, którzy zdążyli już rozkrzyczeć się z wściekłości.

Znalazłszy się na dworze, nie przystanął, lecz pędem dopadł kariolki, którą zostawił w pobliżu klubu pod opieką Toby'ego. Na jego widok chłopak wyciągnął się jak struna. Dość niezwykle zachowanie pana ani trochę go nie zdziwiło. Pomógł mu tylko wepchnąć nie opierającą się kobietę do kariolki, na miejsce obok powożącego.

Prawdę mówiąc, Alison nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Najpierw wstrząsnęło nią oskarżenie gracza, potem, gdy March zjawił się nie wiadomo skąd i wyratował ją z opresji, zapadła w odrętwienie. Wiedziała, że powinna się sprzeciwić samowoli hrabiego, ale jakby straciła wolę.

Dopiero gdy March po wydaniu kilku krótkich poleceń Jonasowi Pilcherowi zajął miejsce powożącego, Alison trochę doszła do siebie.

- Co...? - Poruszyła się na siedzeniu. - Co...? - powtórzyła bez tchu, wściekła na siebie, że nie potrafi zbudować sensownego zdania.

- Wszystko jedno! - krzyknął wściekle March. Alison aż się skuliła. - Niedługo porozmawiamy, ale jeszcze nie teraz!

Szarpnął cuglami i kariolka potoczyła się opustoszałymi ulicami Bath. March powoził w zatrważającym tempie. Alison miała wrażenie, że w każdej chwili dwukółka może się przewrócić. Kurczowo zaciskała dłonie na podolku, żeby nie krzyknąć. Ale strachu prawie sobie nie uświadamiała, bo myślą była przy tym, co stało się przed chwilą. Jak ten człowiek mógł oskarżyć ją o oszustwo? Przecież nie znaczyła kart. Czyżby to Jack jakoś...? I skąd się nagle wziął March? W chwili trwogi zaczęła powtarzać jego imię, modląc się, by przyszedł jej z pomocą, i istotnie pojawił się przy niej jak dżinn z magicznej lampy. Wybuchnęła histerycznym śmiechem. Zastanawiała się, czy jeśli zamknie oczy i przepłoszy ten sen, to zbudzi się bezpieczna w łóżku, w swojej sypialni przy Royal Crescent.

Kątem oka przyjrzała się Marchowi. Zdawało jej się, że już widziała hrabiego w najgorszym z możliwych nastrojów, teraz jednak, z ustami zaciśniętymi w wąską linię i pałającymi wściekłością złocistymi oczami, wyglądał naprawdę zatrważająco.

Gdy z turkotem zatrzymali się na Royal Crescent, Alison nadal była w stanie oszołomienia. Nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby zsiąść z kariolki, a gdy March bezceremonialnie postawił ją na ziemi, z oburzeniem

głośno zachłysnęła się powietrzem. March, nic sobie z tego nie robiąc, zacisnął jej dłoń na ramieniu i dosłownie zaciągnął ją do domu. Dopiero w bibliotece zwolnił uścisk, po czym pchnął ją na najbliższe krzesło. Następnie wrócił do drzwi, zamknął je i stanął nad Alison.

- A teraz porozmawiamy, panno Fox albo panno Reynard, albo jak się pani naprawdę nazywa.

Trząsł się ze złości. Jego starannie obmyślony plan runął. Chwila, na którą latami czekał, przyszła i odeszła. A on, zamiast świętować triumf zdemaskowania Alison Fox, pomógł jej wydostać się z opresji! Sam zniweczył swój wielki sukces.

Nienawidził się za to. W ostatniej chwili okazało się, że nie jest w stanie spokojnie patrzeć na upadek Alison Fox. Nie mógł znieść myśli, że zostanie upokorzona przed tamtymi mężczyznami, by nie wspomnieć niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła. Zamiast tego więc sam się zniszczył z miłości do kobiety, która zasługiwała na jego pogardę.

Cierpienie, malujące się na jej twarzy, obserwował jak widok za szybą. Piękne niebieskie oczy były większe niż zwykle. Alison, wyraźnie wstrząśnięta, uniosła rękę w błagalnym geście. Dobrze gra, pomyślał znużony. Spodziewał się lada chwila zobaczyć w jej oczach łzy. Tymczasem ku jego zaskoczeniu ametystowe spojrzenie rozświetlił błysk złości. Głos Alison był nieco schrypnięty, lecz spokojny.

- Tak, milordzie. Powinniśmy byli porozmawiać już dawno. Proszę, usiądź. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Znów szarpnął nim gniew. Nadal stał. Alison patrzyła na niego do góry wykręcając szyję.

- Sam się dowiedziałem wszystkiego - burknął. - Jesteś chciwą szulerką. To ty ponosisz winę za śmierć mojego brata i jego żony.

Alison wzdrygnęła się, jakby ją uderzył. Zacisnęła dłonie na poręczach krzesła, po chwili jednak znów odezwała się beznamiętnym tonem:

- Mylisz się, milordzie. To nie mnie należy winić za ich śmierć. Niegodnie postąpiłam tylko w tym jednym, że zataiłam przed tobą mój udział w tej tragedii. Trzeba mi było przyjść do ciebie natychmiast po tym... natychmiast po tym, jak Susannah... Trzeba mi było wytłumaczyć...

- Wytłumaczyć?! - syknął wściekle. - Jakże może być dla ciebie wytłumaczenie? Przyjechałaś do Londynu i podstępnie ograbiłaś ją z pieniędzy. A kiedy już wszystko straciła, zostawiłaś ją na łasce losu i znikłaś bez śladu. Jak zmija.

Alison cicho jęknęła. Ręce jej drżały.

- To wcale nie było tak!

March wykrzywił wargi w pogardliwym uśmiechu.

- Wobec tego jak, panno Fox-Reynard? Zaiste Bóg obdarzył cię trafnym nazwiskiem, bo jesteś farbowanym lisem, pozbawionym zasad. No, więc słucham, jak to było?

Alison przeszła go wściekłym spojrzeniem, policzki jej się zaróżowiły.

- Jeśli usiądziesz, milordzie - powiedziała stanowczo - to wszystko ci opowiem.

Odruchowo usiadł na najbliższym krześle. Nie odpowiedział, tylko tępo się w nią wpatrywał.

- Nazywam się Alison Fox, to jest prawdziwe nazwisko. - Na wargach zaigrał jej cień uśmiechu. - Nie pierwszy mówisz mi, panie, że jestem farbowanym lisem, chociaż dotąd mówiono raczej „farbowana lisiczka”, dla żartu i z sympatią.

March nadal milczał i mroził ją spojrzeniem.

- Wszystko, co słyszałeś ode mnie o moim rodzinnym domu, również jest prawdą - ciągnęła. - Cztery lata temu pojechałam do Londynu z powodu Jacka Crawforda.

- No, tak - przerwał gniewnie March. - Wiedziałem, że w końcu dojdziemy do pana Crawforda.

Alison zacisnęła dłonie w pięści, ale puściła tę uwagę mimo uszu.

- Jak wiesz, panie, Jack ożenił się z moją najlepszą przyjaciółką. Któregoś dnia Beth przyjechała do mnie, do Ridstowe i powiedziała, że jej mąż ma duże kłopoty. - Wbiła wzrok w dłonie leżące na podolku. - On jest nałogowym graczem. Przegrał dużą sumę, a potem ukradł pieniądze, żeby spłacić dług. Kradzież wyszła na jaw i Beth mówiła, że grozi mu więzienie, jeśli nie zwróci pieniędzy w ciągu trzech miesięcy.

- A o jaką sumę chodziło? - spytał szorstko March.

- O cztery tysiące funtów.

- O cztery tysiące... Boże!

- To samo jej powiedziałam. - Alison znów pozwoliła sobie na półuśmiech. March cały się napiął, więc szybko odezwała się ponownie: - W każdym razie Beth, wiedząc o moich karcianych umiejętnościach...

- Umiejętności! Tak to nazywasz?

- Tak, milordzie, bo to są właśnie umiejętności. Nie oszukuję. Nigdy nie oszukiwałam i nigdy nie będę tego robić. Na te słowa March znowu wstał.

- Niechby ktoś cię posłuchał! - burknął. - Mógłby pomyśleć, że jesteś cnotliwa jak zakonnica. Jak śmiesz patrzeć mi w oczy i mówić, że nie oszukujesz?

- Bo to prawda - odparła spokojnie Alison. - Wuj nauczył mnie grać w karty i choć może się to wydać

nieprawdopodobne, zważywszy na moje pochodzenie, okazałam się bardzo zdolną uczennicą.

March parsknął pod nosem.

- Nie wybielaj się. Cały świat wie, że oszukałaś Susannah! Temu nie zaprzeczysz!

- Owszem, zaprzeczę! - krzyknęła Alison. - To Susannah rozpuściła taką kłamliwą plotkę po moim wyjeździe z Londynu. Zresztą nawet gdybym była na miejscu i mogła się bronić, nikt nie chciałby mnie słuchać.

- Dlaczego ktoś miałby słuchać nieznanej oszustki?

- Nie mogłam grać pod własnym nazwiskiem! Nie rozumiesz, panie? Mojemu ojcu pękłoby serce.

- To zaiste troskliwość godna pochwały - zakpił March. - Zamiast tego więc pękło serce innemu staremu człowiekowi: mojemu ojcu.

Alison pochyliła głowę.

- Jest mi bardzo przykro z tego powodu. Tak samo jak z powodu Susannah i jej męża. Gdybym wiedziała, do czego doprowadzi moja znajomość z Susannah Brent, nigdy nie siadłabym z nią do gry.

- I naprawdę chcesz, żebym uwierzył, że wygrałaś od niej cztery tysiące funtów bez oszukiwania? Kobieta?!

- Ach, rozumiem. - Raz jeszcze wątle się uśmiechnęła. - Mężczyzna mógłby być do tego zdolny, ale kobieta...?

March spojrział w ziemię.

- Musisz przyznać, że to bardzo mało prawdopodobne.

- Przyznaję. Ale mimo to mam takie zdolności. Umiem zapamiętać wszystkie schodzące karty i szybko analizować prawdopodobieństwo różnych rozkładów. Co więcej, potrafię czytać ludziom z twarzy. No i rzadko piję alkohol, a jeśli już, to w małych ilościach. Dlatego zwykle byłam jedyną trzeźwą osobą przy stoliku, co niewątpliwie należy uznać za ułatwienie.

March nie odpowiedział, więc po krótkim wahaniu podjęła wątek.

- Rozumiem, dlaczego trudno ci, panie, uwierzyć w to, co mówię. Po prostu słyszałaś na mój temat wyłącznie pogłoski, które rozpuszczała twoja bratowa. - Zlekceważyła groźny odgłos sprzeciwu. - Właśnie dlatego nie przyszedłam do ciebie z tą sprawą już dawno. Zważywszy na to, jak głośno się odgrażałaś...

- Nie...

- Tak! - Alison czuła, jak krew uderza jej do głowy, ale nie potrafiła nad sobą zapanować. - Mogę to zrozumieć, milordzie, bo byłeś pogrążony w głębokiej żałobie, ale przysiągłeś mi tak okrutną zemstę, że aż trudno to powtórzyć. Molly powiedziała mi...

- Molly?

Alison znów spuściła oczy.

- Wicehrabina Callander. Ona i Beth były w szkole moimi najlepszymi przyjaciółkami.

- O mój Boże! - wykrzyknął March. - Naturalnie. Ona wszystko od początku wiedziała, tak? Proszę przekazać gratulacje pani hrabinie. Jej aktorskie umiejętności są bodaj lepsze niż pani.

- Wierz mi, milordzie, że żadnej z nas oszukiwanie cię nie sprawiło przyjemności. No, może Molly miała z tego odrobinę uciechy - poprawiła się natychmiast. - Ona zawsze była trochę szalona, a tym razem w dodatku bardzo jej zależało na tym, żeby powstrzymać cię przed zemstą.

- Masz szczęście do przyjaciółek, panno Fox. Nie tylko wymyślają ci stosowne przezwiska, ale jeszcze kłamią nie gorzej od ciebie. Mniejsza o to, odeszliśmy od tematu. Nawet gdybym miał uwierzyć, że nie oszukałaś Susannah, co jest nieprawdopodobne, to jak usprawiedliwisz zabranie jej wszystkiego, do ostatniej gwiney? Czy rujnując ją, nie miałaś żadnych skrupułów? A może sądziłaś, że nasza rodzina jest jak studnia bez dna, z której możesz czerpać do woli, żeby zaspokoić swoją chciwość?

Alison patrzyła na niego z zaciętą miną.

- Od Susannah Brent wygrałam trzysta funtów. Dla mnie to było dużo, ale nie sądzę, żeby taka suma przekraczała jej możliwości.

March zapatrzył się na nią. Usta miał zaciśnięte, oczy zasnutę mgiełką nabrały burego odcienia.

- Rzecz jasna, nie. Taki dług pokryłaby bez trudu z pieniędzy, które dostawała od męża. Niestety, nie wierzę ci.

Alison poczuła przypływ znużenia, jakby nagle uszło z niej życie.

- Nie wiem, po co tracisz czas, milordzie, i po co strzępię sobie język - powiedziała bezbarwnie. - Dobrze widzę, że nie wierzysz ani jednemu mojemu słowu. Nietrudno to zresztą zrozumieć. Tak długo pielęgnowałaś w sobie nienawiść, że nie potrafisz się jej pozbyć.

- Daruj sobie ten wgląd w moje życie wewnętrzne. Poza tym wcale nie wydaje mi się, żebym tracił czas. Bardzo mnie interesuje to, co usłyszałam, a jeszcze bardziej to, co usłyszę. Nie poruszaliśmy, na przykład, sprawy przypadkowego pojawienia się Jacka Crawforda w Bath.

- Na pewno już wiesz, panie, że on tu przyjechał celowo - odrzekła ostro Alison. - Chciał odszukać mnie w Bath, żeby jeszcze raz skorzystać z mojej... pomocy.

- A ty z radością się na to zgodziłaś. Niewątpliwie jako dama do towarzystwa czujesz się skrępowana niezliczonymi rygorami. A skoro już o tym mowa, to proszę przyłać ode mnie wyrazy uznania za przedstawienie na przyjęciu u Dunsaneyów. Nikt by się nie domyślił, że wcale nie grasz w karty jak noga stołowa. Co zaś do Jacka, to w Bath przy jego udziale znów urządziłaś oszukańczą przebieranekę, żeby pozbawić nadmiaru pieniędzy

co bardziej pechowych mieszkańców tego uroczego miasta.

Alison z najwyższym trudem oparła się pokusie spoliczkowania go, żeby przestał się tak pogardliwie uśmiechać.

- Wcale nie chciałam pomóc Jackowi. Po prostu byłam na jego łasce. Zagroził, że przyjdzie do ciebie, panie, i mnie wyda.

- A nie przyszło ci wtedy do głowy, że lepiej byłoby ze mną porozmawiać, niż spełniać jego życzenie?

Alison poczuła nagle, że brak jej słów. Nie mogła opowiedzieć Marchfordowi o uczuciu, jakie do niego żywi. A przecież właśnie dlatego tak ociągała się z wyznaniem prawdy. Gdyby się dowiedział, jak bardzo bała się błysku pogardy w jego oczach, z pewnością odgadłby też, że jest w nim zakochana. A tego by nie zniosła.

- Chciałam z tobą porozmawiać, milordzie, ale się bałam - powiedziała z wahaniem. - Zdażyłam cię już trochę poznać i chociaż nie sądziłam, żebyś domagał się mojego zesłania bądź innych straszliwych kar, które przez lata sobie wyobrażałam, to wiedziałam, że wpadniesz w wielką złość, zresztą słusznie. A ja przyzwyczaiłam się do twojej przyjaźni. Dlatego...

- O Boże! - Głos Marcha brzmiał szorstko, ochryple. - Dość tego. Nie wiesz nawet, co oznacza słowo „przyjaźń”. Nie ma sensu zaprzeczać, że byłeś w zмовie z Jackiem Crawfordem ani że dziś wieczorem zamierzałaś oszukać innych graczy w faraona.

- Nie! - Krzyk palił jej gardło. - Nie miałam pojęcia...! Nie sądzisz chyba, milordzie, że to ja poznażyłam te karty?!

- Naturalnie, że nie ty, tylko twój wypróbowany przyjaciel. Panno Fox, wczoraj w Salach Asamblowych widziałem, jak bierzesz te karty od Crawforda.

Alison wytrzeszczyła na niego przerażone oczy. Policzki oblały jej się głębokim pąsem. Bardzo powoli wstała z krzesła. Z najwyższym wysiłkiem, jakby ktoś ją śmiertelnie zranił, podeszła do stolika przy oknie. Odwróciła się do hrabiego i szepnęła.

- Owszem, wzięłam karty od Jacka, ale nie miałam zamiaru ich używać. Włożyłam je do torebki i zapomniałam o nich. Przypomniałam sobie dopiero, gdy wychodziłam dziś wieczorem z domu. Zaczęły mi ciążyć. - Otworzyła szufladę, wyciągnęła z niej mały pakiecik i wcisnęła go w dłoń hrabiego. - Proszę, milordzie. To te karty dostałam wczoraj od Jacka.

March zerknął bez słowa na pakiecik. Potem podniósł głowę i spojrzał w oczy Alison, wciąż jednak nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał głośno i niepewnie.

- Widocznie zostawiłaś w domu zapasową talię. Na pewno masz ich kilka. Lepiej przestań mnie nabierać.

Mimo że był ciepły majowy wieczór, a na kominku płonął niewielki ogień, Alison zdrętwiała z zimna. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w ciszę pokoju, zakłócaną jedynie trzaskaniem ognia i cykaniem zegara za jej plecami.

Silą woli zmusiła się, by znów spojrzeć Marchowi w oczy.

- Wobec tego powiedzieliśmy sobie już wszystko, milordzie. Co zamierzasz dalej?

March wzruszył ramionami i ciężko westchnął.

- Naturalnie muszę powiedzieć o wszystkim ciotce. Potem twój los będzie w jej rękach. Nie wyobrażam sobie, żeby Pozostawiła cię u siebie, ale, jak powiedziałem, decyzja należy do niej. Najprawdopodobniej wkrótce będziesz musiała opuścić ten dom.

Alison poczuła, że w środku cała drży. March mówił poważnie! Naprawdę zamierzał doprowadzić do wyrzucenia jej na bruk bez referencji i uniemożliwić jej uczciwe zarabianie pieniędzy. Od początku wiedziała, że jego gniew będzie bolesny, w głębi serca wierzyła jednak, że Marchford nie okaże się taki mściwy.

March przeszedł kawałek po dywanie, po czym znów raptownie zwrócił się ku niej.

- Chciałbym ci wierzyć, Alison - powiedział. - Prawdę mówiąc, nie żywię już do ciebie nienawiści, tak jak kiedyś. Zastanawiałem się nawet nad wzięciem cię pod opiekę, gdy już odejdiesz z domu ciotki Edith. - Ujął ją pod brodę. - Czy chciałabyś mieszkać w ładnym domu w Londynie?

March z niedowierzaniem słuchał okrutnych słów, przechodzących mu przez gardło. Boże, co go opętało, żeby coś takiego powiedzieć? Uczynić z Alison swoją kochankę? Na myśl o tym drgnęła w nim jakaś bezbożna struna. Mimo iż wstydził się tej propozycji, przez moment ludził się nawet nadzieją, że Alison wyrazi zgodę. Ona jednak zbladła jak ściana. Zachwiała się, więc odruchowo wyciągnął do niej rękę, ale w chwilę później odzyskała równowagę, a gdy się odezwała, ton jej głosu był już zupełnie spokojny.

- Chyba nie, milordzie. - Wykrzywiła usta w sztuczny uśmiechu. - Przyszłość mam zabezpieczoną. Jack złożył mi podobną propozycję. Twierdzi, że bardzo mu się przydam. Przyjemnie jest czuć się użytecznym, nie sądzisz? I zajmować się czymś, w czym człowiek jest dobry. - Spokojnym krokiem doszła do drzwi. - Przepraszam, milordzie, lecz chcę się już położyć. Jutro czeka mnie wiele obowiązków.

March wyciągnął do niej rękę.

- Alison... - szepnęła. Ale jej już nie było.

18

Ty wiesz? - March poczuł się tak, jakby nagle dostał silny cios w żołądek. Rozmawiał z lady Edith w małym pokoiku, przylegającym do jej sypialni, używanym przez starszą panią jako gabinet. Przez okno sączyły się

promienie porannego słońca, barwiąc kremowe zasłony na różowo. - Wiesz, że Alison Fox i Lissa Reynard to jedna osoba? Nie rozumiem. Jak...?

- Powiedziała mi wkrótce po tym, jak u mnie zamieszkała. Gdy przypadkowo wspomniałam któregoś dnia o tobie, o mało nie zemdląca. Spytałam, co ją dręczy, i wtedy usłyszałam całą historię.

- I nic mi nie powiedziałaś? - Na twarzy Marcha widniały zgroza i osłupienie. - Jak to? Przecież wiedziałaś, że jej szukam!? - Wędrował wzrokiem po twarzy ciotki, oglądając wyraz znużenia w oczach i niezdrowy rumieniec na wychudzonych policzkach. Okazało się, że było mu dużo trudniej wyjawić prawdę o zdradzie Alison, niż początkowo przypuszczał. A gdy wreszcie się na to zdobył, znów wydało mu się, że został zdradzony.

- Ale wiedziałam też, że zachowasz się dokładnie tak, jak się zachowujesz - odparła niewzruszenie ciotka. - Poza tym obiecałam dochować sekretu. Zrozum, że zwierzenie mi się wymagało od Alison wielkiej odwagi. Sądziła przecież, że natychmiast ją wyrzucę na zbitą buzię, albo co gorsza wydam prosto w twoje ręce.

- A dlaczego tak się nie stało? Boże, ciociu! Czyżby śmierć Susannah i Williama nic dla ciebie nie znaczyła? I śmierć mojego ojca też nie?

- Naturalnie, że znaczyła - odparła ciotka. - Co do twojego ojca, to śpieszę ci przypomnieć, że był moim bratem, więc jego śmierć przeżyłam równie ciężko jak ty. - Siedziała na fotelu obitym adamaszkiem i wydawało się, że z każdą chwilą maleje. Po chwili nieco złagodziła ton, wciąż jednak zaciskała na kolanach ręce poprzecinane siatką wypukłych żył. - Usiądź, mój kochany. Już najwyższy czas, żebyśmy powiedzieli sobie parę słów prawdy o Williamie i Susannah, i być może również o tobie.

March posłusznie zajął miejsce. Wpatrywał się w ciotkę, jakby zniecierpliwiona wyciągnęła z fałdów spódnicy pistolet i skierowała go lufą w jego stronę.

- March - zaczęła ciotka - jak dobrze znałeś Susannah?

- Słucham? - spytał bezbarwnym tonem. - Och, naturalnie całkiem dobrze. To znaczy... no, widywałam ją dość często podczas jej pierwszego sezonu, kiedy Will się z nią zaręczył.

- Ale czy kiedyś tak naprawdę z nią rozmawiałeś?

- Naturalnie. - March urwał i zmarszczył czoło. - No, właściwie to nie - poprawił się z wahaniem. - Raczej nie. Widywałam ją tylko z Willem albo w towarzystwie innych ludzi. Dlaczego o to pytasz?

- Jakie wrażenie robiła na tobie Susannah?

March ze zniecierpliwieniem uniósł rękę.

- Całkiem przyzwoitej panny. Może trochę trzpiotowatej, rozpieszczonej, trochę za bardzo myślącej o sobie. Ciociu...?

Lady Edith nieznacznie skłoniła głowę.

- Słowo ci daję, że te pytania mają swój cel, kochaneńki. Czy latach, gdy dorastałeś, byłeś z Williamem naprawdę blisko? Gdy potwierdził skinieniem głowy, zadała mu następne pytanie: - A co sądzisz o jego charakterze?

March przyglądał jej się przez kilka sekund i dopiero potem odpowiedział powoli:

- Chyba przypominał charakter Susannah. Bardzo lubiłem Willa, ale nie można zaprzeczyć, że nie troszczył się o jutro. Ja zresztą wówczas też się nie troszczyłem, jeśli mam być szczerzy. Will był całkiem porządny, tylko do przesady sobie folgował: karty, kobiety, alkohol. Ale kiedy się ożenił... - March spojrzał nagle na ciotkę bardzo przenikliwie. - Wyjechałem na kontynent wkrótce po ich ślubie, lecz przecież Will z pewnością się ustatkował. Nie? - Znowu zmarszczył czoło, przypomniał sobie bowiem niepokój bijący z listów ojca.

- Nie, March. Will zostawił swoją młodą żonę całkiem samą i dalej pił i oddawał się przelotnym miłostkom. Susannah czuła się głęboko urażona jego lekceważeniem, a ciągnęła pogoń Williama za kobietami dosłownie ją zabijała. Tak jak powiedziałeś, była rozpieszczona, więc nie umiała cierpieć w milczeniu. - Ciotka na chwilę zawiesiła głos. - Kilka razy zrobiła mu publicznie scenę, ale bez skutku. W końcu związała się z grupą ludzi, którzy wydawali się stworzeni wyłącznie po to, by ją zniszczyć. Jej imię stało się niemal głośnie. Powiadano, że Susannah zmienia kochanków jak rękawiczki. Nie wiem, czy to była prawda. Natomiast wiem, że uzależniła się od najstraszniejszych form hazardu. Na wszystkie modne przyjęcia przychodziła sama i natychmiast ginęła w sali karcianej. Wychodziła stamtąd nad ranem, zwykle ze znacznie chudszą sakiewką.

- Boże - szepnął March oszołomiony. - Czy Will nie próbował jej powstrzymać?

- Widać nie obchodziło go, co robi żona, póki jej straty przy zielonym stoliku nie stały się zbyt okazałe, by mógł je ignorować. Susannah przehuła całe swoje zabezpieczenie, a kiedy te pieniądze się skończyły, zaczęła sprzedawać rodzinną biżuterię i podkradać pieniądze mężowi. Nie znam dokładnie treści ich rozmów na ten temat, ale twój ojciec wspominał mi o gwałtownych kłótniach w środku nocy, wzajemnych głośnych oskarżeniach i obelgach.

- Nie mogę powiedzieć, żebym zupełnie nic o tym nie słyszał. - March zbłądł. - Ojciec błagał mnie, żebym został w domu, ale go nie posłuchałem. Tak bardzo chciałem uciec przed obowiązkami mojego stanu... Ojciec pisał do mnie o eskapadach Susannah i wspominał skandaliczne zachowanie Williama, ale myślałem, że przesadza, żeby ściągnąć mnie z powrotem do domu. A przynajmniej tak sobie mówiłem. Boże, powinienem był wrócić.

- Co mógłbyś zrobić? - spytała łagodnie lady Edith. - Czy William miał zwyczaj cię słuchać?

- Naturalnie - odparł natychmiast, ale zaraz się zawahał. - Właściwie to William przeważnie przychodził do mnie

po radę, gdy już był w kłopotach po uszy. Kilka razy próbowałem go ostrzec przed jakimś głupim pomysłem, to po prostu mnie wysmiał. Twierdził, że jestem jak wiejski pijak, który chce radzić światowemu człowiekowi.

- No, więc skoro William nie słuchał ojca, to czy sądzisz, że zwróciłyby uwagę na twoje słowa krytyki?

- Może nie, ale... - Pokręcił głową. - Nic dziwnego, że Susannah stała się łatwym łupem Lissy Reynard.

Oznaki zmęczenia na pomarszczonej twarzy lady Edith były wyraźne, mimo to starsza pani wyprostowała się na krześle.

- Wiesz, March, jestem głęboko przekonana, że Susannah nie była łupem panny Reynard. Po pogrzebie odbyłam długą rozmowę z jej pokojówką i kilkoma innymi osobami ze służby. Susannah była w trudnym położeniu już dużo wcześniej. Stała się bywalczynią wszystkich londyńskich domów gry i szybko popadła w wielkie długi. Na ile zdołałam ustalić, pogłoskę o panie Reynard, która oszukała ją na tysiące funtów, rozpuściła dla wytłumaczenia swoich wybryków. Przynajmniej dzięki temu William poczuł się nagle w obowiązku i odesłał Susannah do rodowej posiadłości...

March skrzywił się.

- Przecież nie mieszkał tam wówczas nikt z rodziny.

- Nie. William najął dla niej damę do towarzystwa. Zgorzkniałą staruchę, babę jak dąb. Bez wątplenia wybrał ją, żeby była strażnikiem.

- Susannah musiała być bardzo nieszczęśliwa z powodu takiego obrotu spraw.

Lady Edith uśmiechnęła się wstępliwie.

- Nie. Uciekła z jednym ze swoich kochanków. A właściwie tylko przygotowała się do ucieczki, bo jej plan wyszedł na jaw, nim zdążyła go urzeczywistnić. W każdym razie William postanowił osobiście towarzyszyć jej w drodze do Marchford Park.

Starsza pani przytknęła drżącą rękę do głowy.

- Wkrótce po tym, jak wyruszyli, wybuchła burza. Gdy dojechali nad rzekę, wciąż jeszcze padało. Pokojówka, która towarzyszyła Susannah, opowiedziała mi później, że jej pani dostała ataku hysterii. Gdy wjechali na most pod Little Marchbeck, otworzyła drzwi powozu i wyskoczyła na zewnątrz. Wdrapała się na kamienną balustradę mostu i zaczęła coś krzyczeć do Williama. Przypuszczam, że chciała go tylko nastraszyć, ale kiedy William wysiadł za nią, cofnęła się. Straciła równowagę i spadła do wezbranej rzeki. William, trzeba mu to przyznać, bez wahania skoczył za nią. Wtedy ostatni raz go widziano ich żywych. - Lady Edith dokończyła tej opowieści ochryplym szeptem.

- A ja przez cały ten czas zajmowałem się sprawami wielkiego świata - powiedział ze smutkiem March. - Moje miejsce było tutaj.

- Ale cię tu nie było - odparła ciotka. - Żyłeś swoim życiem, do czego miałeś święte prawo.

March wstał gwałtownie.

- No, właśnie. Gdybym usłuchał wezwania ojca, przynajmniej oszczędziłbym Susannah kontaktu z machinacjami takich osób, jak ta cała Lissa Reynard.

Na te słowa lady Edith wstała. Przechyliła na bok swą śnieżnobiałą głowę i spojrzała na bratanka wojowniczo.

- Oj, tracę do ciebie cierpliwość, March. Jesteś tak zaślepiony wyrzutami sumienia, tak bardzo chcesz znaleźć kozła ofiarnego odpowiedzialnego za śmierć Williama i Susannah, no i twojego ojca, że przestałeś rozsądnie myśleć.

March zbladł.

- Bardzo cię kocham, ciotciu - oświadczył sztywno. - Ale nikomu nie pozwolę, żeby mówił takie rzeczy.

- Najwyższy czas, żebyś zmienił zdanie - odparła ciotka. Drżąc podeszła do drzwi, tam przystanąła i zwróciwszy się ku niemu, dodała zrzędlwym tonem: - Popelniasz grubą błąd, obciążając ją odpowiedzialnością za śmierć Susannah i Williama. Ona jest tak samo niewinna jak ty.

Po jej wyjściu March nasłuchiwał jeszcze odgłosu oddalających się kroków. Przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się w dywan, po czym wyszedł na opustoszały korytarz. W oszołomieniu wziął z hallu kapelusz, laseczkę i rękawiczki, i opuścił dom ciotki.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, a tam, oddalając się od Royal Crescent, zatonął w parkowej zieleni. Po dłuższym czasie dotarł do pól okalających miasto. Dopiero wtedy przystanął i zmęczony położył się pod drzewem na wzgórzu z widokiem na wieś Little Weston.

Czuł się tak, jakby wielki wybuch wyrzucił go w górę i zawiesił w czarnej próżni. Zemsta, której wyobrażeniem karmił się z taką wytrwałością, wymykała mu się z ręki. Alison wszystkiemu zaprzeczyła, a ciotka Edith, którą uważał za kobietę wielkiej bystrości, wierzyła każdemu jej słowu. Wierzyła tak, jak on bardzo pragnął wierzyć.

Wrócił myślami do słów ciotki. Jego wyrzuty sumienia? Czyżby właśnie dlatego tak uporczywie ściagał Lisę Reynard? Czyżby za gniewem z powodu krzywdy, uczynionej jego rodzinie, kryło się przez cały czas zupełnie co innego? Dawno już przyznał przed sobą, że wina za tragedię rodziny spada po części na niego. Czy jednak mimo to szukał kozła ofiarnego? Czy wybrał Lisę Reynard na cel zemsty, żeby ulżyć własnemu sumieniu?

Nawet jednak jeśli rzeczywiście tak było, to nie należało tym tłumaczyć udziału Alison Fox w tej historii. Tylko na czym polegał jej udział? March wlepił wzrok w słupy dymu stojące nad kominami wiejskich chat. Oto sedno

sprawy, pomyślał. Jeśli Alison powiedziała prawdę, to jego domek z kart wali się nieodwracalnie. Wszystko w nim krzychało, że tak właśnie jest. Alison mówiła prawdę. Każde jej słowo, gest, każdy uczynek dowodziły szczerości zamiarów. Naturalnie znane mu fakty nie zmieniły się ani na jotę. Alison istotnie pojechała do Londynu grać w karty. Wygrała pieniądze od jego bratowej i dla ukrycia swojego drugiego wcielenia uciekła potem z miasta. Ale poza tym wszystko, co o niej sądził, opierało się wyłącznie na domysłach.

Wziął głęboki oddech. Szaleństwa młodości miał już za sobą. Ostatnie cztery lata spędził tak, jak przystało na praktycznego i obowiązkowego człowieka. Nauczył się cynizmu, zaczął się obracać w towarzystwie i omal się nie zaręczył z kobietą, która w dwa tygodnie śmiertelnie by go znudziła. Czyżby była to wahadłowa reakcja na jego dawniejszą niefrasobliwość, która, jak teraz sądził, doprowadziła do śmierci trzech osób?

I oto stanął na progu zupełnie nowego życia. Los pozwolił mu uwolnić się od poczucia winy, które paraliżowało go od czterech lat.

Kocha Alison Fox. W końcu mógł rozważyć tę myśl, teraz bowiem był już święcie przekonany, że Alison zasłużyła sobie na prawdziwą miłość. Mężczyzna, któremu uda się zdobyć jej serce, będzie wielkim szczęściarzem.

Zaraz jednak przyszła mu do głowy następna myśl, znacznie mniej przyjemna. Niestety, to nie on będzie tym mężczyzną. Alison długo żyła w lęku przed nim, a gdy wreszcie ostatniego wieczoru chciała mu się zwierzyć, obraził ją i do tego wystąpił z ordynarną propozycją. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że próbował ją namówić, by została jego kochanką. Co gorsza próbował tego w taki sposób, jakby wystarczyło mu ruszyć palcem i czekać, aż Alison ze stosowną wdzięcznością skorzysta z jego protekcji. A ona wcześniej mówiła coś o przyjaźni. Boże, przecież właśnie tego od niej pragnął. Tego i jeszcze o wiele więcej. Chciał być jej przyjacielem, kochankiem, a przede wszystkim mężem. Zaczął sobie wyobrażać poranki, gdy będzie się budził obok niej i patrzył na jej włosy rozsypane na poduszce. Marzył o długich wieczorach, spędzanych przy kominku z kieliszkiem wina w dłoni, o intymnych rozmowach podczas spacerów po Marchford Park...

Potrząsnął głową. Boże, chyba mu się rozum miesza. Wcześniej mógł przecież liczyć przynajmniej na jej przyjaźń, a teraz zmarnował i tę szansę. Alison nawet nie zniżyła się do tego, by mu powiedzieć, że nie musi rozważać jego poniżającej propozycji, bo ma zabezpieczoną posadę u ciotki. A on nie miał okazji wycofać swej groźby i powiedzieć, że wcale nie chce, by wyrzucono ją na bruk. Pokręcił głową. Chwilę później następne wspomnienie zaparło mu dech. Co ona powiedziała? Że Jack Crawford złożył jej podobną propozycję? March poczuł, jak pęcznieje ze złości. Zaraz jednak uświadomił sobie, że zachowuje się całkiem nierozumnie. Nawet jeśli Jack istotnie wystąpił wobec Alison z nieprzystojną propozycją, to nie lepszą i nie gorszą niż jego własna. Natomiast Alison prawdopodobnie wcale nie zamierza jej przyjąć. Był przekonany, że jej stosunek do Jacka Crawforda jest równie nieprzychylny jak do hrabiego Marchfordu. Boże, ależ mu się udało namieszać!

I co dalej? Rzecz jasna, musi ją przeprosić. Może ze względu na ciotkę Alison zechce go wysłuchać. Postanowił wrócić na Royal Crescent po południu. Porozmawia z Alison i ciotką i oprócz przeprosin złoży im zapewnienie o wsparciu i pomocy w przyszłości. A nazajutrz wyjedzie z Bath. Prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy już Alison Fox. Co prawda poczuł z tego powodu ukłucie lęku, ale tak chyba będzie najlepiej. Zamieszka w Marchford Park.

Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest znużony Londynem i życiem, jakie tam się toczy. Dość miał sztywnych przyjęć, na których wypada mu się pokazać, wizyt składanych z obowiązku, przymusowych wyjść do teatru i opery. I dość miał Frances.

Ciężko westchnął. Będzie w końcu musiał się ożenić, bo pierwszym spadkobiercą jego tytułu i fortuny był na razie kuzyn ladaco mieszkający w Indii. Uznał jednak, że zlituje się nad sobą i nie ożeni się z Frances Milford. Zabiegał o jej względy kierując się karykaturalnym poczuciem obowiązku. Stanowczo lepiej było jednak znaleźć jakiegoś siedemnastoletniego podlotka debiutującego w towarzystwie, pociągającą pannę, która dałaby mu oczekiwanego dziedzica, no i może jeszcze jednego na wszelki wypadek, a potem nie wtrącała się w jego sprawy.

Rozważając ten plan, niewątpliwie dzieło rozsądku, March z ociąganiem wstał. Był przygnębiony. Słońce wspięło się już wysoko nad horyzont, on jednak czerpał niewiele radości z jego ciepła. Ciężkim krokiem powlókł się z powrotem w stronę Royal Crescent.

Słońce sączyło się przez okno do sypialni Meg. Pacjentka, wsparta na stercie poduch, popijała bulion i skarżyła się na swój los siedzącej przy jej łóżku Alison.

- Już dobrze się czuję - powiedziała tonem męczennicy. - Jestem trochę osłabiona, ale na pewno wyzdrowiałam. Czy mogłabym dostać coś do jedzenia? Mam na myśli coś porządnego, a nie to. - Z, obrzydzeniem wskazała filiżankę bulionu.

- Później - odparła z uśmiechem Alison. - Doktor powiedział, że jeżeli bulion ci nie zaszkodzi, to wieczorem możesz zjeść lekki posiłek.

Meg westchnęła w poduszki i powiedziała, że w takim razie utnie sobie drzemkę.

- Bo prawdę mówiąc, wciąż jestem jeszcze dość wyczerpana.

Alison otuliła cierpiącą pannę kołdrą, po czym wzięwszy pustą miseczkę i na wpół opróżnioną szklanekę kielku, wyszła na palcach z pokoju.

W sieni odstawiła naczynia na stół, skąd miała zabrać je służba, i przystanąła niezdecydowana. Miała setki drobiazgów do zrobienia, zdawało jej się jednak, że nie zdoła się skupić na żadnej z tych czynności. Była pusta w środku, zupełnie jakby ktoś wyrwał jej serce. Po rozstaniu z Marchem ostatniego wieczoru poszła do siebie i wybuchnęła płaczem. Płakała, póki nie zabrakło jej łez. Teraz zobojętniała na wszystko, była niezdolna do jakichkolwiek uczuć.

Zerknęła na zamknięte drzwi do pokoju lady Edith. Rano z okna swojej sypialni obejrzała odjazd Marcha z Royal Crescent, wiedziała więc, że wrócił, żeby podzielić się z ciotką nowiną, która wydawała mu się wstrząsająca. Myśl o odprawie, jaką musiał dostać od lady Edith, sprawiła, że Alison uśmiechnęła się ponuro.

Już miała zejść po schodach, zatrzymało ją jednak skrzypnięcie drzwi. W chwilę później lady Edith ukazała się na progu swego pokoju. Była dość blada, lecz opanowana. Skinęła jej głową na powitanie i gestem zaprosiła ją do siebie.

- Musimy porozmawiać, bo jest o czym - powiedziała smutno.

Alison nawiedziło złe przeczucie. Czyżby March jednak przekonał ciotkę, że jej dama do towarzystwa powinna opuścić to domostwo? Ale chwilę później, gdy starsza pani odwróciła się do niej i delikatnie ją objęła, jej niepokój natychmiast uleciał.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziała lady Edith drżącym głosem - że narobiłam ci tyle kłopotów.

- Ty, pani? - Alison zachłysnęła się powietrzem ze zdumienia. - Ależ ty byłaś moim zbawieniem!

- Może i tak - odparła lady Edith. - Ale gdyby nie ja, to mój zbłąkany bratanek nigdy nie wpadłby na twój ślad.

- Bardzo dobrze się stało, że wpadł. - Alison z zadowoleniem stwierdziła, że jej głos brzmi pewnie. - Inaczej nigdy w życiu nie powiedziałabym lordowi Marchfordowi prawdy. Teraz przynajmniej wiem, że słyszał również moją wersję wydarzeń.

- Uff. Niewiele mu to pomogło. - Starsza pani wydała pełne znużenia westchnienie. - March zawsze był bardzo racjonalnym człowiekiem. Nigdy nie widziałam, żeby okazał się taki nieprzejednany.

- Przypuszczam... - Alison zawahała się. - Przypuszczam, że nadal jest bardzo zły.

Lady Edith uśmiechnęła się kwaśno.

- Można to tak nazwać. Kiedy zepsułam mu wielką chwilę, bo powiedziałam, że wiem wszystko od początku do końca, zachował się jak niedźwiedź z cierniem w łapie. - Uśmiech jej zwiędł. - A ja miałam nadzieję, że ci uwierzy.

- Ja też - powiedziała Alison. - Ale właściwie mogłam się spodziewać, że nie. - Znów coś ścisnęło ją za gardło, do oczu zaczęły jej się cisnąć łzy. Widząc to, lady Edith położyła jej dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, kochaneńka. March musi ostygnąć, rozważyć w ciszy wszystko, czego się dowiedział... Nie jest łatwo w kilka godzin pogodzić się z myślą, że to, w co latami święcie się wierzyło, wygląda w rzeczywistości zupełnie inaczej. Jestem Pewna, że z czasem nabierze rozsądku.

Alison wzięła głęboki oddech i dotknęła krzepiącej dłoni lady Edith.

- Mniejsza o to - powiedziała rzeško. - Twój bratanek, milady, jest niewątpliwie... uczciwym człowiekiem, ale dla mnie i tak nie ma to znaczenia. Póki cieszę się twoim zaufaniem, wszystko układa się jak najlepiej. - Uśmiechnęła się ciepło do swej chlebodawczyni i pociągnęła ją za rękę. - Słyszałam przed chwilą gwizdek poczytłonia. Pewnie przyniósł całą paczkę bilecików od osób zaproszonych na twoją kolację, pani. Pójdziemy zobaczyć?

Lady Edith zerknęła bystro na swoją młodą towarzyszkę, ale w swej życzliwości nic nie powiedziała. Po prostu wstała z krzesła i pozwoliła się sprowadzić na dół.

19

Przez większą część popołudnia Alison trzymała nerwy na wodzy, teraz jednak, gdy znów przyszło jej stanąć twarzą w twarz z hrabią, obawiała się, że lada chwila rozstąpi się pod nią ziemia.

Prawdopodobnie dobrze się stało, że Meg nadal leżała w łóżku, zaraz bowiem po przybyciu Marchford poprosił lady Edith i Alison o rozmowę i nieco się zacinając wyraził swój żal z powodu nieporozumienia, skutek którego z taką zajadłością ściagał Alison. Przeprosił ją także za postawienie jej w fatalnej sytuacji wobec Jacka Crawforda. Niewątpliwie mówił szczerze, Alison bez trudu przyjęła więc jego zapewnienia o życzliwości.

Powinna wpaść w euforię. Wreszcie była wolna. Wolna od zagrożenia zemstą, która wisiała nad nią cztery lata i od natarczywości Jacka. Lady Edith również przyjęła przeprosiny Marcha bez zastrzeżeń.

- Nie przejmuj się, kochany chłopcze - stwierdziła z ulgą i radością. - Już ci powiedziałam, że miałeś powody do gniewu, i jestem pewna, że Alison podziela mój pogląd. Bądź co bądź - zerknęła na Alison - gdyby ta nieznośna pannica porozmawiała z tobą na samym początku, moglibyśmy uniknąć wszystkich tych przykrości. - Alison sztywno przytaknęła. - No, ale już po wszystkim - wesoło ciągnęła lady Edith. - Nie musimy dłużej się tym trapić. Znowu jesteśmy w przyjaźni.

Tylko że to jeszcze nie wszystko, pomyślała Alison. Spojrzała na mężczyznę siedzącego naprzeciwko niej w salonie lady Edith. Czyżby naprawdę minęły zaledwie dwa tygodnie od chwili, gdy zobaczyła go pierwszy raz i uznała za całkiem przeciętnego człowieka? Ale już wtedy zwróciły jej uwagę te złociste oczy. Kochała go. Bez wątplenia był to jedyny człowiek, któremu mogła ofiarować swą miłość, mimo iż nie dalej jak poprzedniego wieczoru usłyszała, że jest mu wszystko jedno, co się z nią stanie. Co więcej, na znak pogardy złożył jej odrażającą

propozycję.

- Należysz nam wina, March? - spytała lady Edith. Jej wysoki, przepełniony radością głos brzmiał tak, jakby była małą dziewczynką. - Chyba musimy jakoś to uczcić. - Spojrzała pytająco na bratanka.

March przez dłuższą chwilę nie odrywał oczu od Alison, wreszcie jednak odwzajemnił spojrzenie starszej pani.

- Ciociu - powiedział cicho. - Czy możemy zostać z panną Fox na chwilę sami? Muszę jej jeszcze coś powiedzieć.

Lady Edith na moment zakryła usta dłonią.

- Ojej, nie... - Zerknęła na Alison, która po chwili wahania nieznacznie skinęła głową. - No, dobrze. Ale niedługo. Meg zaraz zejdzie z góry i... - W połowie zdania wyszła z pokoju, choć po drodze do drzwi obejrzała się jeszcze przez ramię.

- Proszę, Alison, niech pani usiądzie - powiedział March.

Alison, która wstała jednocześnie z lady Edith, sztywno opadła z powrotem na krzesło. March usiadł obok niej, wkrótce jednak wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Po chwili zatrzymał się przed nią. Alison pomyślała, że chyba źle spał w nocy. Policzki miał poprzecinane głębokimi bruzdami, a mięśnie twarzy napięte.

- Nie bardzo wiem, jak mam to zrobić - zaczął z nieśmiałym uśmiechem. - Chcę jednak prosić cię, pani, o wybaczenie czegoś niewybaczalnego.

Alison zmartwiała, dla niepoznaki przybrała jednak maskę obojętności. Była bowiem przekonana, że taka jest najlepsza obrona przed uczuciami, które żywiła do tego mężczyzny.

- Przede wszystkim muszę powtórzyć, że jest mi bardzo przykro - ciągnął. - Przez ostatnie cztery lata żyłaś, pani, w lęku z mojego powodu.

- Gdyby twoje podejrzenia, milordzie, okazały się słuszne, to miałbyś wszelkie prawo do gniewu - odparła chłodno. Z zadowoleniem pomyślała, że posługuje się tym tonem z coraz większą wprawą.

- Ale żeby ścigać cię tak zajadle, żeby poprzysiąc ci zemstę...

- Jestem pewna, że okoliczności usprawiedliwiają twoje postępowanie, milordzie - odrzekła w pośpiechu. Boże, czemu on to wszystko mówi? - Gdybym podejrzewała cię o doprowadzenie do śmierci bliskiego mi człowieka, to zapewne mogłabym zachować się bardzo podobnie.

- Możliwe, choć osobiście w to wątpię. Nie masz, pani, w sobie mojej nierozumnej mściwości. - Ironia w jego głosie była wyraźna, więc Alison nie miała wątpliwości co do znaczenia tych słów. - A w ogóle to jeszcze nie wiesz wszystkiego, bo początkowo wcale nie zamierzałem mówić ciotce, kim jesteś. - Zobaczył, że jest zaskoczona. - Wczoraj wieczorem chciałem zdemaskować cię, pani, w towarzystwie. W klubie było dość „dżentelmenów”, nie wątpiłem więc, że wiadomość o szulerce wkrótce dotrze do uszu ciotki.

Smutne spojrzenie Marcha wzbudziło bolesny odzew w sercu Alison.

- Tak - ciągnął - było we mnie aż tyle nienawiści. Ale mimo to z czasem zacząłem myśleć o tobie, pani, jak o przyjacielu. W głębi serca czułem, że nie jesteś chciwą oszustką, za jaką cię uważałem. A gdy zobaczyłem, jak stoisz sama i bezbronna wśród tych szumowin, nie mogłem pozwolić, żebyś przeżyła takie upokorzenie.

Alison pochyliła się ku niemu.

- Powiedz mi coś, milordzie. Czy gdybyś mnie nie znał, to zostawiłbyś mnie w tym klubie na łasce losu i tych ludzi?

Coś między nimi niepostrzeżenie się zmieniało, powietrze było jak naładowane elektrycznością. Alison ledwie mogła znieść przenikliwe spojrzenie Marchforda.

- Dziś wolałbym myśleć, że nie - odparł wolno - ale nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Alison usiadła wygodniej. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo ucieszyła ją szczerść Marchforda. A także to, że nazwał ją przyjacielem. Przyjaźń z Marchfordem? Właśnie, przypomniała sobie. Kiedyś sądziła, że to by ją zadowoliło. Zaciśnęła dłonie do podłogi.

- Powtarzam, milordzie, że nie ma nic do wybaczenia. Ten... epizod naturalnie nie był przyjemny, ale lady Edith ma rację, nazywając go nieporozumieniem. Bardzo niefortunnym nieporozumieniem.

- A to, że cię wczoraj wieczorem obraziłem, pani? - March nerwowo przeczesał włosy palcami. - Proszę, wybac mi. Tą propozycją, żebyś została... to znaczy, żebyś skorzystała z mojej opieki, zaskoczyłem siebie samego tak samo jak bez wątpienia ciebie, pani. Znowu przemówiła przeze mnie nienawiść. Boże, Alison! - Opadł na krzesło i ujął jej dłoń. - Miałem przecież dla ciebie podziw i szacunek. Polubiłem cię! A potem dowiedziałem się nagle, że jesteś osobą, której nienawidzę. Poczułem się zdradzony.

Alison poruszyła się niespokojnie. Starła się nie zwracać uwagi na ciepło dłoni Marcha i na absorbujące wrażenie, rozchodzące się od miejsca, które głaskał. Wargi miała zupełnie wyschnięte.

- Bardzo przepraszam... Przepraszam, milordzie, za to oszustwo, którego się dopuściłam. Bo ja też cię polubiłam. - Boże, jak to blade brzmi, pomyślała z żalem. - Trudno mi było żyć w kłamstwie, ale tak jak powiedziałam... - Uwolniła dłoń, a Marchford raz jeszcze wstał, jakby nagle go uderzyła.

- Tak - powiedział cicho. - Tak jak powiedziałeś, pani: bałaś się. - Podeszedł do okna i zaczął przyglądać się nie widzącymi oczami powozom i pieszym, przesuwającym się po Royal Crescent. Po chwili odwrócił się z powrotem do Alison i słabo się uśmiechnął.

- A więc, jak pani powiedziała wczoraj: powiedzieliśmy już sobie wszystko. Oprócz tego... - Zawahał się, przełknął ślinę. - Gdybyś, pani, kiedykolwiek w przyszłości szukała przyjaznej duszy, to proszę o mnie pamiętać. Jestem do twojej dyspozycji.

Znów zamilkł, a w powietrzu znów dało się wyczuć coś, czego Alison nie śmiała nawet nazwać. Wreszcie March się odezwał:

- Jutro wyjeżdżam z Bath. - Powiedział to rzeško i obojętnie, jeśli nie liczyć ledwie zauważalnego załamania głosu. - Najprawdopodobniej już się nie zobaczymy. - Gdy Alison uniosła rękę, zrobił krok naprzód. - Co się stało? - spytał, przejęty nagłą nadzieją.

- Twoja ciotka, panie... liczy, że będziesz obecny na uroczystej kolacji. Wydaje ją za dwa dni specjalnie na twoją cześć. Zaprosiła swoich najlepszych przyjaciół. - Alison uśmiechnęła się, choć był to smutny uśmiech. - Chce się tobą pochwalić, milordzie.

- O Boże. W takim razie muszę jeszcze zostać. Czy jest ci to bardzo nie na rękę, pani?

Alison bez słowa pokręciła głową. Jeszcze jedno kłamstwo. Było jej to bardzo nie na rękę. Chciała, żeby hrabia Marchfordu znikł z jej życia jak najszybciej, zanim wprowadzi do niego jeszcze więcej chaosu. Musiała z powrotem poddać się rygorowi codziennych drobnych obowiązków, żeby o nim zapomnieć. Raz na zawsze wyrzucić z serca wspomnienie jego ciepła, inteligencji, uczciwości, by nie wspominać o urzekających oczach sennego lwa.

March jeszcze raz ujął jej dłoń, musnął wargami palce i po chwili już go nie było. Alison oparła się pokusie i nie podeszła do okna, żeby popatrzeć jego śladem. Przez dłuższą chwilę stała pośrodku pokoju, przyciskając dłoń do warg.

W kilka godzin później Alison siedziała z lady Edith w salonie. Wydało jej się, że od poprzedniego dnia starsza pani odmłodziła o co najmniej dziesięć lat. Nuciała wesoło nad tamborkiem, od czasu do czasu przerywając melodię, żeby powiedzieć coś na temat zbliżającej się kolacji. Wreszcie odłożyła robótkę i spojrzała promiennie na swą młodą towarzyszkę.

- Alison, muszę to jeszcze raz powiedzieć. Niezmiernie się cieszę, że ta przykra i drażliwa sprawa między tobą i Marchem jest wreszcie załatwiona. Co on ci powiedział po moim wyjściu... naturalnie nie musisz mówić, jeśli to jest zbyt osobiste.

- Ależ nie, milady. Pan hrabia jeszcze raz przeprosił za swoje zachowanie. I zaoferował mi swoją pomoc, gdybym kiedyś potrzebowała przyjaznej duszy.

- Ach, tak. Czy to już wszystko?

- Owszem. Uważam, że pan hrabia zachował się bardzo wielkodusznie. Czy jesteś innego zdania, pani?

- Nie, nie. Tylko miałam nadzieję... Och, nieważne. To taki głupi kaprys - powiedziała ze śmiechem, widząc zdziwioną minę Alison. - A teraz powiedz mi, kochaneńka, co zamierzasz włożyć w czwartkowy wieczór. Ja chyba ubiorę się w fioletową jedwabną suknię ze srebrnymi lamówkami, więc może zastanowiłabyś się nad tą różową. Bardzo ci w niej ładnie, chociaż można by jeszcze dodać falbanę na dole. Meg uważa...

Przeszkodziło jej wejście lokaja, który przyniósł wiadomość, że na dole czeka gość.

- To pan Crawford - wyjaśnił. - Przyniósł bukiet dla lady Margaret.

- Co takiego? - zawołały jednocześnie Alison i lady Edith.

- Trudno mi uwierzyć, że ta kanalia ośmiela się tu pokazywać - powiedziała lady Edith, trzęsąc się z oburzenia. - Powiedz mu, Blickling, że dziś nie przyjmujemy.

- Nie! - wykrzyknęła Alison i dodała już spokojniej: - Chciałabym z nim porozmawiać, milady. Mam mu coś do powiedzenia.

- Nic dziwnego - stwierdziła lady Edith. - Ale z pewnością nie chcesz zostać z nim sam na sam. Czy życzysz sobie, żebym z tobą zeszła?

- Nie, nie. Dziękuję, milady, ale nie widzę powodu, dla którego musiałabyś znosić jego towarzystwo. Nie będę z nim długo rozmawiać. Poza tym w twoim domu jestem z pewnością bezpieczna.

- Dobrze, kochaneńka. Wobec tego wychodzę. Wprowadź o, Blickling. - Pośpieszyła do drzwi, ale na odchodnym przystanąła jeszcze i powiedziała. - Na wszelki wypadek zostawię uchylone drzwi do mojego pokoju. W razie potrzeby wołaj.

Alison opanowała mimowolną wesołość i z powagą skinęła głową. Poprawiła spódnice i usiadła sztywno na sofie. Gdy w chwilę później lokaj wprowadził Jacka Crawforda do salonu, wiedziała, że wygląda jak uosobienie godności.

- Och, Alison! - zawołał zdumiony Jack. - Czy wszystko w porządku?

- O, tak. Lady Edith jest na górze, a Meg jeszcze się dziś nie pokazała. Przekażę jej te kwiaty.

- Niech pani nie robi sobie kłopotu. - Jack szybko usiadł obok niej, zostawiając kwiaty na stoliku obok. - To panią chciałem zobaczyć. Wczoraj wieczorem... co się, na Boga, stało?

- Zdemaskowano mnie - odparła Alison, uśmiechając się ponuro. - Niech pan mi powie, Jack, czy te znaczone karty to pańska robota?

- Naturalnie. Sam je pani dałem, już pani nie pamięta?
Alison zacisnęła zęby.

- Nie, Jack. Powiedziałam panu przecież, że nie mam zamiaru ich używać. Zostawiłam tamtą talię w domu. Myślałam, że może w jakiś sposób pan się zorientował i podsunął jeszcze jedną. - Wzruszyła ramionami. - Widocznie zrobił to któryś z pozostałych graczy, a może bankier. Przypuszczam, że reguły gry w tym klubie nie są zbyt przestrzegane.

- Co mnie to obchodzi? - wykrzyknął Jack. - Chcę wiedzieć, co z Marchfordem. Skąd się tam wziął i dlaczego pani stamtąd porwał? - Nagle zamilkł. - Zdemaskowana? Co pani przez to rozumie?

- Dokładnie to, co pan słyszy. Marchford już od dłuższego czasu wie, że jestem Lissą Reynard.

Alison przyglądała się z beznamiętnym zainteresowaniem, jak Jack przyjmuje tę nowinę.

- Przecież wciąż tu pani jest - powiedział zdumiony. - Czy on nie...?

- Nie ukarał mnie? Nie. Doszliśmy do... porozumienia. - Uniosła dłoń, by powstrzymać następne pytanie. - Myślę, że na tym kończymy sprawę. Wciąż jestem damą do towarzystwa lady Edith i prawdopodobnie będę pełnić tę rolę jeszcze dość długo.

W przymrużonych oczach Jacka z wolna zaczynało pojawiać się zrozumienie, a za nim popłoch. Alison uśmiechnęła się mściwie.

- O, widzę, że coś panu świta, Jack. Tak, już nie ma pan mnie czym szantażować. Dlatego z wielką przyjemnością proszę, żeby opuścił pan ten dom i więcej się tu nie pokazywał.

- Ależ Alison! Obiecałaś!

- Niczego panu nie obiecywałam. Uległam szantażowi, ale z tym już koniec. Przez wzgląd na pamięć Beth podtrzymuję propozycję pożyczki i więcej niech się pan po mnie nie spodziewa. Radzę panu wziąć te sto funtów i szybko wyjechać z kraju. - Wstała, żeby wyprowadzić go z salonu. Jack zerwał się na równe nogi. Chwytał ją za ramiona.

- Nie rozumiesz, ty głupia, mała...? - Wziął głęboki oddech. - Alison, niech pani posłucha, muszę mieć te pieniądze. Moje życie nie będzie warte złamanego pensa, jeśli ich nie zwrócę. Musi mi pani pomóc!

Alison wyrwała się z uścisku.

- Zaproponowałam panu pomoc - powiedziała zimno. - Jeśli nie chce pan z niej skorzystać, to pańska sprawa. Szczerze mówiąc już dość dawno straciłam dla pana resztki sympatii. A teraz proszę wyjść albo zawołam lokaja, żeby panu pomógł.

Przez chwilę Jack stał jak skamieniały i Alison widziała, że z jego spojrzenia przebijają panika. Potem odsunął ją od siebie i cofnął się o krok. Twarz miał bielszą od swego modnego, spiczastego kołnierzyka. Oczy lśniły mu złowieszczo.

Obrócił się na pięcie i chwiejnym krokiem wyszedł. Wstrząśnięta Alison ruszyła sztywno do drzwi, chcąc się upewnić, że Jack istotnie opuścił dom lady Edith.

- Ojej, pan Crawford. Nie wiedziałam, że pan przyszedł w odwiedziny!

Alison z przerażeniem usłyszała radosny głos Meg. Zobaczyła, że Meg zmierza przez hali w stronę Jacka, by go zatrzymać. Przez jedną straszną chwilę zdawało jej się, że rozwścieczony Crawford ją uderzy, ale nie... przystanął, a jego wykrzywione gniewem rysy ułożyły się natychmiast w czarujący uśmiech.

- Lady Meg! Cała i zdrowa! Sądziłem, że wciąż jeszcze jest pani złożona niemocą, ale widzę, że rumieńce wróciły już na pani policzki. To doprawdy wspaniała nowina!

Ku irytacji Alison rumieniec Meg nabrał wyraźnie ciemniejszego odcienia; bratanica lady Edith niezręcznie dygnęła przed Jackiem.

- Dziękuję, panie Crawford za zainteresowanie. Już się czuję dużo lepiej. Cieszę się, że pana widzę, bo chciałam podziękować za wczorajszą pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Jack wysunął przed siebie nogę i skłonił się zamasyżycie. - Pomaganie damom w potrzebie to moja specjalność.

Meg uroczo zachichotała.

- Chyba pan jeszcze nie wychodzi? Czy Alison proponowała panu herbatę?

- Pan Crawford jest umówiony - przerwała jej szorstko Alison. - Musi już iść.

Meg posmutniała.

- Och, szkoda. Ale jeszcze pan do nas przyjdzie, prawda?

Zanim Jack zdążył odpowiedzieć na to nieudolne zaproszenie, Alison położyła mu rękę na ramieniu i szczypanąwszy go znacząco, poprowadziła go na dół, do wyjścia. Przy drzwiach Jack odwrócił się i wesoło skinął ku Meg.

- Jeszcze przyjdę!

- No wiesz, Alison - odezwała się Meg po jego wyjściu. - Zachowałeś się nieuprzejmie wobec pan Crawforda. Prawie po grubiańsku.

- Powiedział mi wcześniej, że się śpieszy - wyjaśniła Alison i dodała z niechęcią. - Zostawił dla ciebie kwiaty. - Wskazała w stronę salonu.

- Och! - Meg popędziła do salonu i wróciła z bukietem w dłoni. - Jak to miło z jego strony. Jeszcze nigdy nie dostałam kwiatów od dżentelmena.

- Czyli nic się nie zmieniło - mruknęła Alison pod nosem. Rozpromieniona Meg nadal tonęła w beztróskich zachwytach.

- Mam nadzieję, że wkrótce znowu go zobaczymy. A ty?

- Myślę, że raczej nie. Pan Crawford powiedział mi, że będzie w najbliższych dniach bardzo zajęty.

Meg tylko uśmiechnęła się znacząco i zbiegła ze schodów. Natomiast Alison poszła poszukać Mastersa, żeby mu zapowiedzieć, że Jack Crawford pod żadnym pozorem nie ma wstępu do tego domu.

Oddalając się od Royal Crescent w stronę swego mieszkania u Gilesa Morgantona w Paragon Buildings, Jack był dość zafrasowany. Wiedział, że Gilesowi nie spodoba się nowiny i, prawdę mówiąc, bał się stanąć z nim twarzą w twarz. Dlatego idąc po George Street znacznie zwolnił kroku. Nie ma się więc czemu dziwić, że dżentelmen stojący w oknie York House zauważył, że pan Crawford chodzi w kółko przed austerią.

W kilka minut później uwagę Jacka przykuł głos, który odezwał się za jego plecami. Obróciwszy się, ujrzał hrabiego Marchfordu. Przeżył chwilę paniki i musiał opanować przemożne pragnienie jak najszybszej ucieczki z tego miejsca, ale w głosie hrabiego, który zapraszał go do środka i proponował napitek, usłyszał kordialną nutę. Instykt radził mu odmówić, jednak niechęć do powrotu do Paragon Buildings okazała się silniejsza. Przybrawszy zatem dość nonszalancką pozę, Jack Crawford wszedł za hrabią do mrocznej sali York House, gdzie podawano trunki. Nieliczni goście, siedzący na wygodnych krzesłach, nawet nie podnieśli głów.

Jack usiadł ciężko naprzeciwko hrabiego. Żaden z nich się nie odezwał, póki nie postawiono przed nimi dwóch kufli piwa.

- Słyszałem, Crawford, że wkrótce opuszcza pan Bath - zaczął March wyjątkowo łagodnym tonem.

- Ja? Nie sądzę. Nie miałem w planach...

- Na pańskim miejscu rozważyłbym to. - Ton robił się coraz ostrzejszy, więc Jack sztywno się wyprostował. - Pańska obecność w tym mieście - ciągnął hrabia cicho - bardzo źle wpływa na samopoczucie osoby, którą darzę przyjaźnią. Nie życzę sobie, by ją pan dalej niepokoił.

Jack próbował udawać chwata.

- Nie wiem, o czym pan mówi - oświadczył i nerwowo poruszył się na krześle. - I nie zamierzam słuchać niczyich rozkazów.

- To bardzo nierozsądnie z pana strony - odparł słodko March. Nagle zmienił taktykę. - Jesteś oślizgłym płazem, Crawford. Nie życzę sobie, żebyś niepokoił Alison Fox, rozumiesz? Jeśli do jutrzejszego wieczora nie wyjedziesz z Bath, to trzeba cię będzie składać z kawałków. Czy wyrażam się jasno?

Jack, nie chcąc stawiać sprawy na ostrzu noża, po prostu odchylił się na krześle i wybałuszył oczy na hrabiego.

- Myślałem... Myślałem, że pan będzie chciał ją zniszczyć. Teraz, kiedy pan wie, że Alison Fox jest...

- Sprawy moje i panny Fox nie powinny pana interesować - przerwał mu chłodno March. - Ale pytałem, czy wyrażam się jasno, a ponieważ pan nie odpowiedział, więc chyba muszę wytłumaczyć dokładniej, o co mi chodzi.

Blyskawicznym ruchem wyciągnął rękę nad stołem, chwycił Jacka za halsztuk i podniósł go z krzesła. Wcisnął mu pięść pod podbródek. Twarz młodego człowieka zmarszczyła się jak przekłuty balonik. Zaczął się dławić. March puścił go i pogardliwie otrzepał ręce. Jack opadł na krzesło, trzymając się za gardło. Oczy miał wytrzeszczone jak żaba.

- Tttak - wybałał płacliwie. - Tak. Wyraża się pan jasno.

- To dobrze. - March wstał od stołu i uprzejmie skinął mu głową. - W takim razie życzę miłego dnia. - Chwilę później już go nie było. Jack gapił się za nim wzrokiem, w którym strach mieszał się z nienawiścią.

20

March stał pośrodku swego salonu w apartamentach York House i w zamyśleniu spoglądał w ogień na kominku. Przyznał, że rozmowa z Jackiem Crawfordem sprawiła mu niejaką satysfakcję, lecz niewątpliwie miałby większą, gdyby rąbnął głową tego płaza o blat stołu, a potem rozpląszczył go na ziemi.

Zaraz jednak wzruszył ramionami. Jakie miał prawo wymierzać sprawiedliwość Crawfordowi, skoro sam wyrządził pannie Fox nie mniej zła? Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Naturalnie jego pobudki były czyste, co go uwalnia od winy, czyż nie?

Opadł na krzesło. Alison mu wybaczyła, w każdym razie tak powiedziała, ale to nie uleczyło jego sumienia, a tym bardziej serca. Dobrze wiedział, że kocha kobietę, której nigdy nie będzie mógł mieć. Uważałby się za szczęśliwca, gdyby po tym wszystkim zaszczyliła go swą przyjaźnią. Boże, zaczynał nienawidzić słowa „przyjaźń”.

Mimo woli zadał sobie pytanie, co teraz robi panna Fox. Założyłby się, że nie myśli o sobie. Pewnie pomaga ciotce organizować kolację albo poszła z Meg po zakupy. Wyobraził sobie Alison z wdziękiem idącą ulicami Bath, w pelisce i czepku, z zaróżowionymi policzkami i wielkimi, niebieskimi oczami promieniejącymi radością. Boże, czy ta jego namiętność kiedyś wygaśnie? Pokręcił głową. Równie dobrze mógłby się zastanawiać, czy może

przestać oddychać.

Przez chwilę rozważał, czy nie wybrać się później do pijalni. Tam mógłby ją spotkać. Nie, zdecydował. Przyrzekł sobie trzymać się z dala od niej. Musi wytrzymać aż do czwartkowego wieczoru. Podczas kolacji Alison z pewnością będzie zajęta gośćmi, ale przy odrobinie szczęścia i wytrwałości może uda mu się na chwilę oderwać ją od obowiązków. Tę chwilę będzie potem wspominać przez całe życie.

Czwartek wydawał mu się jednak bardzo odległy.

Tymczasem Alison oddawała się akurat znacznie mniej wdzięcznemu zajęciu niż zakupy. Siedziała przy stole w jadalni z panią Hopgood, pulchną i bardzo sprawną gospodynią lady Edith. Raz jeszcze rzuciła okiem na jadłospis, który razem zestawili, potem wstała i przeciągnęła się.

- No, to chyba skończyłyśmy. A dom aż łśni. Widać, że nie daje pani służbie odpocząć. Gdyby te kandelabry poczyścić jeszcze przez chwilę, to goście chyba by oślepli.

Pani Hopgood wyprostowała się, zadowolona z pochwały. Mruczając podziękowania, wstała od stołu i opuściła pokój.

Alison pozostała jeszcze przez chwilę w jadalni, rozmyślając nad czwartkową kolacją. Jej myśli nieustannie kierowały się ku jednemu tylko gościowi. March we fraku prezentuje się wspaniale, a w świetle świec jego oczy nabierają koloru złota. Czy te oczy będą jej wypatrywać? Próbowała odsunąć od siebie tę myśl, wiedziała bowiem, że tylko trzymanie się z dala od Marcha w czwartkowy wieczór może uratować ją od zguby. Dzięki Bogu, że March wkrótce wyjeżdża, powtórzyła sobie już chyba setny raz. Lady Edith na pewno wybierała się do Londynu na jego ślub, Alison była jednak zdecydowana poprosić ją o zwolnienie z tego obowiązku.

Nagle przyszła jej do głowy jeszcze straszniejsza myśl. Boże, żeby tylko March nie przywiózł swojej narzeczonej w odwiedzinach do ciotki! Tego by nie zniosła. W każdym razie bez wątpienia musiała unikać Marcha w czwartkowy wieczór. Lepiej nawet nie rozmawiać z nim przed jego wyjazdem.

Wiedziała jednak, że nie będzie w stanie usłuchać głosu rozsądku. Tak bardzo chciała go jeszcze raz zobaczyć. Pożegnać go, szczerze, z serca. Dręczyła ją świadomość, że do czwartku jest jeszcze bardzo, bardzo daleko.

Nawet wieczność trwająca dwa dni musi w końcu minąć, więc mniej więcej po roku nadszedł czwartek, bezchmurny, słoneczny i ciepły. Już przed śniadaniem Alison nie miała dla siebie ani jednej wolnej chwili, a przed lunchem wezwano ją do pomocy przy układaniu w wazonach kwiatów, dostarczonych właśnie przez kwiaciarza.

Meg również zaoferowała pomoc w przygotowaniach, ale ponieważ polegało to przede wszystkim na robieniu zamieszania, Alison zachęciła ją do spędzenia kilku godzin z przyjaciółkami, które wybierały się odwiedzić znajomą w Bailbrook, przy londyńskim trakcie. Całe towarzystwo odjechało w wyśmienitych humorach jakieś dwie godziny przed lunchem.

Alison zerknęła na kwiaty, rozłożone na stole w niewielkiej, przylegającej do kuchni służbowce, i oczy zasnuła jej mgła. Przesunęła palcami po irysie i żółtym narcyzie, i przypomniała sobie, jak kilka dni wcześniej March brał kwiaty z tego samego stołu i w rezultacie wziął ją w objęcia. Zadrżała na wspomnienie jego dotyku i ciepła warg, przytuliła kwiaty do policzka. Musiała kilka razy głęboko odetchnąć, by ostudzić rozmarzone ciało i wrócić do rzeczywistości. Właśnie zaczęła pracować nad wielkim bukietem do hallu przy wejściu, gdy w korytarzu rozległ się odgłos szybkich kroków.

- Finster! - zawołała, widząc pokojówkę Meg, przemykającą się do pokoju. - Co ty tu robisz? Nie pojechałaś z lady Meg do Bailbrook?

Od czasu niefortunnej wyprawy Meg na bal maskowy Finster bardzo się starała unikać spotkań z Alison, ponieważ to ona właśnie pomogła wtedy swojej pani potajemnie wyjść z domu. Alison bardzo się więc zdziwiła widząc, że pokojówka rączy do niej podbiega i z niepokojem chwyta ją za rękaw.

- Tak, proszę pani, pojechałam. Ale panna Meg jest jeszcze z przyjaciółkami, a na pewno... och, panno Fox, boję się o nią. Żeby jej się nie stało mi złego!

Zaniepokojona Alison patrzyła teraz na pokojówkę z wielką uwagą. Posadziła ją na najbliższym krześle.

- Co się stało, Hannah? - zwróciła się do niej po imieniu, żeby dziewczyna poczuła się swobodniej. - Powiedz mi.

- To było tak, że panienki i dwie mamy siedziały w dwóch karetach, więc był duży ścisk, pani wie. No, i ledwie dojechaliśmy na Grosvenor Place, pani Pargeter powiedziała, że w takiej małej herbaciarni, którą właśnie minęliśmy, sprzedają najlepsze na świecie kruche ciasteczka ze śliwkami. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak stanąć. Weszliśmy do herbaciarni, a tam wchodzi za nami pan Jack Crawford.

- Jack! - syknęła Alison.

- Tak, proszę pani. Wiem, że pani go nie bardzo lubi.

- To prawda - przyznała cicho Alison.

- Co gorsza, był z drugim dżentelmenem i tamtego też poznałam. Tak - dodała w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Alison. - U nas nigdy nie był, ale widziałam, jak się kręci przy domu. Wypytywał młodsze pokojówki, kiedy czyściły kłamki albo zamiatały schody. Taka łasica z zezowatymi oczkami. Otóż pan Crawford cały się rozpromienił. Przywitał panienki i ich mamy, zaczął prawić lady Meg komplementy i zaraz dostał od niej zaproszenie, żeby przyłączyć się do kompanii.

- Och, nie! - Niech diabli porwą Jacka Crawforda. Jak śmie zalecać się do Meg po tej odprawie, którą dostał?
- Tak było. Tyle że dla niego i tego Gilesa - jak mu tam? - nie było już miejsca w karetach, więc pan Crawford z rewerencją, jak się należy, mówi, że weźmie lady Meg do swojej kariolki. Ta mała trzpiotka, za przeproszeniem pani, od razu stanęła w pąsach. Ale w kariolce było miejsce dla dwóch osób, więc ten zezowaty... o, Morganton się nazywa - powiedziała Hannah w nagłym przebłysku pamięci. - Więc ten Morganton mówi, że to nie szkodzi, bo on i tak chciał już wrócić do domu, więc najmie fiakra, żeby go odwiózł.

- Jednego nie rozumiem. Dlaczego ty też wróciłaś do domu?

- To z powodu pani Binsham, mamy Mary Binsham - powiedziała Finster z oburzeniem. - Ta kobieta, proszę mi wybaczyć, jest gruba jak beczka i od początku narzekała, że zajmuję miejsce w karecie. Mówiła, że się dusi i że lady Meg nie potrzebuje pokojówki, skoro jedzie na wycieczkę ona i pani Featherstone. Nie spodobało mi się, że lady Meg ma jechać w towarzystwie pana Crawforda, ale pomyślałam, że dopóki jadę za nimi karetą, nic złego się nie stanie. No, więc zaczęła wsiadać do karety, a tu słyszę, jak pani Binsham mówi do lady Meg: „Możesz odesłać swoją pokojówkę do Bath razem z panem Morgantonem. W ten sposób wszystkim nam będzie wygodniej”.

Alison mruknęła coś niezrozumiale.

- Tak było - podjęła Hannah. - Lady Meg, wiadomo, uznała, że to wspaniały pomysł. Nie chciałam, ale kazała mi wrócić, no a oni odjechali beze mnie, lady Meg zadowolona jak kot, co żezał kanarka.

- Dziwię się, że ten pan Morganton przystał na taki pomysł - powiedziała Alison po chwili.

- Mnie się widzi, że Jack Crawford i ten Morganton wszystko sobie umyślili wcześniej, bo jak się rozchodzili, to tak dziwnie na siebie spojrzeli. A potem - czy pani uwierzy? - Ten zezowaty typ powiedział do mnie, że zanim pojedziemy z powrotem, to chciałby coś zjeść. Mnie tam nie tak łatwo nabrać. Uśmiechnęłam się i powiedziałam, że muszę iść do wygódki i poczekam na niego na dworze. Jak tylko wszedł do herbaciarni, ja smyk na drugą stronę drogi, do stajni. Kazałam się zawieźć gigiem do domu. Na szczęście miałam w torebce tyle, ile trzeba, więc zaraz odjechałam. - Mała pokojówka zacerpnęła tchu. - Może się mylę, proszę pani, ale zdaje mi się, że ten Jack Crawford coś knuje względem lady Meg, a ten zezowaty Morganton mu pomaga.

Alison przez chwilę milczała. W głowie miała zamęt. Jack był wściekły, że dostał od niej odprawę, a poza tym się bał. Desperacka potrzeba zdobycia pieniędzy i lęk przed wierzycielami musiały go skłonić do gorączkowych poszukiwań wyjścia z sytuacji. Niedługo pewnie się zastanawiał, by dojść do wniosku, że lady Margaret Brent może go ocalić. Boże! Jack zamierzał skompromitować Meg i w ten sposób zmusić rodzinę Brentów do oddania mu jej za żonę! Miałby wtedy pieniądze na pokrycie natychmiastowych potrzeb i prawie nieograniczone możliwości dalszych spekulacji.

Alison wiedziała, że musi mu przeszkodzić. Zwróciła się do pokojówki.

- Nieba cię zesłały, Hannah! Zdaje się, że uchroniłaś lady Meg przed znalezieniem się w bardzo przykrych sytuacji. Sprowadź Blicklinga, spotkamy się przy stajni. Musimy ich dogonić.

Pokojówka wybiegła ze służbówki. Alison nabazgrała liścik do lady Edith i też wypadła z domu. W stajni przyjrzała się dostępnym pojazdom. Niestety, lady Edith nie miała kariolki, bo sportowy zaprzęg był jej niepotrzebny. Karetą do jazdy po mieście była wielka i ciężka, a druga, używana na dłuższe trasy, jeszcze cięższa.

- Weźmiemy gig - powiedziała zafrasowanemu koniuszemu. - O, Blickling! - zawołała do młodego lokaja, biegnącego ku niej z Hannah. Był to młody, krzepki mężczyzna z płowymi włosami i okrągłymi niebieskimi oczami, które w tej chwili błyszczały z podniecenia.

- Hannah wszystko wyjaśniła, psze pani - powiedział gorączkowo. - Znajdziemy ich, nie ma strachu.

Whatley, koniuszy lady Edith, w milczeniu zaprzął konia do gigu. Tylko pokręcił głową na widok trzyosobowego pościgu opuszczającego stajenny dziedziniec.

- Szkoda, że nie mamy dwóch koni w zaprzęgu - sapnęła Alison. - Ale gig jest mały i lekki, chyba nawet lżejszy od kariolki, więc powinniśmy mieć nad nimi przewagę.

Rozmowa podczas jazdy przez Bath ograniczała się do półsłówek. Młody lokaj powoził z zadziwiającą zręcznością, wkrótce więc znaleźli się na londyńskim trakcie, a potem opuścili przedmieścia. Dopiero jednak po dwóch godzinach, gdy minęli już Lambridge, pościg przyniósł owoce.

- Patrzcie! - zawołała Hannah, wskazując palcem.

Alison wyteżyła wzrok i zobaczyła dwie karety, stojące na poboczu drogi. Gdy podjechali bliżej, ich oczom ukazała się mała grupka ludzi, gestykulujących z podnieceniem. Alison wypatrzyła Sally Pargeter i kazała Blicklingowi przystanąć. W chwili, gdy wysiadała, Sally odłączyła się od grupki i ruszyła biegiem w ich stronę.

- Och, panno Fox! Jakie to szczęście, że pani nadjechała! Mielśmy wypadek!

Alison upewniła się, że nikomu nic się nie stało, po czym szybko wypytała dwóch stangretów majstrujących przy tylnym kole w jednym z powozów.

- Szlag trafił to pienińskie świństwo, przepraszam jaśnie panią za wyrażenie. Trzasnęła nam szprycha. Nic z tego nie rozumiem. Przysiągłbym, że jak wyjeżdżaliśmy, wszystko było dobrze. Przecież bym zauważył. - Krzepki mężczyzna wskazał koło leżące na drodze, niedaleko smutno przechylonej karety. - Tego się nie naprawi. Właśnie mieliśmy wysłać drugą karetę po pomoc, ale może pani wyśle tego młodego człowieka. - Grubym kciukiem wskazał Blicklinga. - Na pewno będzie szybszy.

- Ale... - Alison rozejrzała się dookoła - czy nie wysłałeś po pomoc pana Crawforda? Nie widzę jego kariolki. W tym miejscu wmixszała się pani Binsham. Jej nalana twarz płonęła oburzeniem.

- Bo jej tu nie ma - powiedziała i głośno sapnęła. - Nie widzieliśmy pana Crawforda ani panny Meg od co najmniej dziesięciu mil.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Alison; serce podeszło jej do gardła.

- Zaraz jak wyjechaliśmy, pan Crawford popędził konia i śmignął jak strzała. Ani się obejrzelismy, a już nie było po nim śladu. To skandal, moi państwo!

Alison odwróciła się bez słowa i wskoczywszy do gigu, kazała Blicklingowi jechać dalej.

- Poczekajcie! - zaskrzeczała rozdzierająco pani Binsham. - Przecież nas tu nie zostawicie!

- Przepraszam bardzo! - odkrzyknęła Alison. - Przyślemy wam pomoc, jak tylko dogonimy Meg. Wkrótce dotarli do skrzytu na Bailbrook i Blickling uniósł ręce, chcąc skierować konia w lewo.

- Nie! - zawołała Alison. - Jack nie skręcił do Bailbrook. Na pewno pojechał prosto, więc zrobimy to samo. Trzymaj się londyńskiego traktu, to niedługo go zobaczymy.

Boże, modliła się, żebyśmy tylko zaraz ich dognali. Nagle ogarnęło ją poczucie winy, uświadomiła sobie bowiem, że wprawdzie jest wściekła na Jacka o tę awanturę z Meg, ale głównie z powodu Marcha. Czyżby znów miało dojść do tragedii w rodzinie Brentów? Meg wprawdzie nie groziła śmierć, ale gdyby musiała wziąć Jacka za męża, miałyby zrujnowane życie, a March cierpiałby z tego powodu nie mniej niż ona. Alison czuła, że ogarnia ją rozpacz. Nie wątpiła, że jest pośrednio odpowiedzialna za tę katastrofę, tak samo jak była odpowiedzialna za śmierć Williama, Susannah i starego hrabiego. To przez nią i Crawford poznał Meg. March nie będzie jej za to winił, ale to jeszcze jeden powód, żeby gorzko żałował, że Alison Fox kiedykolwiek wyjechała z małej, spokojnej wioski zwanej Ridstowe i wmixszała się do jego życia.

Przemierzali milę za milą, jednak Jack jakby się rozplynął. Rozpacz Alison pogłębiała się z każdą chwilą. Wiedziała, że Jack nie zdąży w jeden dzień dotrzeć do Londynu, ale gdyby udało mu się osiągnąć Marlborough, to mógłby skręcić na jedną z bocznych, mniej uczęszczanych dróg do stolicy, nie tracąc na tym wiele czasu. Nie wydawało jej się prawdopodobne, żeby ryzykował postój.

Mimo to uważnie obserwowała dziedzińce wszystkich mijanych zajazdów. W pewnej chwili głośno wciągnęła powietrze. W tej samej chwili Hannah zerwała się z siedzenia.

- Patrzcie! - zawołała, wyciągając rękę. - Tam, przed stacją pocztową! Ta panna w różowym muślinie to przecież lady Meg!

21

Dzięki Bogu! - odetchnęła Alison. Meg wprawdzie wrywała się z objęć Jacka, ale wydawało się, że nie poniosła najmniejszego szwanku. Oboje walczyli z taką zaciekłością, że nie zwrócili uwagi na nadjeżdżający gig. Blickling, któremu Hannah wytłumaczyła, w jakich tarapatach znalazła się Meg, podszedł energicznie do Jacka i położył mu dłoń na ramieniu.

- Co, do diabła...? - burknął Jack i obrócił się na pięcie. Na widok Alison osłupiał. Meg dostrzegła ją w tej samej chwili i rzuciła się jej w ramiona.

- Och, nawet nie wiesz, co się stało. Ten straszny człowiek próbował mnie uprowadzić!

W tym momencie Blickling najwyraźniej uznał, że w tej sytuacji same słowa nie wystarczą, więc zręcznie wymierzonym ciosem powalił Jacka na ziemię.

- No, no, no... - Hannah westchnęła, z zachwytem patrząc na młodego lokaja.

- Dziękuję, Blickling - powiedziała niepewnie Alison. - Ale nie bij go więcej. Myślę, że już mu wystarczy. - Zwróciła się do Meg, która stała wstrząsana szlochem, wtulając twarz w jej suknię. - Spokojnie, kochanie. Już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna.

Czubkiem pantofla Alison dźgnęła Jacka, który zaczął się poruszać.

- Ty szubrawcze! - powiedziała bezbarwnie. - A ja przez cały czas próbowałam przekonać siebie i innych, że nie jesteś w gruncie rzeczy złym człowiekiem. Wstawaj! - Dźgnęła go jeszcze raz i Jack z jękiem się podniósł. Zerknął z nienawiścią na Blicklinga, ale nie próbował wziąć odwetu za imponującego guza, który wyrósł mu na szczęcie.

- Alison! Wszystko można wyjaśnić...

- Wyjaśnić! - krzyknęła przenikliwie Meg, zbliżając się do Jacka. Szybkim ruchem wymierzyła mu policzek. Ponieważ trafiła w okolice guza, Jack wrzasnął z bólu. - Chciałabym usłyszeć, jak pan wyjaśni to, że podstępem zwabił mnie pan do swojej kariolki, a potem, gdy zwróciłam panu uwagę, że minęliśmy drogę do Bailbrook, zaczął pan mi wmawiać androny o skrócie.

- Tak - przyznała Alison, ciskając z oczu gromy. - Ja też chciałabym to usłyszeć.

- Może wejdziemy do środka, psze pani - wtrąciła się Hannah, wskazując tłumek gapiów zbierający się dookoła.

Alison skinęła głową i pociągnęła Meg do wnętrza zajazdu. Dała znak Blicklingowi, żeby wprowadził Jacka. Lokaj zastosował w tym celu prosty środek - wykręcił Crawfordowi rękę na plecach, jednocześnie chwytając go za kołnierz. Właściciel zajazdu dał im do dyspozycji dyskretny salonik na tyłach budynku. Tam Alison zwróciła się do Crawforda.

- No, Jack. Coś ty wymyślił?

- Przecież już powiedziałam - płaczliwie zapiszczała Meg. - Chciał mnie uprowadzić! Kiedy zobaczyłam, że jedziemy do Londynu, udałam, że jest mi niedobrze i powiedziałam mu, że pożałuje, jeśli się na chwilę nie zatrzymamy.

- Bardzo sprytnie, Meg - pochwaliła Alison, żeby trochę ją uspokoić.

- Wcale nie miałem zamiaru jej uprowadzić - mruknął ponuro Jack i odskoczył, bo Meg znów rzuciła się w jego stronę.

- Ty ohydny łotrze! Powiedz jeszcze jedno słowo, a...! - Groźnie uniosła pięści. Blickling popatrzył na nią z jawnym zachwytem.

- Alison! - jęknął błagalnie Jack. - Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Naprawdę mogę wyjaśnić... - Drgnął niespokojnie, zerknąwszy kątem oka na Meg. - Powiem pani, co się stało, tylko porozmawiajmy w spokoju, bez tego zamieszania.

Alison zawahała się. Nie ufała Jackowi Crawfordowi ani trochę, ale gdyby naprawdę miał jakieś wytłumaczenie... Poza tym była pod strażą Blicklinga.

- Zgoda, Jack. Meg, czy czujesz się na siłach wrócić od razu do Bath? - Panna energicznie skinęła głową, więc Alison mówiła dalej: - Hannah, wobec tego wyprowadź lady Meg na dwór. Blickling niech poczeka z wami. Mnie to zajmie tylko chwilę.

Trzyosobowa grupka hałaśliwie protestując przeciwko temu zarządzeniu w końcu opuściła salonik i udała się do wyjścia. Alison ponownie zwróciła się do Jacka.

- No, więc tak - powiedział z nerwowym chichotem. - Naprawdę nie miałem zamiaru uprowadzić Meg. Przynajmniej nie na stałe.

- Naturalnie, że nie - odparła Alison. - Chciał pan tylko ją skompromitować. Wejście przez małżeństwo do rodziny Brentów rozwiązałyby wszystkie pana kłopoty, prawda?

- To wcale nie o to chodziło - obruszył się Jack. - Nie zamierzałem jej skompromitować. Co zaś do małżeństwa... No, nie. Też nie. Chciałem tylko postawić Marchforda w sytuacji, w której musiałby mi zapłacić dużą sumę za milczenie.

- Boże! Chciał go pan szantażować?

Jack nerwowo drgnął. Spróbował przymilnie się uśmiechnąć.

- Tylko trochę. Przecież stać go na to, żeby mi odpalić trochę gotówki. - Stwierdził, że uśmiech nie wywołał pożądanego skutku, więc szybko dodał: - A co miałem zrobić? Powiedziałem pani, że nie mam wyjścia. Tu diabeł, tam przepaść.

- Lepiej wybrałby pan przepaść - mruknęła Alison i wstała. - Jeśli tak mają wyglądać pańskie wyjaśnienia, to musi pan jeszcze nad nimi popracować. Idę do Meg. Na pańskim miejscu zachowałabym w najbliższym czasie daleko posuniętą ostrożność. Kiedy hrabia Marchfordu usłyszy o tej historii, będzie pana ścigał jak pies gończy, a bywa bardzo zawzięty.

Jack wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Alison poczuła się nagle niepewnie. W końcu Jack odezwał się cichym, niemal czule brzmiącym głosem. Jednocześnie zbliżył się do niej.

- Och, Alison, czemu pani tak utrudnia mi życie? Gdyby tylko... - Nie dokończył, tylko znieacka wymierzył jej cios w szczękę. Alison zwiotczała, a Jack chwycił ją, gdy się osuwała. Opuścił bezwładne ciało na podłogę i wyciągnął z biurka przy oknie papier listowy. Wziął do ręki pióro, szybko nabazgrał kilka zdań, zwinął kartkę w rulon i cisnął ją na stół, stojący pośrodku saloniku. Potem zawołał przez okno niskiego, krępego młodego człowieka, czekającego na stajennym dziedzińcu. Przerzucił sobie bezwładne ciało Alison przez ramię i z pewnym wysiłkiem wydostał się przez okno na dwór. Z pomocą towarzysza dociągnął nieprzytomną Alison do kariolki.

Wspólnie wrzucili ją na podłogę powoziku, po czym Jack przykrył ciało derką. Po dziedzińcu kręciło się parę osób, ale zajęte swoimi sprawami nie zwróciły uwagi na niecodzienną sytuację.

Młody człowiek wskoczył na siedzenie z tyłu kariolki, Jack zajął miejsce powoźcego, chwycił za cugle i ruszył z miejsca. Kariolka żwawo przetoczyła się przez bramę. Zaraz za bramą Jack nadłożył drogi i wyjechał na londyński trakt dopiero jakąś milę od zajazdu. Tymczasem Meg i jej tymczasowi opiekunowie stali przed bramą i czekali na Alison.

Zerknąwszy na nieruchomą derkę, Jack zachichotał z zadowoleniem.

- Gdy z nory wyskakuje małe - mruknął - mądry człowiek czeka przy drugim wylocie na lisicę. - Głośno roześmiał się z własnego żartu, jeszcze raz popędził konia, gnającego w stronę Londynu.

March wbiegł po schodach do domu przy Royal Crescent, pilnie wezwany przez ciotkę. W sieni natychmiast zobaczył starszą panią. Przemierzała tam i z powrotem mozaikowy parkiet.

- March, wreszcie przyszedłeś! - wykrzyknęła na jego widok. - Dzięki Bogu.

- Przyszedłem zaraz, jak tylko dostałem twój bilecik. Co się stało, ciociu? - Starsza pani była wzburzona i bardzo źle wyglądała. Srebrne włosy miała w nieładzie, a na bladej twarzy malowała się głęboka troska.

- Alison zniknęła! Pojechała za Jackiem Crawfordem!

March poczuł ściśnięcie w dołku.

- Co ty mówisz?

Lady Edith wręczyła mu karteczkę, którą do tej pory wymachiwała.

- Zostawiła mi wiadomość, że Jack wyjechał z Bath, a ona rusza za nim. Mój Boże, czemu miałyby coś takiego zrobić?

March szybko przeczytał liścik. Alison pisała:

Lady Edith. Jack wyjechał z Bath do Londynu. Muszę za nim jechać. Nie martw się, pani, biorę z sobą Blicklinga.

- Blicklinga? - zdziwił się March.

- Tego zupełnie nie rozumiem. Po co ktoś, uciekając z mężczyzną, miałby brać lokaja?

- Uciekając z mężczyzną - powiedział March.

- March - surowo skarciła go ciotka. - Jeśli masz zamiar tylko po mnie powtarzać, to do niczego nie dojdziemy. Nie uwierzę, że Alison uciekła z Jackiem Crawfordem, ale dlaczego ona chce stworzyć takie wrażenie?

- Mój Boże! - March jeszcze raz przestudiował wiadomość. Nie! Tego Alison by nie zrobiła. Przysięgłby, że wobec Crawforda żywiła jedynie pogardę i lęk. Panicznego wyjazdu tego łobuza należało się spodziewać. Ale dlaczego Alison za nim pojechała?

- Czy to jest jej pismo? - spytał, tknięty nadzieją.

- Tak.

March spochmurniał. Spojrzał na ciotkę.

- Jadę za nią. Nie wierzę, że robi to wszystko z własnej woli.

- Jestem tego samego zdania co ty, March. Nie wiem, co się stało, ale znam Alison. Nie znikłaby ot tak, jak pierwsza lepsza lafirynda. A już na pewno nie po to, żeby uciec z Jackiem Crawfordem. Jedź, kochaneńki. - Głos jej zadrzał. - I proszę cię, przywieź ją całą i zdrową.

March obrócił się na pięcie i wybiegł z domu. Wskakując do kariolki, rzucił kilka słów wyjaśnienia Toby'emu, który zajął swoje miejsce z wyrazem determinacji na szelmowskiej twarzy. W chwilę później kariolka opuściła Royal Crescent, wzniesając za sobą obłok pyłu.

Na szczęście ruch w rannych godzinach powszedniego dnia był niewielki, dzięki czemu March skręcił wkrótce na londyński trakt. Ponieważ nie przewidywał szybkiego dognania Crawforda i Alison, skupił uwagę na powoziku i koniach, pędził bowiem, jak to się mówi, na łeb, na szyję. Nagle spojrzał zdumiony. W karecie nadjeżdżającej z przeciwka zauważył bladą twarz siostry, przyklejoną do szyby. Zerknąwszy przez ramię, zobaczył, że Meg wychyla się z okna i macha do niego jak szalona.

Postanowił zignorować te sygnały. Nie miał czasu na rozmówki o niczym z Meg i jej przyjaciółkami. Uniósł ręce, by popędzić konie, lecz niespodziewanie dostrzegł na twarzy Meg wyraz paniki. Zaklął i gwałtownie powściągnął konie. Zeskoczył z kariolki właściwie jeszcze w biegu.

- March! Och, March, dzięki Bogu! - wykrzyknęła Meg, nadbiegając ku niemu poboczem drogi. Rzuciła mu się na szyję i wybuchnęła płaczem. Nad jej ramieniem March dostrzegł Sally Pargeter i kilka innych nie znanych mu panienek z mamami. Całe to towarzystwo gramoliło się z karety.

- Ej, Meg! Co jest, u diabła...? - Delikatnie potrząsnął siostrą.

- Och, March - zaszlochała Meg. - Alison uciekła do Londynu z Jackiem Crawfordem!

Oślupiały March spojrzał na siostrę.

- Co takiego? Skąd o tym wiesz? I na jakiej podstawie przypuszczasz, że uciekła właśnie z nim?

Meg spojrzała na niego z niemądrą miną. Oczywiście miała okrągłe jak guziki.

- Ty wiesz? Skąd...?

- Wszystko jedno - burknął, tymczasem zaś dołączyło do nich towarzystwo, które wysiadło z karety. Powstała nieopisana kakofonia, póki nad wszystkim głosami nie zapanował jeden, należący do pani Binsham.

- A cóż to się dzieje? - spytała matrona, której z oburzenia trząś się zwielokrotniony podbródek. - Czyżbyś pędził tak, hrabio, za damą do towarzystwa lady Edith Brent? - Widząc skinienie głowy w odpowiedzi, pani Binsham wykrzyknęła z satysfakcją cnotliwego człowieka: - Wiedziałam! Lepiej oszczędź sobie wysiłku, milordzie, bo po tej małej ladacznicy już nie ma śladu. Odjechała z tym całym kapitanem Sharpem. Wszeteczna natura, zawsze to mówiłam. To znaczy... - Zająknęła się, widząc jawnie wrogie spojrzenie Marcha.

- Skąd wiesz, pani, że Ali... że panna Fox jest w towarzystwie pana Crawforda? - spytał chłodno March. Miał wrażenie, że wszyscy dookoła słyszą jego bicie serca.

- Przecież zostawiła list! - wykrzyknęła pani Binsham, triumfalnie podsuwając pod nos hrabiego skrawek papieru. March ujął kartkę zdrętwiałymi palcami i przez chwilę nieruchomo się na nią gapił. W końcu przeniósł zdumione spojrzenie na Meg.

- Nie rozumiem, co ty masz z tym wspólnego? - stwierdził. - Co panie mają z tym wspólnego? - poprawił się, omiatając wzrokiem panny i kobiety.

Meg, która wyczuła jego oszołomienie, położyła mu rękę na ramieniu.

- To bardzo proste, March. Zaraz ci wyjaśnię. - W kilku zdaniach zrelacjonowała okoliczności, w wyniku których trafiła do zajazdu przy londyńskim trakcie, znajdującego się kilka mil dalej. March słuchał z coraz bardziej wściekłą miną, jakoś jednak powstrzymał się przed złajaniem siostry, na co bez wątpienia zasługiwała, choćby

tylko z powodu nagłego odjazdu z Crawfordem w jego kariolce. Postanowił odłożyć tę rozmowę na później.

- Wyszliśmy na dwór, tak jak nam kazała - ciągnęła Meg - i czekaliśmy przed zajazdem. Czekaliśmy i czekaliśmy. W końcu wróciliśmy do saloniku w zajęzdzie i okazało się, że Jacka... to znaczy pana Crawforda i Alison już tam nie ma. Został tylko list na stole. - Wskazała kartkę, którą przed chwilą podała bratu. - Zgodnie z tym, co tam jest napisane, Alison doszła do wniosku, że woli pojechać do Londynu pod opieką Jacka Crawforda, niż zostać w Bath i czekać, aż pomarszczy się jak suszona śliwka. Ona używała takich słów, pamiętam. Ale - dodała natychmiast - nie sądzę, żeby sama to napisała.

- Znasz jej pismo? - spytał March.

- Nie, ale...

- Ależ milordzie - wtrąciła się znowu pani Binsham, eksponując wysuniętą szczękę przypominającą w tej chwili lemiesz pługa - To jasne jak słońce, że...

Przerwano jej bardzo niegrzecznie, przed grupkę wystąpiła bowiem Finster i chwyciła Marcha za rękaw.

- Jasne jest, milordzie, że niektórzy ludzie nie mają tyle rozumu, ile Stwórca dał głupiemu kogutowi. Mogę przysiąc, że panna Fox miała chęć wykluć temu Crawfordowi oczy. Prędzej uciekłyby z diabłem niż z tym draniem.

Pani Binsham niebezpiecznie się zaperzyła i już miała zamiar otworzyć usta, ale natychmiast je zamknęła, bo hrabia skinieniem dłoni poprosił o ciszę. Szybko przebiegł wzrokiem liścik nabazgrany niewprawnym charakterem. Nie, nie było najmniejszego podobieństwa do subtelnego pisma, które widział u ciotki. Zresztą nie potrzebował dowodów, by wiedzieć, że jeśli Alison przebywa w towarzystwie Jacka Crawforda, to nie z własnej woli. Pomyślał z egzaltacją, że jego wiara w jej uczciwość jest niezachwiana. W chwilę potem opanował go straszliwy gniew. Ostrzegwał Crawforda, żeby więcej nie sprawiał Alison kłopotów. A ten pętał raz jeszcze spróbował wciągnąć ją w swoje szalone plany. Jak śmiał?!

Porachujemy się, już niedługo - postanowił. March zwrócił się do Meg.

- Gdzie to było?

- W zajęzdzie Horse and Jockey, pod Atford - odrzekła Meg. - Musieli wyjechać stamtąd niecałą godzinę temu. Och, śpiesz się, March! Mam nadzieję, że wychłuszczesz tego wstrętnego pana Crawforda!

March uśmiechnął się ponuro, cmoknął siostrę w czoło i z powrotem wskoczył do kariolki. Wkrótce stał się dla reszty towarzystwa małym punktem na horyzoncie.

- No, słuchajcie, słuchajcie! - wykrzyknęła pani Binsham, ale stwierdziła, że nikt jej nie słucha, więc sapiąc wdrapała się do powozu.

22

Alison oprzytomniała w ciemności. Leżała przykryta jakąś szmatą i czuła, że pęka jej głowa. Bardzo bolała ją też szczęką, a w nozdrza bił przykry odór. Chwilę później zorientowała się, że ma knebel w ustach i związane z tyłu ręce, i że podłoże, na którym spoczywa, jest w ruchu.

Poruszyła się, instynktownie próbując zerwać więzy, ale bez skutku. Za to gdzieś z góry doleciał ją cichy śmiech.

- Zbudziłaś się, Alison? Przepraszam za dość brutalne traktowanie, ale nie dałaś mi wyboru.

Od razu poznała głos Jacka. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że znajdują się w jakimś pojeździe, który zjeżdża na pobocze drogi. Zaraz potem ściągnięto z niej derkę. Zamrugnęła, oślepią blaskiem słońca, po czym przeszła Jacka nienawistnym spojrzeniem.

Jej prześladowca sięgnął do knebla. Alison natychmiast otworzyła usta do krzyku, ale Jack ostrzegł ją łagodnie:

- Nie ma co hałasować, skowroneczku. Jak widzisz, trakt jest pusty. Nikt cię nie usłyszy. - Spojrzał smutno na siniec, który został po jego uderzeniu. - Bardzo cię przepraszam, Alison.

- Bez przerwy to pan powtarza - syknęła Alison przez zaciśnięte zęby i zaczęła się gramolić na siedzenie kariolki.

W śmiechu Jacka słyhać było tylko cień skruchy.

- Masz rację, ale to nie z mojej woli wpadamy z jednego nieszczęścia w drugie. Chyba nie byłoby rozsądnie cię rozwiązać, ale jeżeli będziesz bardzo grzeczna, to nie włożę ci z powrotem knebla do ust. Ostrzegam jednak, że jeśli choćby piśniesz, to obecny tu Felcher po prostu da ci w głowę. - Powiedział to tak poważnym tonem, że Alison nie miała wątpliwości, czy należy wierzyć tej groźbie. Ze zdziwieniem spojrzała na młodego człowieka zajmującego miejsce dla służby. Widząc to, Jack zachichotał.

- Dżentelmen nie wyjeżdża kariolką bez służącego, skowroneczku. Poznaj Twista Felchera. Być może nazywa się w rzeczywistości jakoś inaczej, ale nikt o tym nie wie.

Alison przesłała błagalne spojrzenie. Felcherowi, najwyżej dwudziestoletniemu młodzieńcowi, ten jednak tylko spojrzał na nią wilkiem. Zrozpaczona zwróciła się z powrotem do swego prześladowcy.

- Jack, to jest chorobliwy pomysł. Czy nie wie pan, że będziemy ścigani? Jak długo pańskim zdaniem będą czekać moi towarzysze, nim złączą mnie szukać? Kiedy się zorientują, że mnie nie ma...

- Wszystko załatwiłem - odparł i lekceważąco machnął ręką. - Zostawiłem liścik, który na pewno zniechęci wścibskich ludzi. Zanim ktokolwiek zechce przyjść ci z pomocą, będziemy już bezpiecznie ukryci w Londynie. Bo planuję po drodze tylko jeden krótki postój w miłym, dyskretnym miejscu tuż przy drodze, niedaleko Foxfield. Rano wyruszymy jeszcze przed pierwszym pianiem koguta, a jutro o tej porze będziemy już u celu.

- Czyli gdzie? - spytała lekko Alison.

Jack znowu wyprowadził kariolkę na drogę.

- Na razie ci nie powiem - odparł zamyślony. Bezceremonialnie pchnął ją z powrotem na podłogę kariolki i zarzucił jej derkę na głowę. - Mamy mnóstwo czasu. Zdamy ci to powiedzieć, jak dojedziemy do Londynu.

- Niech pan posłucha, Jack... - jęknęła spod derki.

W odpowiedzi dostała ostrzegawcze uderzenie w głowę.

- Dostyc tego, skowroneczku - powiedział spokojnie Jack. - Pamiętaj, ani mi się waź pisać.

Układając się w swym zatechłym więzieniu, Alison gorączkowo rozważała sytuację. Musiała się jakoś wyswobodzić i uciec, bo jeśli dojadą do Londynu, to jej położenie stanie się rozpaczliwe. Bóg jeden wie, gdzie Jack chce ją ukryć, a choć nie wydawało się prawdopodobne, by trzymał ją pod kluczem bez końca, to ewentualna ucieczka nie na wiele by jej się zdała. W Londynie samotna kobieta bez złamanego pensa przy duszy narażała się na zło, o jakim aż strach było myśleć.

Dobrze, że Jack przynajmniej wyjął jej z ust tę brudną szmatę. Nie wątpiła jednak, że spełniłby swą groźbę i znowu pozbawił ją przytomności, gdyby tylko ośmieliła się krzyknąć. No, tak. Ale gdyby udało jej się wyrwać z jego rąk natychmiast, gdy dotrą do wsi, to może...

Na wszelki wypadek pociągnęła za linkę, którą skrepowano jej nadgarstki, i poczuła w sercu iskierkę otuchy. W pośpiechu Jack, albo jego młody kompan, nie zacisnął węzłów mocno. Ostrożnie, żeby prześladowcy niczego nie zauważyli, zaczęła poruszać rękami próbując się wyswobodzić. Najpierw niewiele to dawało, ale po dłuższym czasie linka trochę się poluzowała. W pewnej chwili Jack odchylił derkę. Alison natychmiast opadła bezwładnie na deski, z głową odchyłoną w bok, jakby była na granicy omdlenia.

- Jack, proszę... - Jęknęła żałośnie, on jednak tylko przepaszczając wzruszył ramionami.

- Naprawdę mi przykro, Alison... - Urwał i skrzywił się. - Zdaje się, że często ci to ostatnio mówię. Szkoda, że jesteś taka nieposłuszna. Sama zobaczysz, że robię to wszystko w twoim interesie. Powinnaś być bogatą damą w Londynie, a nie siedzieć w Bath i spełniać każde widzimisię i wszystkie fanaberie jakiejś staruszki.

Nie mogąc dać upustu wściekłości, jaką wzbudziła w niej ta naiwna przemowa, przeszła Jacka morderczym spojrzeniem. Nie zrażony, ciągnął:

- Na szczęście, skowroneczku, nie będziemy musieli się długo tak męczyć. Jutro usiądziesz obok mnie, bo wtedy na pewno nikt już nas nie będzie szukał. Felcher, rzecz jasna, postara się przypilnować, żebyś nie wpadła na żaden głupi pomysł. - Mrugnął do niej, co zapewne miało znaczyć, że się dogadają, znowu zakrył ją derką.

Oto jeszcze jeden powód, dla którego należy uciec jeszcze przed noclegiem, pomyślała Alison ponuro, w milczeniu siłując się z więzami. Wkrótce jej ulżyło, zdołała bowiem wysunąć jedną rękę z pętli. Dzięki Bogu! Pozostało jej tylko czekać, aż kariolka zwolni przed wsią albo jeszcze lepiej przed rogatką. A wtedy...

W gorączkowych rozmyślaniach przeszkodziła jej głośna wiązanka soczystych przekleństw Jacka. Kariolka zarzuciła i zaczęła nabierać szybkości. Uważając, żeby trzymać ręce za sobą, Alison delikatnie zaczęła się przekręcać, w końcu więc derka zsunęła jej się z głowy. Jack był pochłonięty obserwacją drogi przed nimi, podobnie Felcher, chociaż obaj raz po raz zerkali przez ramię do tyłu.

Alison przekręciła się jeszcze bardziej. Teraz i ona zobaczyła drogę za kariolką. Dość daleko za nimi znajdował się inny pojazd, który zdawał się gnać na złamanie kół. Czyżby Blickling? A może... serce zabiło jej żywiej... może to March. Jack najwidoczniej uważał, że taka możliwość jest bardzo prawdopodobna, bo nieustannie poganiał konie. Twarz wykrzywił mu strach. Nawet na nią nie spojrzął, chociaż tymczasem zdołała całkiem wysunąć się spod derki.

Ścigający ich pojazd zbliżał się coraz bardziej. Aż wreszcie...

- March! - krzyknęła mimowolnie Alison. Naturalnie Jack natychmiast odwrócił się do niej. Uniósł rękę do uderzenia, ale usunęła się i chwyciła go za oba nadgarstki. Konie zwolniły biegu.

Jack zmełł przekleństwo pod nosem, zamachnął się i pchnął ją na podłogę kariolki. Alison zdawała sobie sprawę, że od tyłu zbliża się do niej Felcher. Skuliła się i zasłoniła rękami. Ku jej zaskoczeniu Jack rzucił się jednak do koni. Gwałtownie szarpnął za cugle.

Gdy kariolka stanęła, jeszcze ją uderzył, wydając wściekły charkot. Omal nie straciła przytomności, a Felcher już czyhał z tyłu z pięścią gotową do następnego ciosu.

- Dość! - usłyszała jak przez mgłę głos Jacka. Mocno potrząsnął ją za ramię. - Wsiadaj!

- Co? - spytała jednocześnie z Felcherem.

- Powiedziałem: wsiadaj! - krzyknął przeraźliwie. A potem zwrócił się do Felchera: - Gra skończona, ty głupcze! Marchford nas dogoni, ale jeśli oddamy mu dziewczynę, to da nam spokój.

Z tymi słowy raz jeszcze ją potrząsnął, po czym bezceremonialnie postawił ją na nogi. Wciąż zdezorientowana patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, zaraz jednak zaczęła stawiać opór. Ale Felcher chwycił ją oburącz i dosłownie zrzucił z kariolki na pobocze drogi. Jack, nie oglądając się za nią, pędem odjechał. Po chwili kariolki prawie nie było już widać.

Alison nie patrzyła jej śladem. Zerwała się z ziemi i puściła pędem w stronę Marcha. Hrabia zatrzymał powozik prawie w miejscu. Zeskoczył na drogę i wybiegł jej na spotkanie. Chwilę później Alison padła mu w objęcia.

Przytuliła się do krzepkiego ciała, dającego jej cudowne poczucie bezpieczeństwa, i zaczęła szeptać Marchowi w kamizelkę jego imię, na przemian z czuлыми wyznaniem. Zaraz też go objęła i próbowała przyciągnąć do siebie jeszcze bliżej, jakby mogła stać się jego częścią.

Przez chwilę March zadowalał się tym, że trzyma ją przy sobie, przeżywał radość ocalenia. Pogłaskał ją po brudnych, potarganych włosach, przesunął dłonie na ramiona. Na moment znieruchomiał i spojrzał jej w oczy.

- Alison, dziewczyno najmilsza. Czy nic ci się nie stało? - Wstrząśnięty zauważył siniec na jej policzku. - Boże! Czy ten sukinsyn...?

Skinęła głową; zdrżała. Sprawilo jej wielką przyjemność, że March się o nią troszczy.

- Ale proszę cię, March - wykrzyknęła, czując, jak tężeją mu mięśnie - nie ścigaj go! - Tak dobrze jej było w jego ramionach.

Zaśmiał się smutno.

- Nie będę, przynajmniej na razie. Zresztą, o ile wiem, pan Crawford pędzi co koń wyskoczy ku całkiem odpowiedniej dla siebie karze. Sam nie wymierzyłbym mu lepszej. Na jego powrót do Londynu czeka kilku nieprzyjemnych i bardzo rozłoszczonych dżentelmenów.

Znowu ją objął i delikatnie popchnął w stronę kariolki. Pomógł jej się wspiąć na siedzenie obok niego. Toby również podbiegł do pomocy i przesłał jej promienny uśmiech, który dziwnie nie pasował do jego łobuzerskiej twarzy.

- Jego lordowska mość bardzo się niepokoił, ale skoro jesteś pani z nami, to koniec kłopotów.

Oj, koniec, koniec, pomyślała półprzyciemnie Alison, rozkoszując się widokiem uśmiechu Marcha. W zakamarkach umysłu świtała jej myśl, że ten chwacki pościg był jedynie dowodem miłości Marcha do ciotki Edith, no i naturalnie jego powszechnie znanego poczucia obowiązku, uznała jednak, że dokładniej zastanowi się nad tym później. Tymczasem wystarczała jej świadomość bezpieczeństwa i złocisty blask oczu Marcha.

Przez pierwsze mile powrotnej drogi March był dziwnie milczący. Potem nagle wyprostował się, jakby właśnie powziął decyzję, i zwrócił się do Alison.

- Powinniśmy się zatrzymać przy najbliższym zajeździe. Na pewno chcesz się trochę ogarnąć, zanim wrócimy do Bath.

Zaskoczona Alison przytknęła dłoń do włosów. Boże, wydało jej się, że włożyła rękę do szurzej nory. Popatrzyła po sobie i z przerażeniem stwierdziła, że jej odzienie przedstawia równie oplakany widok. Suknia była w kilku miejscach rozdarta i niewyobrażalnie brudna.

- O, matko! - powiedziała, păsowiejąc ze wstydu. - Masz rację, panie. Sukni nie uda mi się doprowadzić do lepszego stanu, ale jeśli znajdziemy czysty grzebień, to przynajmniej uporządkuję fryzurę.

March szeroko się do niej uśmiechnął, lecz miał bardzo dziwne spojrzenie. Alison przysięgłaby, że patrzy na nią dość zaborczo, widocznie jednak coś jej się zdawało. Może po prostu tak wyglądają oczy mężczyzny, który nad czymś intensywnie rozmyśla. Cóż, zbawca damy wyciągniętej z poważnej opresji ma chyba jakieś prawa. Było, nie było, gdy kariolka zajeżdżała na dziedziniec gospody Five Swans, stojącej na szczycie wzgórza Bower, Alison, pełna wdzięczności dla Marcha, udała się do pokoju, żeby poprawić swój wygląd. Dokonawszy w tej mierze wszystkiego, co było możliwe, zeszła z powrotem na dół. Hrabia czekał na nią w saloniku.

Nieco ją tym zaskoczył, sądziła bowiem, że będzie chciał wyruszyć dalej w drogę natychmiast, gdy tylko uda jej się ogarnąć. Dlatego weszła do saloniku z bardzo zdziwioną miną.

March wstał na powitanie, chciwie chłonąc jej widok. Nawet przed postojem w zajeździe nie mógł spokojnie oddychać, gdyż mimo rozczochranych włosów i sińca na policzku Alison wyglądała czarująco. W pokoju zdołała się trochę doprowadzić do porządku. Z włosami zaczesanymi do góry i związanymi na czubku głowy w improwizowany kok sprawiała wrażenie księżnej w przebraniu. Podobał mu się wdzięk, z jakim się poruszała, i uśmiech bijący z głębin jej niebieskich oczu.

Odetchnął głęboko. Po drodze przyszedł mu do głowy genialny w swej prostocie pomysł, natychmiast powziął więc decyzję, by go urzeczywistnić. Miał jednak tylko kilka chwil na przemyślenie następnego kroku i teraz nie był pewien, czy postępuje rozważnie. Ale wiedział, że jeśli straci tę okazję, to będzie tego żałował do końca życia.

- Usiądź, Alison - powiedział rześko, wskazując jej krzesło w pobliżu zasłoniętego okna. - Napije się pani wina? - Wskazał tacę stojącą na stoliku. - A może lemoniady?

Alison odniosła wrażenie, że hrabia zachowuje się wyjątkowo dziwnie. Gdyby nie miała swoich doświadczeń, sądziłaby, że jest zdenerwowany. Ale czy hrabia Marchfordu może być zdenerwowany? Nie do pomyślenia.

- Czy nie powinniśmy wyruszyć w drogę do domu? - spytała z wahaniem.

- Owszem, wkrótce przyjdzie na to czas. Pomyślałem jednak, że mamy odpowiednią chwilę, by wspólnie to i owo ustalić, zanim wrócimy do ciotki i towarzystwa w Bath.

- Ustalić?

- Tak, w sprawie naszego ślubu. - Powiedział to tak, jakby mówił o codziennych sprawach, Alison sądziła więc przez chwilę, że się przesłyszała albo że zawodzi ją rozum.

- Słucham... słucham? - zająknęła się.

- W sprawie naszego ślubu - powtórzył wolno. - Myślę, że powinniśmy jak najszybciej ustalić, gdzie i kiedy

odbędzie się ceremonia. - Przekrzywił głowę, czym wywołał u Alison skojarzenie z wielkim, czającym się kotem. - A pani nie?

- Co ja nie?

March ujął jej dłoń.

- Wiem, że ta propozycja musiała panią wprawić w pewne zakłopotanie, ale...

Wyswobodziła rękę.

- Zakłopotanie! Milordzie! Mnie się zdaje, że to tobie wszystko się miesza. Ty... Ty mówisz o małżeństwie!

- Tak. Woli pani Bath czy Londyn? A może chciałaby pani wziąć ślub w Ridstowe?

- Milordzie!

- Przecież rozumie pani, że musimy się pobrać. Poza tym jest najwyższy czas, żeby skończyć z tym śmiesznym „milordem”. Niech pani przyjmie do wiadomości, że jest do cna skompromitowana.

Alison zasłoniła usta ręką.

- Och! Och! Ale...

- Wszyscy uważają, że dziś rano uciekła pani z Crawfordem. Przez całe popołudnie pani Bumshot nie będzie robić nic innego, tylko rozpowiadać tę historię po całym Bath. A skoro o tym mowa, to co w panią wstąpiło, żeby pisać ciotce, że ucieka pani z Crawfordem? Poza tym proszę wziąć pod uwagę, że w tej chwili jest pani sam na sam z kolejnym mężczyzną.

Alison zbladła jak ściana; March z najwyższym trudem powstrzymywał się przed porwaniem jej w ramiona.

- Nie napisałam... Ojej. - Nagle pojęła, na czym polega nieporozumienie. - Nie chciałam wspomnieć imienia Meg, żeby nie zmartwić lady Edith - dokończyła niepewnie. - A ty i tak jesteś śmieszny, milordzie! - krzyknęła. - Co mnie obchodzi pani Binsham - nazwisko wymówiła ze szczególnym pietyzmem - i jej gadanie? Wiem, że nie zrobiłam nic złego, i tylko to jest ważne!

- Naprawdę? A czy pomyślała pani o ciotce Edith? Ona, rzecz jasna, stanie murem za panią, tylko jakim kosztem? Ile przyjaciółek będzie do niej przychodzić teraz na kolacje? Ile obelg rzuconych prosto w twarz będzie musiała znieść w Salach Asambłowych?

- O Boże! - Alison jęknęła. Raptownie wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem po saloniku. Wreszcie zwróciła się ponownie do hrabiego: - Wszystko rozumiem, tylko po co ta sugestia, że musisz się ze mną ożenić, panie...? Chyba nie mówisz tego poważnie.

March również wstał i znalazł się o krok przed nią. Położył jej ręce na ramionach i przyciągnął ją do siebie.

- Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej.

- Ale... - Gdy na niego spojrzała, wydało mu się, że widzi niezapominajki, zerwane w leśnej głuszy. - To niemożliwe, panie, żebyś chciał się ze mną ożenić.

- Istotnie, niemożliwe - przyznał ze śmiertelną powagą w głosie. - Z jakiego powodu miałbym chcieć się skuć kajdanami z czarującą kobietą, której humor i inteligencja radują mi serce, a uśmiech całkiem mnie rozbraja.

Przebiegło jej przez myśl, że musi jakoś ocalić Marcha przed nim samym. Na pewno przemawia przez niego głupie i ślepe poczucie odpowiedzialności. Postanowiła wyraźnie dać mu do zrozumienia, że nie zamierza przyjąć jego niewątpliwie szczodrej propozycji. Małżeństwo z rozsądku między nią a hrabią Marchfordu przechodziło wszelkie wyobrażenia, wiedziała to niezbitnie jeszcze na chwilę przed tym, nim odnalazł jej usta. Boże, gdyby tylko tak bardzo go nie kochała. Była to ostatnia myśl, która dotarła do jej świadomości, nim pocałunek zesłał na nią cudowne zapomnienie. March miał ciepłe i pełne wargi, a jego dotyk budził w niej nieopisane pragnienia.

Gwałtownie odsunęła się od niego. Brakowało jej tchu.

- Milordzie - powiedziała, choć jej usiłowanie, by zapanować nad sytuacją, było z góry skazane na niepowodzenie - pomysł małżeństwa z rozsądku jest mi bardzo nie w smak. Doceniam wielkoduszność tej propozycji, ale... obawiam się, że do siebie nie pasujemy.

- Wielkoduszność! A więc tak pani myśli? Czy naprawdę sądzi pani, że prosiłbym kogoś o rękę ze źle pojętego poczucia obowiązku? - Przeszył ją przenikliwym spojrzeniem. - Czy chce mi pani powiedzieć, że nic dla niej nie znaczy?

- Ależ milordzie... - zająknęła się. - Nigdy, jak sądzę, nie dałam ci powodów, byś uważał...

- ...Że twoje serce nie jest obojętne? Muszę przyznać, najmilsza, że to właśnie pomyślałem nie tak dawno temu. Czy przypominasz sobie swoje słowa, gdy, no, nie przesadzajmy z mówieniem wprost, rzuciłaś mi się w ramiona?

Na białych policzkach ukazał się niezdrowy rumieniec. Alison zakryła twarz dłońmi.

- Och, nie! - jęknęła. - Słyszałeś to, panie? Myślałam... To znaczy... - Cofnęła się o krok. - Dżentelmen nie powinien ciskać kobiecie w twarz słów wypowiedzianych w chwili słabości.

March roześmiał się czule. Raz jeszcze ją objął.

- To prawda, najmilsza, ale bardzo zmęczyła mnie rola idealnego dżentelmena. - Spojrzał jej w oczy i nagle spoważniał. - Alison, przez moją mściwość straciłem wieki. Ścigałem kobietę, która wydawała mi się farbowanym lisem bez skrupułów. I nagle przekonałem się, że ta kobieta z włosami czarnymi jak noc i oczami koloru nieba jest właśnie tą, na którą czekałem całe życie. - Alison zadrżała, widząc w jego oczach złociste płomienie. - Och, Alison, to są chyba najbardziej nieudolne oświadczenia, o jakich słyszał świat, ale ostatnio nie mogę zebrać myśli,

a desperacja zmusza mnie do stosowania radykalnych środków. Pozwoliłem sobie nawet żywić nadzieję, że darzy mnie pani miłością... ale Bóg mi świadkiem, zmuszać pani nie będę. Jeśli chce pani wrócić do Bath i być wolna, będę bronił pani honoru przed światem. Powiem ci jednak, najmilsza, że daleko bardziej wolałbym pokazać cię światu jako moją żonę.

Zapadło długie milczenie, przerywane tylko westchnieniami wiatru, który wpadał przez okno, marszcząc zasłony. W końcu Alison ni to pisnęła, ni cichutko zapłakała i schroniła się w objęciach Marcha.

- Wobec tego niech mnie pan jeszcze raz pocałuje - szepnęła. - Jestem za mało skompromitowana.

Wiele czasu minęło, nim znów była w stanie cokolwiek powiedzieć. Nie wiadomo jak znalazła się na kolanach Marcha, a jej poplamionej i podartej sukni przybyło niejedno zagniecenie.

- March! - szepnęła z drżeniem. - Musimy przestać!

- Hm? - mruknął, przesuwając wargami po gładkiej skórze na jej szyi. Rozpinał właśnie ostatnie guziki przy kołnierzyku sukni. - O, mój Boże - jęknął, podnosząc w końcu głowę i dodał schrypniętym głosem: - Zdaje się, że ma pani rację. Nie wypada nam się spóźnić na przyjęcie ciotki Edith.

- Och, ta kolacja! Całkiem o niej zapomniałem.

- No wie pani!? Tyle trudu panią kosztowała! - W jego oczach pojawił się diabelski błysk. - Ciotka będzie wniebowzięta, że jej starania wreszcie dały owoce. Nie wiedziała pani o tym? - spytał, widząc jej zdumioną minę. - O ile się nie mylę, postanowiła nas wyswatać, gdy tylko stanąłem na progu jej domostwa.

Alison parsknęła śmiechem.

- Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się pan nie mylił. Któregoś dnia widziałam, jak lady Edith zatrzymuje się przed wystawą „La Belle Assemble’e”. Powiedziała, że zawczasu myśli o ślubie Meg, ale bardzo się przy tym zaczerwieniła. Wkrótce potem przedstawiła mi długi wykaz pana zalet.

- Ty biedaczko - szepnął March, tuląc ją do siebie. - To musiało trwać wiele godzin. - Po tym stwierdzeniu March poczuł się w obowiązku uciszyć śmiech Alison, uciekł się więc do najskuteczniejszego dostępnego mu środka. - A wracając do przyjęcia ciotki Edith - odezwał się po dłuższej chwili, gdy wreszcie wielkim wysiłkiem woli podniósł głowę. - Czy kolację zaszczyca swoją obecnością ta pani Bagjaw?

- Chciał pan powiedzieć: pani Binsham - surowo skarciła go Alison. - A co do jej obecności na kolacji, to istotnie należy się tego spodziewać. Dlaczego pan o to pyta?

- Pomyślałem, że jeśli ogłosimy dziś wieczorem, że zamierzamy się pobrać, to za tydzień będą o tym wiedzieli wszyscy w całym kraju. Zaoszczędzimy na zawiadomieniach o ślubie.

- Uwielbiam to, że jest pan taki praktyczny - szepnęła Alison i znów zaprosiła go do pocałunku. Przez długą chwilę jedynym dźwiękiem słyszalnym w dyskretnym saloniku zajazdu Five Swans był tylko szelest zasłon, poruszanych tchnieniami wiosennego wietrzyku.